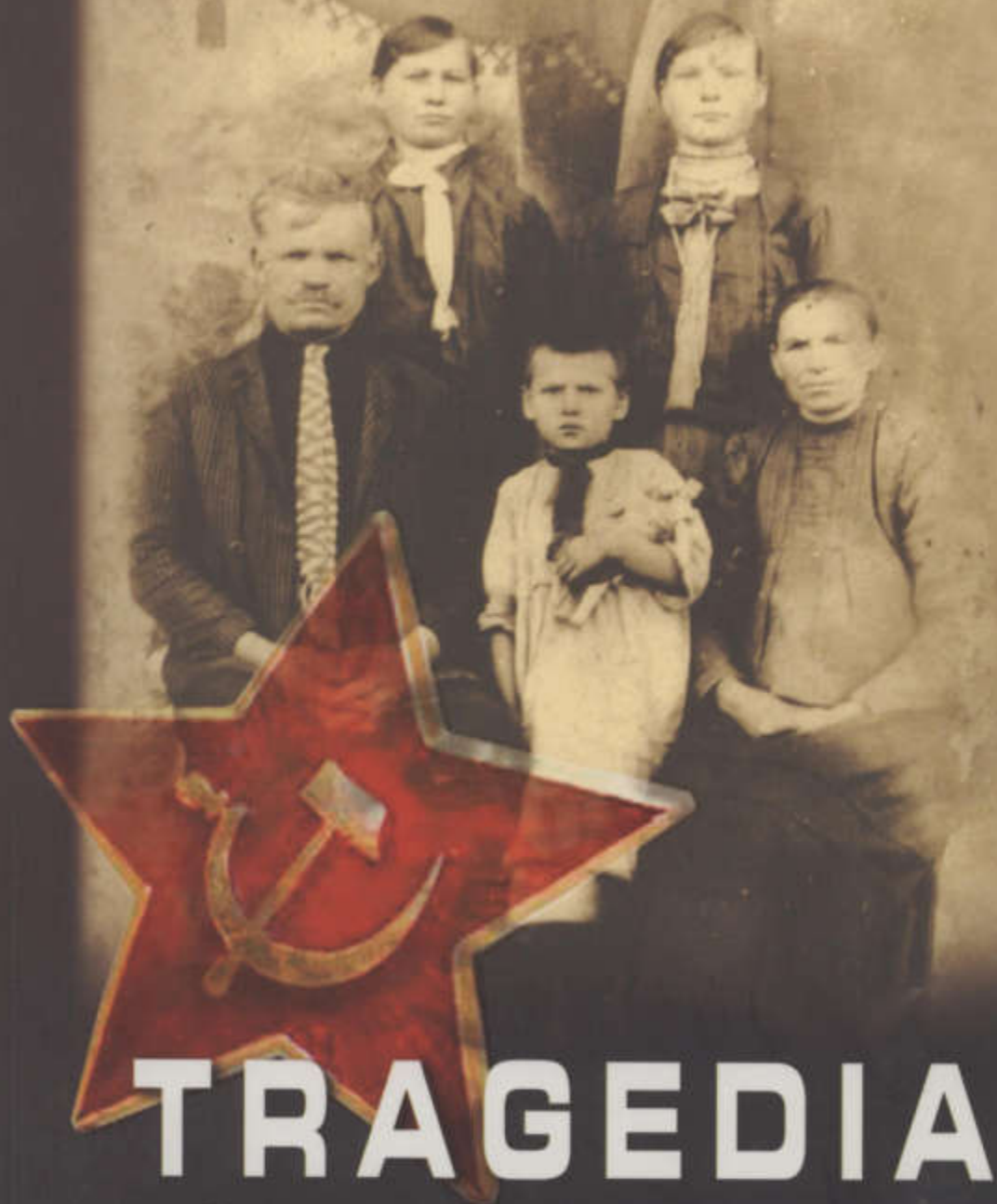


WASYL HANIEWICZ



TRAGEDIA

SYBERYJSKIEGO
BIAŁEGOSTOKU

Wasył Wandrinicz

**TRAGEDIA
SYBERYJSKIEGO
BIAŁEGOSTOKU**

Wydanie I
Adam Mickiewicz

Wasył Haniewicz

TRAGEDIA SYBERYJSKIEGO BIAŁEGOSTOKU

**Przekład
Adam Hlebowicz**



2008

Tytuł oryginału:
Białostockaja Tragedia

Copyright by © Wasyl Haniewicz, 2008

Copyright by © Wydawnictwo „Bernardinum”, 2008

Projekt okładki
Beata Kamińska

Korekta
Marek Biegalski

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel. 058 536 17 57; fax 058 536 17 26
e-mail: bernardinum@bernardinum.com.pl
internet: www.bernardinum.com.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin

ISBN 978-83-7380-630-6

Wstęp do wydania rosyjskiego

*Córkom Natalii i Oldze poświęcam tę książkę
z nadzieją, że nie będzie im dane
przeżywać w swoim życiu tego,
co przeżyli ich przodkowie.*

Wasył Haniewicz

Wstęp do wydania rosyjskiego

Trudno w kilku słowach powiedzieć, o czym i o kim jest ta książka. W pierwszym rzędzie publikacja ta poświęcona jest moim ziomkom, mieszkańcom dalekiej syberyjskiej wsi Białystok, których udziałem było niemało życiowych przeżyć w okresie istnienia wsi. Jednocześnie jest to książka o losach wielu tysięcy Polaków, którzy dobrowolnie znaleźli się na terytorium Syberii w początkach XX wieku i zdecydowali się tu pozostać po roku 1920 – po ustanowieniu władzy sowieckiej na Syberii.

Los moich krajan – to los większości Polaków byłego Związku Sowieckiego, którzy w czasie rządów stalinowskich byli jednym z narodów represjonowanych. Trzeba podkreślić, że prześladowanie Polaków przez władzę sowiecką rozpoczęło się od początku lat dwudziestych. Już wówczas nabrała rozmachu antypolska propaganda w bolszewickiej Rosji, przeprowadzane były masowe aresztowania i egzekucje byłych polskich wojskowych. W tym czasie rozpoczęły się prześladowania Kościoła katolickiego. Równocześnie w tym okresie czyniona była próba pozbawienia moich rodaków wiary, a także ich własnego języka, kultury, tradycyjnych związków z historyczną ojczyzną i uczynienia ich ludźmi „bez korzeni i tożsamości”.

Rozpoczęte w latach dwudziestych prześladowania Polaków kontynuowane były w tej lub innej formie w ZSRR do tego czasu, kiedy u władzy znajdował się reżim komunistyczny, ze swoją ideą zbudowania „światlanej” przyszłości i powstania jednolitego społeczeństwa ludzi pod pojęciem „naród sowiecki”. Najgorszy jednak okres w dziejach rosyjskich Polaków nastąpił w latach 1937–1938, kiedy to masowo aresztowano i represjonowano niegodnych „Ojca narodów”, tak pojedynczych ludzi, jak i całe narody.

Temu tematowi poświęcona jest pierwsza część książki. Przywołane są w niej wspomnienia uczestników i świadków tych wydarzeń, przytoczone na

podstawie materiałów z archiwów śledczych tamtego czasu. Mówią one nie tylko o losach represjonowanych Polaków, ale i o życiu ich prześladowców, funkcjonariuszy NKWD. Druga część książki posiada względnie niezależny charakter i poświęcona jest innemu okresom historii wsi Białystok. Opowiadam w niej o historii założenia wsi w końcu XIX wieku przez osiedleńców – katolików, opisuję losy tutejszego Kościoła i polskiej szkoły, analizuję tragedię mieszkańców w czasie kolektywizacji, przytaczam losy innych mieszkańców wsi. A na koniec, opowiadam o dzisiejszym życiu białostoczan, którym niełatwo powracać do tamtych tragicznych wydarzeń końca lat trzydziestych, kiedy w kazamatach NKWD faktycznie zginęli niemal wszyscy mężczyźni – Polacy z Białegostoku, od osiemnastego roku życia, aż po starców. Wszystko, co działo się potem z syberyjskimi Polakami, było konsekwentnym rezultatem wydarzeń lat 1937–1938. Kończy tę publikację martyrologium, składające się z ustalonego po długich poszukiwaniach spisu mieszkańców wsi, represjonowanych w latach trzydziestych.

Wyrażam głęboką wdzięczność wszystkim tym, którzy swoimi wspomnieniami pomogli odtworzyć wiele stron historii wsi i jej mieszkańców, historykom i dziennikarzom, którzy podzielili się profesjonalnymi radami, tym, którzy pomogli w dostępie do archiwaliów KGB i MSW. Jednym słowem dziękuję wszystkim, którzy pomogli w ujrzeniu światła dziennego przez tę skromną pracę.

Białystok – Tomsk 1993 roku.

Przedmowa autora do wydania polskiego

Drodzy Czytelnicy, do Waszych rąk trafia rozszerzone i uzupełnione wydanie książki, której pierwsza edycja w języku rosyjskim ukazała się w 1993 roku, daleko od Polski – w Rosji, na Syberii...

Publikacja ta, to zarazem wyznanie miłości do Polski, jak i opowieść o licznych prześladowaniach, poniesionych właśnie za tę miłość do Ojczyzny, to opisanie Polaków, którzy zrządzeniem losu znaleźli się daleko od swojego kraju, jednak nigdy o nim nie zapomnieli.

Na zawsze zapamiętałem słowa, wydrapane na ścianie celi więziennej przez jednego z Polaków, tuż przed jego rozstrzelaniem: „Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, ale najtrudniej – cierpieć i za nią umierać”.

Książka ta opowiada o tych, którzy się za Polskę modlili, cierpieli i umierali. Czynili to daleko od swojej Ojczyzny, na dalekiej Syberii. Podstawową treścią książki jest los mieszkańców niewielkiej wsi syberyjskiej, założonej przez uchodźców z Polski na przełomie XIX i XX wieku, nazwanej dla upamiętnienia stron rodzinnych nazwą polskiego miasta Białystok. W czasach terroru stalinowskiego praktycznie wszyscy mężczyźni z tej miejscowości zostali rozstrzelani.

W 2008 roku mieszkańcy syberyjskiego Białegostoku przygotowują się do świętowania 110. rocznicy powstania swojego siola. Zostanie odprawiona uroczysta Msza św. w miejscowym Kościele katolickim pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego, położone zostaną kwiaty u stóp tablicy pamiątkowej z wizerunkiem Orła Białego, życzenia mieszkańcom wsi będą składane zarówno w języku rosyjskim, jak i polskim przez wielu gości, w tym także przybyłych z Polski.

Obecnie miejscowość Białystok, która znajduje się 180 kilometrów na północ od starego miasta Tomska – to niewielki wycinek wielkiej działalności

potomków Polaków na Syberii, wszystkimi siłami usiłujących uratować swoją narodową i religijną tożsamość, co osiągnąć jest całkiem niełatwo. Ponad stuletnia historia siola, życie jego mieszkańców związane są z pokonywaniem trudności, prześladowań i tragedii, które przypadły im w udziale w minionym okresie.

Tragiczny los mieszkańców tej niedużej miejscowości jest symboliczny i pouczający. W ich losach, jak w kropli wody, zawarta jest cała historia dzieł sięć podobnych miejsc, gdzie żyły i umierały, cieszyły się i smuciły setki podobnych im rodaków, kolejną losów oderwani od swej ojczyzny. Dla wielu ich potomków ta „niehumanzka ziemia” stała się drugą ojczyzną.

Dla mnie osobiście siolo Białystok na Syberii – to nie jest tylko jeszcze jedno miejsce na mapie. To moja mała ojczyzna, gdzie minęło moje dzieciństwo i młodość, gdzie rodziły się moi rodzice i dziadkowie, a pradziadkowie znajdowali się wśród jego założycieli. Tak więc jestem Sybirakiem już w czwartym pokoleniu. Zarówno dla mnie, jak i dla moich krajan, historia naszego Białegostoku ma szczególne znaczenie. W tej historii dla nas nie ma faktów i zdarzeń mało znaczących, bo tak czy inaczej, wszystkie one są związane z osobistym losem naszych rodzin i bliskich, a przecież dokładnie z tych konkretnych ludzkich wydarzeń składa się historia naszych wsi, miast, narodów...

Wasył Haniewicz

Tomsk – Białystok, kwiecień 2008 roku.

Wstęp od tłumacza i redaktora książki

Wsyberyjskim Białymstoku gościłem w 1998 roku, uczestnicząc w uroczystościach stulecia tej polskiej osady. Wtedy to, wspólnie z Fundacją Dobroczynności „Atlas”, organizowaliśmy wspólnie pierwszy, i chyba nadal jedyny, konwój z pomocą dla naszych rodaków mieszkających na Syberii i w Azji Środkowej. Dwie wyładowane ciężarówki dotarły do Kazachstanu, jedna do Tomsku. W tym czterystutysięcznym, jednym z najstarszych miast syberyjskich, przyjmuje się, że czwarta część mieszkańców ma polskie korzenie. To nie znaczy, że uważają się za Polaków. Tych jest zaledwie garstka, działających w dwóch polskich organizacjach. Jedną z nich, o nazwie „Orzeł Biały”, od lat kieruje Wasyl Haniewicz.

Wtedy, przed dziesięcioma laty, w Tomsku poznałem lidera „Orła Białego”. Oprowadzał mnie po starej, drewnianej części miasta, pokazywał świątynie, zaprowadził do siedziby miejscowego „Memoriału”. Mieściła się w dawnym budynku KGB, w miejscu, gdzie męczono i mordowano setki ludzi. Tam, po raz pierwszy, dostałem do ręki książkę Haniewicza „Tragedia syberyjskiego Białegostoku”. Kilka dni później, razem z autorem, uczestniczyłem w uroczystościach upamiętniających stulecie tej polskiej osady, zagubionej tysiące kilometrów od ojczyzny jej założycieli. Najważniejszym wydarzeniem tego dnia było poświęcenie odrestaurowanej i przeniesionej w inne miejsce świątyni katolickiej. Zapis tych wydarzeń odnajdzie Czytelnik w samej książce.

Minęło kilka lat. Książka „Tragedia syberyjskiego Białegostoku”, w nowej, rozbudowanej wersji, trafiła do pelplińskiego Wydawnictwa „Bernardinum”, przywieziona z Syberii przez Dariusza Nieżwickiego. Ksiądz Wojciech Wętkowski, redaktor „Bernardinum”, nie wiedząc, że znam autora i byłem w samym syberyjskim Białymstoku, zaproponował mi jej przetłumaczenie na język polski i przygotowanie do druku.

To książka niecodzienna. Są w niej historie Polaków i innych narodów doskonale przebadane i poznane. Są jednak i takie karty historii, które nawet po latach budzą zdumienie. To uczucie może wynikać z jednej strony z niebywałego okrucieństwa systemu i konkretnych ludzi, z drugiej zaś z oporu i hartu ducha represjonowanych. Przypadki syberyjskiego Białegostoku to właśnie taka historia. Dzieje Polaków, którzy podążyli za chlebem w nieznaną, na ziemię trudną, ale jednak wymarzoną, bo własną. Tu zbudowali swoje domy, kościół i szkołę. Kiedy po kilkunastu latach ciężkiej, znoјnej pracy zaczęli odbijać się od dna, kiedy ich wysiłki zaczęły przynosić wymierne efekty, przyszło nieszczęście z zewnątrz. Zawalił się system polityczny, który dał im jaką taką stabilność, nadeszła zaś epoka pogardy. W tych niezwykle ciężkich warunkach Polacy z syberyjskiego Białegostoku pokazali, jakimi są ludźmi. Nie mieli przecież wykształcenia, większość zapewne nie potrafiła czytać ani pisać, a jednak, potrafili zachować swe człowieczeństwo. Fascynująca jest historia oporu wsi przed kolektywizacją. Oporu z góry skazanego na porażkę, a jednak, ile tu hartu ducha, niezależności, zdrowego rozsądku. Białystok przez ponad pięć lat skutecznie opierał się założeniu kołchozu w ich wsi! I za ten opór potem też przyszło mu zapłacić najwyższą cenę.

Książka Wasyla Haniewiczа zaskakuje w wielu momentach swoim specyficznym językiem czy nawet humorem. Proste uwagi świadków wydarzeń z lat trzydziestych najbardziej jaskrawo obnażają tępotę nieludzkiego systemu sowieckiego. Jak w tej scenie rozgrywającej się w wiejskiej szkole, gdy ideologicznie urobiona nauczycielka przekonuje małe dzieci, że oto za oknem gnają w nieznane strasznych wrogów ludu. A uczeń, mały chłopiec patrzy na nogi tych strasznych wrogów i widzi łapcie, łachmany, podarte buciory. I sam konstatuje: jacy to wrogowie, skoro nie stać ich na porządne buty?

Albo ta scena. Jeden z mieszkańców wsi został oskarżony o podpalenie mienia sowieckiego, o chęć zabijania z bronią w ręku komunistycznych aktywistów. Oskarżony i skazany z tego powodu. Paradoks polegał na tym, co z ironią konstatuje autor, że tenże człowiek od lat miał odmrożone palce i ani nie mógł podpalać, ani nie mógł zabijać z bronią w ręku, bo mu na to niesprawne palce nie pozwalały!

Zapis losów mieszkańców Białegostoku jest zwierciadlanym odbiciem losów Polaków w ZSRR i szerzej patrząc, wszystkich obywateli sowieckich. Losem tragicznym. Proszę sobie wyobrazić, że oto nas spotyka taki los. Ogromna większość mężczyzn z naszej miejscowości pewnego dnia zostaje zabrana przez służby specjalne. Nie wiadomo dokąd. I przez długie lata o tych ludziach ani słyhu. Wtedy białostockie kobiety, niejako spontanicznie, ale i w sposób najbardziej naturalny, przestały mówić po polsku. Do siebie, do

dzieci. Może niektóre jeszcze ukradkiem szeptały modlitwy do Boga w języku świętych przodków.

Dopiero po dwudziestu, trzydziestu latach napływają pierwsze, skąpe początkowo, wiadomości o losie zaginionych. Pewnie wszyscy się domyślali, jaki mógł być ich los. Ale gdzieś tam tliła się isierka nadziei, że to nie rozstrzelanie, to nie kaźń, ale może łagier, może zesłanie, taka cicha nadzieja na sowieckie miłosierdzie. Aż po początek lat siedemdziesiątych, kiedy wartki Ob obnażył brzegi ze swej strasznej zawartości. Ale nawet wtedy komunistyczna prawomyślność nie pozwoliła bliskim oddać szacunku zamordowanemu.

Książka składa się z różnych stylistycznie części. Jest tu trochę literatury, dużo faktów i archiwaliów, recenzje, opisy poszczególnych losów ludzi. Wszystko to bardzo autentyczne. Bo autor to człowiek stąd, z Białegostoku. On zna świetnie tych ludzi, ich nazwiska, pochodzenie. To w nim jest zapisana ta historia. Może dlatego tak mocno przemawia.

Choć jest to historia, która oby się nigdy więcej nie powtórzyła, nie można autorowi tej pracy zarzucić niechęci, nienawiści, złości wobec oprawców, wobec ludzi, którzy uczynili krzywdę jego bliskim. Jest raczej nadzieja na lepszą przyszłość, na budowanie takich relacji między ludźmi, gdzie „nie masz już między nami ani Żyda, ani Greka”, gdzie ważna jest jedynie godność każdego człowieka.

Adam Hlebowicz

Gdańsk, maj 2008 roku.

Dobrowolna Syberia

Część 1.

OSIEDLENIE, KOŚCIÓŁ, SZKOŁA

Dobrowolna Syberia

Dla wielu pokoleń Polaków słowo Sybir zawsze mieściło się w rzędzie pojęć: katorga, zsyłka, deportacja... I dlatego były podstawy, żeby przyjąć, że ze wszystkich dróg prowadzących na Sybir, droga katorżników, zesłańców, deportowanych była drogą najbardziej wydeptaną na przestrzeni wielu stuleci, niezależnie od rządów i kolejnych reżimów. Ale, mimo wszystko, byli jednak i tacy Polacy, którzy jechali do naszego surowego kraju w poszukiwaniu swojego osobistego szczęścia i lepszej doli.

Koniec XIX wieku charakteryzował się w Rosji gwałtownym rozwojem ekonomicznym regionu syberyjskiego, w tym także intensywną kolonizacją. Budowa wielkiej magistrali kolei transsyberyjskiej potrzebowała wielkiej liczby rąk do pracy. Na Syberię napłynęły gwałtowne potoki dobrowolnych przesiedleńców, w tym także znaczna liczba Polaków. Jak wielu innych, pracowali przy budowie drogi kolejowej, w charakterze zarówno prostej siły roboczej, jak i specjalistów. Zajmowali liczne stanowiska urzędowe w instytucjach państwowych lub firmach prywatnych, w zależności od statusu społecznego oraz posiadanego majątku i wykształcenia.

Drugą kategorią dobrowolnych polskich przesiedleńców stanowiło chłopstwo. Poczynając od zakończenia budowy syberyjskiej „kolejówki”, do 1914 roku, chłopstwo stanowiło podstawową część osadników na Syberii. Pochodzili, przede wszystkim, z małopolskich zachodnich części państwa rosyjskich carów: z guberni grodzieńskiej, wileńskiej, witebskiej, siedleckiej, kurlandzkiej. Nie jest możliwe ustalenie obecnie dokładnej liczby naszych rodaków, którzy postanowili związać swój los z rolnictwem w tomskiej guberni, choćby z tego powodu, że w tamtych czasach liczbę mieszkańców określało się nie według narodowości, ale według wyznania.

Oprócz katolików Polaków, w guberni tomskiej żyli bowiem także inni katolicy – Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy. W 1914 roku w guberni tej mieszkało 43 868 osób wyznania katolickiego, spośród których 32 199 ludzi żyło w wiejskich miejscowościach, z czego w powiecie tomskim – 9 400 osoby. Polscy przesiedleńcy stanowili podstawę ludności w takich miejscowościach powiatu tomskiego, jak Andrejewka, Łomowickij, Pietropawłowska i Połozowo. W 1899 roku na terytorium gminy nowoaleksandrowskiej pojawiło się polskie sioło, które za kilka lat otrzyma nazwę Białystok. To ojczyzna moich dziadków, rodziców – to moja ojczyzna.

Oczywistym jest, że nie od sielskiego życia uciekli moi przodkowie, jak i ich krajanie, od wiek wieków chłopci, na daleką Syberię. Brak własnej ziemi, marne plony nie pozwalały wykarmić wielodzietnych chłopskich rodzin. Liczni, porzucając rodzinne chaty, wyjeżdżali na zarobek do sąsiednich miast i miasteczek. Tak jeden z moich pradziadów – Aleksander Jocz, po śmierci swego ojca Kazimierza w 1884 roku wyjechał ze swej rodzinnej wsi Rutewki położonej około dziesięciu kilometrów od miasteczka Szczuczyn w obwodzie grodzieńskim, do miasta gubernialnego Wilna i pracował tam przez wiele lat jako strażak. Inny przodek – Stanisław Stec, był osobistym stangretem hrabiego Potockiego, jednego z wielkich polskich magnatów, posiadającego majątek w miejscowości Jabłoń w guberni siedleckiej. Trzeci przodek Jan Haniewicz, razem ze starszym bratem Józefem dorabiał jako przewoźnik towarów i pasażerów z miasteczka Porzecze do miasta Grodna. Mieszkali oni we wsi Sałaty, pięć kilometrów od Porzecza, tuż przy magistrali kolejowej Petersburg – Warszawa. Podobnymi zajęciami zajmowali się liczni chłopcy małorolni Grodzieńszczyzny, Wileńszczyzny, Białostoczczyzny. Wynagrodzenie za te prace nie było jednak wystarczające.

Dziesiątki rodzin chłopskich opuszczało strony rodzinne, wyjeżdżając z chlebem do Ameryki, Kanady, a od końca XIX wieku, także we wschodnie rejony państwa rosyjskiego. Imperium carskie było zainteresowane w przesiedlaniu się chłopstwa na Syberię, stąd obietnice pomocy, ulg i wsparcia w budowie domów w nowym miejscu osiedlenia. Tak pojawił się właśnie jeden z moich przodków – Aleksander Jocz, na przełomie 1896/1897 roku, w guberni tomskiej, jako wysłannik – zwiadowca większej grupy osób zainteresowanych wyjazdem na Syberię. Od urzędu przesiedleńczego dostał polecenie, żeby rozejrzeć się za osiedleniem w tajdze w gminie Nikołajewskiej, około stu wiorst od Tomska, na lewym brzegu Obu.

Jakie to były miejsca w tym czasie, możemy przekonać się z dokładnego zapisu urzędnika od spraw chłopskich z 15 września 1898 roku:

„...Co tyczy się działek w gminie Nikołajewskiej, na których osiedla się około osiemset rodzin, to mają one skromniejsze warunki w porównaniu

z innymi działkami przesiedleńczymi, zarówno w kwestii dróg komunikacyjnych, jak i dorobienia się na nich chleba. W pobliskich wsiach można u miejscowych autochtonów nabyć jedynie niezbędną liczbę bydła”.

Nie wiadomo, czym olśnił Józefa Haniewicza, a także jego towarzyszy – Hieronima Maziuka i Józefa Markisza, braci Aleksandra i Jana Joczów i innych, właśnie ten fragment tajgi na brzegu rzeczki, który w dokumentach urzędu przesiedleńczego nazywał się Rybałowska Działka Przesiedleńcza. Może prócz wiekowej tajgi spodobały im się polany porośnięte wysoką aromatyczną trawą wierzbowką, co oznaczało mniej pracy nad przystosowaniem tych miejsc do wypasu zwierząt. Może powodem było i to, że stały tam już dwie chatynki pasterzy z sąsiedniej mołczanowskiej gminy. Było zatem gdzie przycupnąć na początek. Oczywiście spodobała się też rwąca rzeczka, przepływająca tuż obok...

Zapisawszy na siebie i swoich bliskich przydziały ziemi, pionierzy syberyjscy wrócili do ojczyzny po swoje rodziny. Jeszcze i tu, wspólnie z całymi familiami, rozważali wszystkie plusy i minusy tego poważnego zamiaru odmiany własnego życia. Na koniec postanowili, że w następnym roku, późną wiosną, kiedy otrzymają wszystkie dokumenty przesiedleńcze, sprzedadzą ciężkie rzeczy, pożegnają się z sąsiadami i wyruszą w drogę.

Do Tomsku jechali koleją w wagonach towarowych, razem z bydłem, sprzętem i narzędziami rolniczymi. Każda rodzina miała przeznaczony dla siebie cały wagon. Z Tomsku do wsi Mołczanowo, gdzie znajdował się jeden z punktów przesiedleńczych, płynęli statkiem po wielkiej syberyjskiej rzece Ob, stamtąd zaś już własnym sumptem, poprzez bezdroża i błota tajgi, do ziemi obiecanej. W ten sposób na mapie guberni tomskiej pojawił się w 1899 roku jeszcze jeden punkt – Nowo – Rybałowski, liczący trzynaście rodzin.

Trudne były początki nuworyszy na ziemi syberyjskiej. Doświadczyła ich surowa przyroda z uciążliwymi owadami latem i niebywałymi mrozami zimą, od których nie ratowały własnoręcznie wykonane moskitiery ani pospiesznie wykopane ziemianki. Nierzadko bydło padało z głodu lub stawało się ofiarą dzikich zwierząt, bo jak się szybko okazało, w pobliżu osady znajdowały się dwa legowiska niedźwiedzi.

Dzieci głodowały i często umierały od dyzenterii i przeziębienia, do czego dochodził jeszcze wysiłek ciężkiej pracy od świtu po zmierzch przy karczowaniu tajgi na pastwiska. Każdy wyrwany tajdze skrawek ziemi polany był potem i łzami. Jednak ten wysiłek nie był ciężarem, to nie była już praca chłopów pańszczyźnianego czy niewolnika. Każdy pracował na własnej ziemi i wiedział, że pomyślność jego rodziny od teraz i w przyszłości zależy tylko od niego samego i Boga, a nie od właścicieli ziemskich czy urzędników państwowych.

Podkreślić należy, że pomoc państwa dla syberyjskich przesiedleńców była znacząca. Dostali bezpłatne bilety na przejazd do przyszłego osiedlenia, a także ulgi w przewozie bagażu. Dorośli i dzieci powyżej dziesiątego roku życia płacili tylko ćwierć ceny biletu pasażerskiego trzeciej klasy, a dzieci poniżej tego wieku podróżowały bezpłatnie.

Przewóz bagażu kosztował po kopiejce za jeden pud za każde sto wiorst. Za transport konia i bydła rogatego natomiast trzeba było płacić pół kopiejki za każdą wiorstę drogi. Oprócz tego każda rodzina mogła otrzymać do stu rubli bezprocentowej pożyczki na wyposażenie domu i zakup inwentarza rolniczego. Osadnicy byli także zwolnieni od podatków państwowych przez pierwsze trzy lata od chwili przesiedlenia, przez kolejne trzy płacili ich połowę. Powołani do armii otrzymywali odroczenie od służby wojskowej na trzy lata.

Niezależnie od ulg i kredytów dla przesiedleńców, państwo wydawało znaczne środki na budownictwo magazynów zbożowych i punktów sprzedaży inwentarza, punktów felczerskich, szkół, cerkwi i kościołów, mostów, dróg, drażnienie studni. Dla przykładu, jedynie na budowę mostów i stawianie grobli, a także zapewnienie przeprawy przez rzeczkę Szegarkę, gubernator tomski wydał w 1899 roku dziesięć tysięcy rubli. Część tych prac stanowiła potem wkład pod wykonanie drogi narymskiej. W tym czasie we wsi Kriwoszeino zbudowano spichlerz zbożowy, z którego w 1899 roku sprzedano przesiedleńcom cztery tysiące pięćset pudów ziarna i mąki. Spośród nich dwieście osiemdziesiąt cztery pudy przypadły założycielom osady Nowa – Rybałowska. W następnym roku mieli już własny chleb.

Przez kilka lat we wsi Nowa – Aleksandrowka zbudowano szpitalik, szkołę i cerkiew, przez co miejsce to stało się centrum nowo powołanej gminy, w której znalazło się wiele dziesiątków osad i wsi przesiedleńców.

Mówiąc o pomocy państwa carskiego w czasie reform stołypinowskich, nie można ich przecenić i idealizować. Z powodu niedostatku środków przesiedleńcy otrzymywali zasiłki i kredyty w znacznie mniejszym zakresie niż to wynikało z oficjalnych oświadczeń.

Ze sprawozdania urzędnika Michajłowa zawiadującego rejonem przesiedleńczym wynika, że w 1907 roku zwolniono z płacenia kredytów po trzydziści pięć rubli na rodzinę, jednak nie więcej niż czterdzieści – pięćdziesiąt rubli. Przy czym kredytu udzielono zaledwie 12% starającym się o to. Zaledwie 27% osadników mogło wziąć kredyt na przejazd z miejsca rodzinnego do miejsca nowego osiedlenia się. Ceny na żywność, inwentarz, bydło wzrosły wraz z popytem na nie. Krowa kosztowała czterdzieści rubli, koń – siedemdziesiąt rubli, pług – do trzydziestu rubli. Ściany spichlerza kosztowały sto rubli, a dom mógł dojść do ceny sto pięćdziesiąt rubli i więcej.

Przesiedleńców zwolniono tylko z podatków państwowych, ale nie z wiejskich, gminnych i parafialnych, których wysokość była znacznie wyższa od państwowych i dochodziła do dwudziestu pięciu rubli na rok. Oprócz lokalnych opłat pieniężnych należało płacić także podatki naturalne, takie jak udział w budowie dróg, mostów, w grodzeniu wiejskich zagonów.

A mimo to urzędy przesiedleńcze nie dawały sobie rady z żywiołowym napływem osadników. I tak, pomiędzy 1894 a 1898 rokiem do guberni tomskiej przyjechało czterdzieści trzy tysiące osób, w kolejnych pięciu latach czterdzieści osiem tysięcy osób. W samym tylko 1907 roku, w okresie największego rozmachu reformy rolnej premiera Piotra Stołypina, do guberni przyjechało blisko trzydzieści tysięcy ludzi. Jak wykazywał przewodniczący tomskiego podrejonu przesiedleńczego Michajłow: „masa biednego i głodnego ludu stoi przed urzędnikiem od świtu po zmierzch, chodzi za nim, modli się i grozi, denerwuje go i nie chce znać żadnych przepisów prawa, oprócz prawa pustego żołądka. Każdego dnia pojawia się żądanie, żeby ich obsłużyć bez kolejki i dać im przywileje przed innymi, których jeszcze nie widziałem na oczy”.

Dalej, w tym samym sprawozdaniu Michajłow zauważał, że w 1907 roku nastrój przybywających przesiedleńców był „nadzwyczajnie pobudzony, co wyrażało się w niejednokrotnym potępianiu działań władz i nieustępliwym żądaniu lepszej ziemi, powszechnego dostatku, bezpłatnych biletów na przjazd i wydania podróżnych kredytów”. Masowe stało się samowolne zajmowanie ziemi. Wiele życzeń przesiedleńców było respektowanych, ale urzędnicy zajmujący się nimi nie mogli nakarmić tysięcy głodnych ludzi i uważali, że chłopci powinni sami dorobić się chleba w polu, sami wykarmić, a nie żyć jedynie na kredyt.

Nie wszystkich osadników zadowalał taki stosunek władz do ich potrzeb, wielu więc od razu uciekało, dochodząc do przekonania, że Sybir nie dla nich. Na przykład w 1901 roku z Syberii wróciło do poprzednich miejsc zamieszkania ponad pięć tysięcy rodzin. Zaledwie czwarta ich część potrafiła zaakceptować Syberię i jej warunki. W 1908 roku osiemset rodzin przesiedleńców do guberni tomskiej, jeszcze tego samego roku wróciło do poprzednich miejsc zamieszkania. Władze patrzyły na to spokojnie i trzeźwo, uprzedzając chcących się osiedlić na Syberii o warunkach tam panujących, w specjalnie wydawanym na tę okazję piśmie „Syberyjskie Przesiedlenie”, pisząc, że gospodarowanie na terenie Syberii jest o wiele trudniejsze niż w europejskiej Rosji, oraz że „słabego gospodarza Syberia nie zmieni w dobrego”.

Jak widać, jednak moich przodków nie wystraszyły syberyjskie mrozy, zwierzęta tajgi i ciężka praca na polu. Wytrzymali, pobudowali się, przeżyli.

Na miejscu ziemianek i chatynek z czasem zbudowali mocne syberyjskie domy spichrze, stodoły, wydrążyli studnie z wysokimi żurawiami, ogrodzili swoje posesje. Z roku na rok osada wypełniała się ludźmi. Zbudowany w 1908 roku kościół jeszcze bardziej przyciągał do tego miejsca kolejnych przesiedleńców – katolików. Kiedy wiosną 1914 roku do wsi przyjechało w celu osiedlenia się kilka rodzin spod Białej Podlaskiej, nie mieli już gdzie się pobudować w granicach osady. Musieli osiąść na drugim brzegu jeziora, nazywanego dla żartu Bajkałem. Od tej pory mieszkańców tej niewielkiej osady, składającej się z osiemnastu domów, powszechnie nazywano „zabajkałcami”. W tym czasie główna osada zmieniła swą nazwę. Na zebraniu wiejskim postanowiono nazwać ją Białystok, dla uczczenia pamięci poprzedniego miejsca życia większości mieszkańców, a także po to, żeby potomkowie wiedzieli, skąd są rodem ich ojcowie i dziadowie.

O tym, czego dorobili się moi krajanie w ciągu piętnastu lat gospodarowania na Syberii, mogą świadczyć dane Spisu Rolniczego Wszechrosyjskiego przeprowadzonego w osadzie w końcu czerwca 1916 roku. Według tego spisu w osadzie było dziewięćdziesiąt pięć gospodarstw, w których mieszkali pięćset szesnastu ludzi, pod uprawą znajdowało się dwieście osiemdziesiąt pięć dziesięcin ziemi. We wszystkich gospodarstwach było dwieście sześćdziesiąt siedem koni i trzysta siedemdziesiąt cztery sztuki bydła.

Dodać należy, że rok 1916 nie był jakimś nadzwyczajnym rokiem dla ówczesnej Rosji: trwała wojna, wielu mężów i synów było na froncie, gospodarstwa podupadały. Wydaje się jednak, że i w latach przedwojennych wskaźniki w osadzie nie były dużo lepsze. W porównaniu do wsi ze starymi mieszkańcami Sybiru, moi krajanie byli po prostu golcami, obdartusami. U nich na jedną rodzinę przypadało po trzy – cztery dziesięciny ziemi, w rodzinach tych było po około siedem – dziesięć osób, każdy posiadał przynajmniej po dwa konie i trzy krowy w oborze. Tacy właśnie ludzie kamili przedwojenną Rosję, a nawet i szerzej, bo masło rosyjskie stało się bardzo popularne w ówczesnej Europie. Rolnicy ci, ledwo powstawszy na nogi, myśleli o powiększaniu majątku, i z pewnością dobiliby się swego, gdyby nie I wojna światowa, rewolucja, druga wojna światowa. Przyszły nowożytność z ich czasami ze swoimi nowymi prawami.

Postscriptum

Dzisiaj, kiedy o syberyjskim Białymstoku sporo już napisano w prasie, w tym także i polskiej, ponownie przychodzi czytać o tym, że osada została założona przez polskich zesłańców. Ugruntowujące się w Polsce przekonanie, że Polacy trafiali

Syberię tylko i wyłącznie w charakterze zesłańców bądź deportowanych, jest nadal bardzo silne. Przedstawianie Syberii tylko jako „niehumanitarnej ziemi”, ziemi przesiedlonych i zsyłki przechodzi z pokolenia na pokolenie i stało się swoistym paradygmatem zrozumienia miejsca Polaków na Syberii. Posiadana statystyka jasno pokazuje, że Syberia znała także dobrowolne przesiedlenia Polaków na jej ziemię, przy czym w skali było to zjawisko bardziej liczne niż polityczna zsyłka z drugiej połowy XIX wieku, a także deportacje z okresu 1939–1940.

Nie dziesiątki, a setki siół i wsi, podobnych do Białegostoku, zostały założone i zasiedlone przez Polaków w początku XX wieku. Pojawia się pytanie – na ile to przesiedlenie można nazwać dobrowolnym? Prawdopodobnie należałoby go nazwać dobrowolno–wymuszonym. Ludzie opuszczali swe strony rodzinne i udawali się w dalekie krainy w poszukiwaniu lepszej doli dla siebie i swoich rodzin. Wybierali dla siebie Australię, Kanadę, Amerykę, innym trafiła się nasza Syberia.

Nie sądzę, żeby tym moim współrodakom, którzy wybrali dla siebie Kanadę lub Australię, było łatwiej niż przesiedleńcom syberyjskim. Trudności budowania w nowym miejscu są nieproste. Ale dlaczego złożyło się tak, że tym, którzy wybrali Syberię, przypadł niezrównanie gorszy los, niż ich braciom w Ameryce lub Kanadzie? Istota tkwi nie w różnicach klimatu, a zupełnie w czym innym.

Przyjeżdżającym na Syberię wypadło być na tej ziemi prawdziwym gospodarzem tylko przez jakieś dziesięć – piętnaście lat. To niewiele, żeby zbudować solidne gospodarstwo. Obie wojny, a nade wszystko bardzo długie rządy komunistów, ze wszystkimi ich patologiami, zabiły u syberyjskiego chłopca umiejętność dobrej pracy i dobrego życia. W Ameryce i Kanadzie takich eksperymentów na ludziach nie czyniono.

Do dzisiaj męczy mnie pytanie: jak potoczyłby się los moich przodków, a zatem i mój także, gdyby mój pradziad Aleksander Jocz wybrał, by się osiedlić, Amerykę, a nie Syberię...

Wiejski kościół

I powiadał im: napisano

„Dom Mój zwie się domem modlitwy”,

A wy zrobiliście z niego przystań rozbójników¹.

Losy znanych wszystkim rosyjskich katedr, czyli soborów, zniszczonych lub zsekularyzowanych, dokładnie podzieliły wiejskie cerkwie, meczety i kościoły. Los każdej świątyni, podobnie jak los człowieka, jest swoiście niepowtarzalny i unikalny, co oznacza, że wart jest naszej uwagi i własnego miejsca w historii. Własny los miał także polski Kościół w syberyjskim Białymstoku.

Niegdyś moi białostoccy krajanie byli ludźmi religijnymi, czczącymi Boga. Rolnicy przybyli na Syberię po reformie stołypinowskiej z zachodnich guberni Rosji, przenieśli w nowe miejsca swoje chłopskie tradycje, w tym także wiarę ojców. Katolików wśród przesiedleńców było sporo, starali się oni zamieszkać razem, trzymając się jeden drugiego. Tak pojawiły się w końcu XIX i na początku XX wieku na terytorium gminy nowoaleksandrowskiej łotewsko-litewskie osady Maliczewka, Malinówka oraz polskie sioło Białystok.

Nie wyobrażali sobie białostoczanie swojego życia bez kościoła, bez swojego księdza: zagospodarowywali się na wieki, stąd nie wyobrażali sobie życia bez modlitwy, a jeździć do miasta było za daleko. W mojej rodzinie wspomina się na przykład, że pradziadek Aleksander Jocz, kiedy urodziła mu się wkrótce po przyjeździe na Syberię córka, Maria Magdalena, zmuszony był sprzedać krowę i za zarobione pieniądze wyruszył Obem do kościoła w Tomsku, żeby córkę ochrzcić.

Niedługo zatem po osiedleniu mieszkańcy osady postanowili wybudować własny kościół. Było to, jak wspominają starszankowie na podstawie opowieści swoich rodziców, w 1902 roku. Wszelkimi sposobami zbierano pieniądze, na

¹ Mt 1,13.

każdą rodzinę nałożono obowiązkowy pięciorublowy podatek, co w tamtych czasach było sumą niemałą (krowę dla przykładu można było kupić już za dziesięć rubli). Ciągłe jednak tych pieniędzy było za mało, od nowa rozpoczynała się zbiórka, występowano także o kredyt do gubernatora.

Miejsce pod budowę świątyni wybrano w widocznym miejscu: na pagórku, z trzech stron otoczone jarami. Osady, jako takiej, jeszcze wówczas właściwie nie było. Ludzie żyli w ziemiankach, a domy zaczęto budować dopiero wokół kościoła. Drewno na jego budowę było przygotowywane na miejscu wznoszenia świątyni, wybierano najdorodniejsze sosny, cedry, modrzewie. Do budowy najęto specjalistów, dobrze znających swoje rzemiosło. Kierowali budową miejscowi chłopci: Franciszek Czyblis i Stanisław Jocz. Z taką miłością i mistrzostwem zbudowali oni budynek, że do dzisiaj nie mogą pojąć wiejscy stolarze, w jaki sposób zostały złożone ściany.

Obok świątyni zbudowano drewnianą dzwonnice, a w pobliżu duży siedmiopokojowy dom ze wszystkimi wygodami – mieszkanie dla księdza. Budowano kompleksowo, jak się obecnie mówi. Całe przedsięwzięcie wymagało niemało pieniędzy i czasu. Budowa została zakończona w 1908 roku (taka data została umieszczona na drzwiach). Jezus otrzymał swoją siedzibę. Kościół, wykonany na planie łacińskiego krzyża, znacząco wznosił się nad otoczeniem. Kryty sposobem „rybiej łuski” dach wieńczył ogromny krzyż, obity białymi błyszczącymi płytami. Z tego powodu krzyż odpowiednio mocno świecił w słońcu, czyniąc go widocznym z daleka. Starsi ludzie wspominają, że w dzieciństwie, gdy chodzili do lasu na grzyby lub jagody, zdarzało się im pobłądzić, nie wiedząc, w jaką stronę wracać do domu, wtedy krzyż stawał się dla nich jedynym przewodnikiem.

Wewnętrzny wygląd świątyni, według opinii starszków, w swoim pełnym wyposażeniu był imponujący. Wysokie sufity, wąskie ażurowe okna zasłaniające tkaniną, do tego ołtarz z pełnym wyposażeniem. Znajdowało się tam aż piętnaście dużych obrazów z wizerunkiem św. Antoniego, bo pod takim wezwaniem był kościół. Ile było obrazów po bokach, dziś już nikt nie pamięta. Pod sufitem wisiało piękne kryształowe lustro. W nawie znajdowało się sporo niedużych ławek dla parafian.

Przeciwną stronę kościoła, naprzeciwko ołtarza, pod sufitem uzupełniał chór i prowadzące do niego kręcone schody. Wzbogaceniem kościoła była fisharmonia, instrument zastępujący organy. Na początku lat dwudziestych grał na nim syn miejscowego chłopca, Stanisław Bach. Instrument kupił za swoje pieniądze miejscowy „mecenas” Aleksander Daszczuk. Parafianie wybrali go na starostę wspólnoty religijnej, poważając za troskę o świątynię. Ludzie pamiętają, że pod jego przewodnictwem zostało wykonane ogrodze-

nie wokół kościoła, zrobiono dróżki, posadzono wokół świątyni wiele dziesiątków cedrów i jodeł. Podobne sadzenia wykonane zostały na cmentarzu. Naprzeciw drzwi i furtki został zrobiony koniowiąż, ponieważ w świąteczne dni przyjeżdżali liczni goście, bodaj z całej gminy. Dopiero, gdy w 1913 roku w Maliczewce został zbudowany nowy kościół, liczba gości zmniejszyła się.

Dla prowadzenia posługi duszpasterskiej białostoczanie zaprosili księdza z Polski, który zamieszkał w domu przy kościele. Pierwszym proboszczem, który przyjechał do osady był ksiądz Hieronim Cerpento. Po nim, od 1913 roku kapłanem był Mikołaj Michasionek, młody absolwent Petersburskiej Akademii Duchownej.

„Do kościoła chodzili wszyscy, od malców po staruszków – wspominała Zoja Czerkaszyna. – Przychodził maj i wtedy codziennie byliśmy w świątyni. Mężczyźni stali po prawej stronie w kościele, kobiety z lewej, my, dzieciarnia, modliliśmy się na kolanach. Niektórzy z dorosłych także na kolanach. Mężczyźni raczej stali, a ławki były dla tych, którzy modlitwy z książeczki potrafili odczytywać. Chór był zawsze przystrojony. Kto potrafił śpiewać, tam stał. Pięknie i świątecznie było zwłaszcza w większe uroczystości kościelne. Przed Wielkanocą organizowaliśmy Drogę Krzyżową wokół kościoła, a dwa dzwony nieustannie dzwoniły. Daleko je było słyszeć”.

We wszelkich relacjach przewija się, jak wielkie znaczenie dla osady miał kościół. Nie wspominając już i o tym, że był on dla nich dumą, świętym miejscem obcowania z Bogiem. Jego znaczenie rosło także i przez to, że osada szybko się powiększała i w 1916 roku posiadała już dziewięćdziesiąt pięć gospodarstw i pięćuset szesnastu mieszkańców.

Piotr Sierko opowiedział o tym, że jego ojciec przyjechał na Syberię w 1911 roku z guberni wileńskiej. Zimą spędził w siole, a wiosną wrócił do ojczyzny, zabierając stamtąd matkę z ojcem, brata i siostrę. Ożenił się w maju 1911 roku i wrócił na Syberię, już na zawsze. Wybrał Białystok, głównie dla jego świątyni.

W 1914 roku do osady przyjechał na stałe spod Białej Podlaskiej drugi mój pradziad, Benedykt Michnia. Przyjechał z sześcioma synami i dwiema córkami, mającymi już swoje rodziny i dzieci. Dla nich także głównym powodem przy wyborze miejsca stałego zamieszkania był istniejący kościół. Tak postępowało w tych czasach bardzo wielu ludzi.

Dla ilustracji, w 1910 roku zarządzający zaczulimskim podrejonem przesiedleńczym J. Stępień wyjaśniał tomskiemu gubernatorowi, że przesiedleńcy katolicy, którzy wracają do swojej ojczyzny, pytani o przyczynę zazwyczaj odpowiadali: „nie ma kościoła”, a dopiero potem, że ziemia źle rodzi, że niskie zasłki.

Ponad dwadzieścia pięć lat służył kościół ludziom, zgodnie ze swym przeznaczeniem. Mógł i dalej służyć, jednak czasy się zmieniły. Po przewrocie październikowym 1917 roku stosunek nowej władzy do Kościoła uległ całkowitej zmianie, a od chwili ustanowienia władzy sowieckiej na Syberii w roku 1920, zaczęła się prawdziwa wojna z „kultem religijnym”.

W początku 1921 roku został rozstrzelany przez mołchanowskie CzKa proboszcz parafii maliczewskiej ksiądz Franciszek Grabowski jako „aktywny uczestnik powstania kułackiego w gminie nowoaleksandrowskiej w czerwcu 1920 roku”. Rozpoczęła się intensywna agitacja antyreligijna wobec katolików, prowadzona przez miejscowych „towarzyszy”, jak i przyjezdnych Polaków – komunistów. Przykładowo, jesienią 1920 roku do katolików gminy nowoaleksandrowskiej został skierowany do prowadzenia antyreligijnej propagandy niejaki Duszyenin. Agitator zaczął przekonywać miejscowych o tym, że Boga nie ma, a dla udowodnienia swoich tez posługiwał się cytatami z nauk Kanta i Darwina. Kiedy parafianie nazwali go Antychrystem i zaczęli zbierać się do swoich domów, wtedy zwolennik teorii Darwina użył swego głównego argumentu – zagroził zebrany rewolwerem...

Polski komunista Kazimierz Bulando, po dokonaniu inspekcji w gminie, pisał do komitetu gubernialnego partii o tym, jak antykatolicka działalność w gminie nabiera tempa. W końcu 1920 roku władze zarekwirowały na rzecz szkoły część pomieszczeń w domu księdza, a w 1923 roku ksiądz Michasionek zmuszony był opuścić osadę na zawsze.

Samego kościoła, póki co, władze nie zamykały. Nabożeństwa prowadził przyjeżdżający z miasta proboszcz kościoła tomskiego ksiądz Julian Groński. W czasie tych wizyt ludzie chrzcili swoje dzieci, brali śluby i wypełniali inne obowiązki religijne. Walery Maziuk opowiedział, że 2 lutego 1929 roku wziął ślub w białostockim kościele, wspólnie z trzema jeszcze parami, pośród których był także i mój dziadek Wasyl Haniewicz i babcia Gabriela. Ślubu udzielił im wspomniany ksiądz Groński.

To były ostatnie śluby i ostatnia Msza święta w kościele. W 1913 roku ksiądz Groński został aresztowany przez OGPU. W Białymstoku został aresztowany starosta komitetu kościelnego Zygmunt Proński, wybrany na to stanowisko jeszcze w 1927 roku. Obwiniono go o współpracę z „antysowieckim” Grońskim oraz za prowadzenie propagandy skierowanej przeciwko zakładaniu kołchozów. Wyszedł z więzienia po roku.

Po aresztowaniu Prońskiego miejscowe władze zamknęły kościół, powołując się na polecenie wyższych władz. 8 kwietnia 1929 roku władze sowieckie wydały prawo „O religijnych związkach”, celem którego było wzmoczenie nacisku na duchowieństwo i Kościół – jawnych zwolenników kułactwa

i wrogów władzy sowieckiej. W tym prawie mówiło się i o tym, jak prowadzić likwidację punktów modlitewnych, wykorzystując socjalistyczne prawo państwa. Zaczęły się regularne masowe likwidacje cerkwi, areszty duchowieństwa.

Białostocka rada wiejska zamknęła kościół, ostatecznie nie zdecydowała się jednak na jego zniszczenie, bojąc się gniewu parafian. Władze czekały na odpowiednią okazję, usilnie wychowując w duchu antyreligijnym dzieci w szkole i swój aktyw na zebraniach grupy biedoty. Kościół zatem stał się sierota, przypominając o sobie jedynie dźwiękami dzwonów używanymi w czasie pogrzebów lub pożarów. Świątecznego dzwonienia białostoczanie jednak już nie usłyszeli. Druga moja babcia Stefania wzięła ślub w 1934 roku już w tomskim kościele.

Kiedy zaczął się we wsiach i osadach tzw. „wielki przełom”, kiedy w Białymstoku wielu mieszkańców okazało się ludźmi pozbawionymi wszelkich praw, wszyscy zostali obłożeni licznymi podatkami, zastraszeni zostali kościelnymi aktywiści, Aleksander Daszczuk został rozkułaczony, Rafał Sieroski skazany na dwa lata więzienia, wówczas miejscowy aktyw komunistyczny postanowił zlikwidować dzwony i krzyż znajdujący się na kościele. Jak wspominał Piotr Sierko, przy ściąganiu dzwonów, wyprowadzono ze szkoły wszystkich uczniów i nakazano ciągnąć za sznur, oczywiście w celach wychowawczych, ponieważ z dorosłych nikt się nie zgłosił. Niezbyt mocno ciągnęło towarzystwo za sznur, a może, za mało było sił: dzwon przy spadaniu uderzył w gzyms, połamał go, upadł na ziemię i sam pękł. Uszkodzone dzwony potem wywieziono końmi do rejonu, krzyż oddano do zabawy uczniom w szkole. Całkowitego rozgrabienia kościoła mieszkańcy jednak nie dopuścili, występując w jego obronie.

Kiedy jednak w strasznych dla Białegostoku latach 1937-1938 aresztowano właściwie wszystkich mężczyzn osady, a ci zginęli na zawsze w kołpaszowskich katowniach NKWD, kościół został pozbawiony obrońców i szybko został doszczętnie rozgrabiony. Przewodniczący rady wiejskiej Tatkin i jego współpracownicy wywlekali na ulicę różne przedmioty kościelne, obraz, wyposażenie. Inwentarz i meble zostały zarekwirowane na rzecz wiejskiej rady i kolchozu, inne rzeczy zostały po prostu zniszczone. Powiadano, że kościelną fisharmonię oddano do szkoły wiejskiej, gdzie przez pewien czas trzymała ją w komorze, potem jednak ślad po niej zaginął.

Kobiety praktycznie nie mogły niczego ochronić, z płaczem jedynie obserwowały dokonujące się barbarzyństwo. Tylko nieliczne decydowały się podnieść coś z błota i ukryć. Moja babcia Stefania opowiadała, że uratowała wówczas pięć obrazów, które następnie przez całe jej życie wisały w ką-

domu. Oprócz obrazków babcia ukryła rozbitą figurkę Matki Boskiej, którą potem pieczętowała przechowywała w swojej skrzyni. Obecnie główka tej figury znajduje się u mnie, jako wspomnienie tamtych zdarzeń.

Białostocki kościół został rozgrabiony latem 1938 roku. Uprawomocnienie tego aktu wandalizmu i naigrywania się z wierzących katolików nastąpiło dopiero w 1940 roku. 10 lutego tego roku rejonowy Sowiet postanowił: „w wyniku likwidacji wspólnoty religijnej i z braku chcących wziąć pomieszczenie kościoła dla zaspokojenia potrzeb religijnych, prosimy władze nowosybirskiego obwodu o likwidację kościoła jako punktu modlitewnego”. Władza obwodowa postanowieniem z 21 października 1940 roku nr 353 potwierdziła taką rezolucję „towarzyszy rejonowych”.

Po rozgrabieniu kościoła los samego budynku, można powiedzieć, nie był już taki zły. Nie spalił się, jak wiele wiejskich małych cerkiewek, nie został porąbany na drwa, tak jak stało się to z maliczewskim kościołem. Budynek ocalał. W czasie wojny przechowywano w nim ziarno pochodzące ze wszystkich sąsiednich kolchozów, po wojnie zaś został przystosowany pod wiejski klub. Przebudowa polegała na tym, że budynek został znacznie zmniejszony, z uwagi na ekonomię ocieplenia pomieszczenia, ściągnięto z niego wszelakie ozdoby architektoniczne, zdjęto z wieży szczyt dzwonnicy i zrobiono z niego skład dla ochrony silniczków elektrycznych miejscowego kina. Jednym słowem, zeszepecono budynek.

Na początku miejscowe dziewczynki – Polki nie chodziły do klubu, bojąc się osądu ze strony starszych: jak można bowiem w kościele tańczyć, choćby to i był nieczynny kościół. Jednak potem ośmieliły się. Sowieckie wychowanie oraz młodość wzięły górę. W ten sposób przez długie lata budynek dawnej świątyni służył „sprawie wiejskiej kultury”. Wiele widziały i słyszały jego ściany: piosenki dzieci, rześkie wykłady i wystąpienia przyjezdnych naczelników, pijane wybryki miejscowych weselników, kampanie wyborcze różnych władz i sądy pokazowe nad prowincjuszami przed sowiecką władzą.

Przez wszystkie te lata budynek ani razu nie był remontowany i z tego powodu, z roku na rok, coraz bardziej tracił swój pierwotny charakter. Jedynie w końcu lat sześćdziesiątych siłami brygady studenckiej przeprowadzono remont fundamentów. Wtedy też został znaleziony kamień węgielny z niszą, w której mieścił się szklany flakon z zapiskami i złotym krzyżem. Krzyż studentom się „przydał”, zapiski zostawili nam, dzieciom, jako zbyt cenne.

Jak pamiętam, był to nieduży prawdziwy pergaminowy skrawek, zapisany alfabetem łacińskim. Należy przypuszczać, że był to list skierowany od dawnych mieszkańców do ich potomków. Nie potrafiliśmy odczytać tego pergaminu, poprosiliśmy kogoś z dorosłych, w końcu pismo przepadło nie odczy-

tane. Zresztą, bardzo nie przeżywaliśmy tej straty. Dla nas wówczas budynek klubu wydawał się zwykłą budowlą. Mało kto z dzieci znał jego prawdziwe przeznaczenie. Marzyliśmy wówczas o nowym domu kultury, a ze starego gotowi byliśmy z radością zrezygnować.

Pamiętam: każde nowe kierownictwo sowchozu obiecywało zbudować taki nowy dom kultury. W pewnym okresie zbudowano nawet fundament pod dobudówkę przy kościele. Z upływem lat fundament rozsypał się i zarósł trawą: sowchoz nie posiadał wystarczających funduszy na postawienie dobudówki. Obecnie wydaje mi się, że to sam Bóg chronił swój dom, nie pozwalając zmienić krzyżopodobnej sylwetki kościoła i tym samym zatracić jego pierwotnego, wewnętrznego wyglądu.

Minęło dwadzieścia lat, przez które kościół dźwigał swoją nową służbę, ale i jej nadszedł koniec. Rzecz w tym, że na koniec mieszkańcy osady doczekali się nowego Domu Kultury – dużego, dwupiętrowego ceglanego budynku. Stary budynek był już władzy niepotrzebny, jak emeryt, swoje zrobił. Był nawet plan, żeby go zlikwidować buldożerem i spalić. Może by i tak się stało, ale nadeszły już inne czasy. Wspominali ludzie, że to nie będzie likwidacja starej chałupy, ale zniszczenie Domu Bożego, a to grzech coś podobnego zrobić.

Wielu ludzi ponownie wróciło do swoich katolickich korzeni. Właściwie, starsi ludzie, pamiętający dawne przeznaczenie kościoła, nie utracili wiary swoich ojców i dziadów. Wspominam, jak wcześniej w czasie świąt religijnych staruszki prowadziły nabożeństwa u siebie w domach, jak żegnały śpiewem odchodzących do wieczności.

9 listopada 1990 roku do osady przyjechał ksiądz proboszcz z parafii w Tomsku Antoni Gsell. Pierwszy raz od pięćdziesięciu lat był tu z wizytą katolicki kapłan. Stało się to w odpowiedniej chwili. Po jego wizycie trzydziści sześć starszych osób napisało prośbę do wiejskiej rady z prośbą o rejestrację w osadzie wspólnoty katolickiej oraz zwrot budynku dawnego kościoła, a także pomoc w jego remoncie. Kriwoszeińska rada wykonawcza swoim postanowieniem z 26 listopada 1990 roku nr 144 – zarejestrowała parafię i postanowiła oddać jej w „bezpłatne i bezterminowe” użytkowanie budynku dawnego kościoła.

O przyznaniu środków na remont świątyni w postanowieniu nie było ani słowa. Trzeba było odbudować wieżę i przeprowadzić remont wewnątrz budynku. Ściany, zrobione ze zwykłej syberyjskiej jodły i cedru, w wytrzymałości nie ustępowały wielu nowym budowlom. Ale oczywiście remontu nie mogli wykonać staruszkowie, odnowiciele wspólnoty katolickiej, to już nie była praca na ich siły. I tu przydałaby się pomoc władz.

Trzeba powiedzieć, że białostocki kościół posiada obecnie nie tylko wartość historyczną, ale i architektoniczną. Na ile wiadomo, nie ma w zachodniej Syberii innych uratowanych kościołów. Trzeba odnowić świątynię nie tylko jako dom modlitwy, ale i jako zabytek architektury. Ale lata lecą, deszcze dopomagają w niszczeniu kościoła, coraz mniej w osadzie pozostaje staruszków katolików, najbardziej zainteresowanych remontem budynku, a młodzież póki co, jeszcze na razie nie ma potrzeby słuchania Słowa Bożego. Ja jednak wierzę, że kiedyś nastąpi moment, że moje córki będą brać ślub w białostockiej świątyni, gdzie w 1929 roku wychodziła za mąż moja babcia. I nie przerwie się nić historii.

Postscriptum

Powiedzmy od razu: nić czasów nie przerwała się. Obecnie ten umęczony cierpieniem wiejski kościół znów jest Domem Bożym otwartym dla sprawowania w nim Mszy św. Stoi w nowym malowniczym miejscu w samym centrum osady, odbudowany i świecący świeżością wewnętrznego wykończenia oraz białością wieży wykonanej z ocynkowanego żelaza. Tak jak w dawnych, przeszłych latach szczyt dzwonnicy wieńczy wielki łaciński krzyż. Pod dachem dzwonnicy w czasie większych kościelnych świąt głośno dzwoni brązowy trzypudowy dzwon „Maria”, specjalnie odlany dla kościoła w syberyjskim Białymstoku przez mistrzów z dalekiej Polski.

Jak doszło do tego cudu, stworzonego Bożym zamysłem i ludzkimi rękami? Oczywiście wydarzyło się to wszystko nie od razu i potrzebowało wielkich wysiłków różnych osób. Jak już było powiedziane wyżej, odrodzenie katolickiej wspólnoty w osadzie można datować od 9 listopada 1990 roku, od dnia w którym Białystok odwiedził proboszcz z Tomsku. Szybko po jego wizycie we wsi została zarejestrowana parafia, której miejscowe władze z lekkim sercem oddały opuszczony i zrujnowany budynek dawnego kościoła. W czasie swej pierwszej wizyty w Białymstoku ksiądz Antoni Gsell z uwagą obejrzał budynek, z trudem doszukując się w nim dawnego kościoła.

Jak się okazało, odbudowa tego budynku z ruin potrzebowała o wiele więcej czasu i pieniędzy niż to się początkowo wydawało. Takich środków zarówno parafia tomska, jak i tym bardziej garstka białostockich katolików nie posiadała. Zaczęły się długie i nużące procedury poszukiwania niezbędnych do remontu środków, naciski na miejscową władzę, tworzenie społecznej opinii, poszukiwanie zainteresowanych w odrodzeniu świątyni osób i organizacji w Tomsku, w Rosji, w Polsce.

O losie świątyni i chęci jej odbudowy wiele razy informowano polskich dziennikarzy i zwykłych turystów z Polski, którzy od czasu do czasu pojawiali się we

wsi. W 1992 roku zniszczone ściany kościoła mogli zobaczyć rosyjscy filmowcy z Moskwy, pragnący udokumentować na taśmie filmowej tragiczne losy mieszkańców osady. Półgodzinny film pod tytułem „Białostocka tragedia” był nakręcony, zmontowany i po raz pierwszy pokazany w kwietniu 1992 roku przez TVP1. W tym samym czasie jego pokaz odbył się także w czasie międzynarodowej konferencji „Tydzień pamięci” w Warszawie. Dodam, że w tej konferencji mogłem i ja wziąć udział, zaproszony wraz z pięćdziesięcioma innymi członkami rosyjskiego Stowarzyszenia „Memorial”. Był to mój pierwszy wyjazd na ziemię przodków, wrażenie którego jest do dzisiejszego dnia świeże w mej pamięci.

Potem pokaz wspomnianego filmu odbył się 1 czerwca 1992 roku w rosyjskiej telewizji. Nasz Białystok stał się znany. Zaczęto o nim mówić i pisać. Za każdym razem powracało pytanie o konieczność odnowienia kościoła w Białymstoku.

Do kogo się nie zwracali w tej sprawie katolicy osady? Były to władze rejonowe, tomski gubernator, miejscowi deputowani różnych szczebli władzy, a także generalny konsul polskiej ambasady w Moskwie pan Michał Żurawski, który odwiedził Tomsk i Białystok w czerwcu 1992 roku.

Nikt nie odżegnywał się od pomocy w remoncie, ale z tych zapewnień nie wynikały konkretne kroki. Mijał kolejny dzień, przewidywany remont oddalał się w czasie, a budynek popadał w coraz większą ruinę.

Było można popaść w przygnębienie i stać się w tej kwestii pesymistą. Nie wiem, jak inni, ja jednak ciągle wierzyłem, że kościół będzie odbudowany. Wierzyłem nie tylko dlatego, że całą duszą tego pragnąłem i robiłem, co tylko mogłem, by temu dziełu pomóc. Wierzyłem w tę odbudowę, bo pewnego dnia otrzymałem symboliczne potwierdzenie słuszności tej drogi, niejako z góry. W końcu grudnia 1993 roku, kiedy ukazało się pierwsze wydanie książki „Białostocka tragedia”, moi przyjaciele i koledzy postanowili zrobić jej prezentację, do czego doszło 18 lutego 1994 roku w murach Technikum Budowy Maszyn w Tomsku, gdzie w tym czasie pracowałem. Było sporo wystąpień, wzniosłych słów i symbolicznych podarków, z których jeden oceniłem jako wspomniany znak.

Obecny na prezentacji kolega z „Memorialu” Georgij Szachtarin, historyk i przewodnik, w tym czasie również deputowany Rady Miejskiej, w obecności wszystkich gości wręczył w podarunku – starą przedrewolucyjną pieczęć parafii białostockiej, którą niedługo przed tym spotkaniem odnalazł w śmieciach na poddaszu budynku Rady Miejskiej. Podarował mi to niespodziewane znalezisko z nakazem przekazania go parafianom kościoła po jego odbudowie. Wybiegając naprzód, powiem, że to życzenie z największym zadowoleniem spełniłem, chociaż do tego momentu przyszło jeszcze poczekać cztery lata.

Ale, po kolei. Gruntowny przełom w losie wiejskiego kościoła nadszedł w chwili przyjazdu do Tomsku z Polski w 1994 roku młodego kapłana Kazimierza

Józwicka, który został wikarym u boku ks. Antoniego. Głównym zadaniem jego pracy duszpasterskiej była opieka nad katolikami mieszkającymi w oddalonych od Tomska punktach. Ksiądz Kazimierz zaczął często bywać w Białymstoku i wziął sobie mocno do serca życzenie białostoczan o odnowieniu świątyni. Ich marzenie stało się i jego marzeniem.

Energiczny ksiądz zaprosił do osady specjalistów architektów z Niemiec, którzy dali swoją zgodę na możliwość przeniesienia budynku kościoła w inne, bardziej malownicze miejsce. Wykonali także konieczne projekty restauracji budynku. Brygada budowniczych składająca się z Ormian, w innym miejscu postawiła nowy fundament. Dzieła rozbiórki kościoła i przenosin na nowe miejsce funkcjonowania podjęła się grupa polskich budowlańców, specjalnie dla tego celu przyjeżdżających na Syberię, kosztem własnych urlopów. Potem ich zmienili miejscowi ludzie, parafianie z Tomska i wielu innych. Jednym słowem, odbudowa małego wiejskiego kościółka stała się wspólnym dziełem bardzo wielu ludzi. Jednoczyli ich wszystkich w tym wysiłku ksiądz Kazimierz, a potem, jego następca, ksiądz Adam Romaniuk.

Księdzu Adamowi przypadł los zakończenia rekonstrukcji kościoła i przygotowania do powtórnego poświęcenia. On przywiózł z Polski, ze swojej rodzinnej parafii dla kościoła białostockiego stare płótno przedstawiające św. Antoniego Padewskiego, pod wezwaniem którego to świętego w 1908 roku był poświęcony kościół. Dostarczony został także dzwon dla parafii, specjalnie wykonany w Polsce.

Prace rekonstrukcyjne szły według swego planu. Ksiądz Adam niemal każdego dnia, jak doświadczony zaopatrzeniowiec, kursował pomiędzy osadą a miastem i na odwrót, dostarczając z Tomska wszystko to, co było niezbędne: gwoździe, szkło, przewody elektryczne i wiele innych rzeczy. A kiedy miał chwile wolnego, brał do ręki siekiere, młotek lub piłę i pracował jak zwykły budowlańiec. Jego przykład pobudzał do pracy tych białostoczan, którzy chcieli stać się uczestnikami tej budowy.

Remont zbliżał się do końca i już można było myśleć o wyznaczeniu daty poświęcenia kościoła. Polskie Centrum „Orzeł Biały” z Tomska, które okazywało wspólnotnie białostockiej daleko idącą pomoc w odbudowie, postulowało, żeby razem z poświęceniem kościoła zorganizować jednocześnie obchody stulecia samej wsi. Wówczas należało zaprosić na tę uroczystość nie tylko gości z Tomska, ale i z Polski, z polskiego miasta Białystok. Ta propozycja spotkała się ze zrozumieniem i została przyjęta na wszystkich poziomach władzy. Wystarczyło teraz wyznaczyć datę obchodów.

Po ustaleniach z władzami rejonowymi, zarządem miejscowej firmy rolniczej i radą wiejską, postanowiono przeprowadzić uroczystość w połowie czerwca 1998 roku, po zakończeniu prac wiosennych. Najbardziej odpowiednim dniem na uroczystość była niedziela 13 czerwca.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy po ustaleniu daty poświęcenia świątyni spojrzałem do katolickiego kalendarza i przeczytałem, że 13 czerwca cały katolicki świat obchodzi uroczystość św. Antoniego Padewskiego, tego samego, którego imię nosi białostocki kościół.

I oto nastąpił uroczysty dzień poświęcenia świątyni i świętowania stulecia osady. Bez przesady można powiedzieć, że było to wydarzenie, którego mieszkańcy siola nie przeżyli przez sto lat jego funkcjonowania. Obszerny program, liczni goście nie tylko z najbliższych miejscowości i wsi, ale i z Tomsku, Nowosybirska, Krakowa, Gdańska, polskiego Białegostoku, tego samego, który sto lat temu dał temu syberyjskiemu skrawkowi ziemi swoje imię.

Głównym wydarzeniem tych obchodów było poświęcenie kościoła przez biskupa nowosybirskiego Josepha Wertha. Wnętrze kościoła nie mogło pomieścić wszystkich chętnych, którzy chcieli wziąć udział w liturgii i usłyszeć okolicznościową homilię biskupa. W tych słowach zawarte były nie tylko rozmyślania o losie katolików małego siola Białystok, ale i rozważanie na temat historii i współczesnego życia katolików na całej Syberii. Przeczytawszy ją, możemy dojść do takiego przekonania: my ciągle jesteśmy u początku drogi do Najwyższego.

Homilia biskupa Josepha Wertha z uroczystości poświęcenia kościoła w Białymstoku 13 czerwca 1998 roku

Droga katolicka wspólnota św. Antoniego Padewskiego, drodzy goście!

Niezwykłe wydarzenie zebrało nas dzisiaj razem we wspólnych modlitwach i pieśniach. Dla tego kościoła ponownie przyjdzie prosić Wszchemogącego o poświęcenie.

W tym roku Białystok świętuje także swe stulecie i ja myślę, że nie popełnię pomyłki, jeśli powiem, że najważniejszym wydarzeniem w ramach tego świętowania, tak dla parafian, jak i dla wszystkich mieszkańców Białegostoku jest właśnie poświęcenie świątyni. Wierzę, że to wydarzenie przejdzie do historii Białegostoku. O nim będzie się wspominać i za sto lat, dlatego że to nowe poświęcenie waszego kościoła – to znaczące wydarzenie w dziele odrodzenia waszej katolickiej parafii, w dziele odrodzenia duchowości w ogóle na terenie naszego kraju.

Znany litewski pisarz napisał księgę – poemat „Katedra”, w którym mówi się o budowie katedry w mieście Wilnie, o historii tej świątyni, o jej upadku i ponow-

nym odrodzeniu. I poprzez opisanie historii głównej świątyni Litwy dokonuje się opis historii całego narodu. Taki też był zamysł autora.

Tak, drodzy bracia i siostry, także w tym kościele, który my dzisiaj poświęcamy po długich latach duchowego upadku, wyraża się cała historia Białegostoku. Dziękując waszemu krajanowi Wasylowi Haniewiczowi, my dzisiaj dobrze znamy tę historię i zapraszam was do rozmyślania nad losem Białegostoku, nad losem setek i tysięcy ludzi, zarówno z tej miejscowości, jak i całego naszego kraju.

W końcu XIX wieku zaczęli przybywać tutaj przesiedleńcy z Polski, z innych stron, żeby odkrywać surową syberyjską ziemię. Już na samym początku XX wieku, w 1902 roku zaczęła się budowa tego kościoła, dlatego, że wasi przodkowie nie wyobrażali sobie życia bez Boga, bez codziennej modlitwy. W 1908 roku, równo dziewięćdziesiąt lat temu, ten kościół został pierwszy raz poświęcony. Tutaj chrzczono dzieci, wasze babcie i dziadków, których nie ma już wśród żywych, tutaj wasi przodkowie brali śluby przed ołtarzem, obiecując sobie nawzajem wierność na całe życie.

Oto nadszedł rok 1917, potem lata dwudzieste, trzydzieste. Znać dobrze tragedię Białegostoku. To tragedia także i całego kraju. Już w początkach lat trzydziestych zamknięto wasz kościół, potem wykorzystywano go do różnych celów. Przez dziesiątki lat stała ta świątynia zamknięta dla wierzących i dopiero, poczynając od 1990 roku do dnia dzisiejszego, znów stało się możliwe głoszenie Ewangelii, nauczanie wiary, stało się możliwe odzyskać kościół i odbudować go.

Umiłowani, dzisiaj w pierwszej części Mszy św. usłyszeliśmy historię, która wydarzyła się dwa tysiące lat temu. Naród izraelski, który posiadał wspaniałą świątynię, został uwięziony i zmuszony do życia na obczyźnie przez siedemdziesiąt lat. Po powrocie z niewoli oni nie ujreli już tej świątyni. Została zburzona. Dlatego naród zapomniał przestrogi Boga, nie znał już Jego prawa.

I oto usłyszeliśmy, jak Ezra czyta narodowi prawo Boże. To był początek duchowego odrodzenia, za którym nastąpiło odrodzenie świątyni. Ludzie cieszyli się, wszyscy płakali, a Ezra powiedział: „Nie płaczcie i nie smućcie się, przecież dzisiaj wielki dzień”.

Kiedy Izraelczycy wzięli się za budowę, szybko stwierdzili, że ta świątynia, którą zaczęli wznosić, nie różni się od tej z czasów króla Salomona. Żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali ten kościół sprzed siedemdziesięciu lat. Naszła ich rozpacz i pesymizm. Ale prorok Agej napominał ich, mówiąc: „Tak mówi Bóg – napominam i mówię wam, że chwała tej ostatniej świątyni będzie większa aniżeli poprzedniej”. Te prorocze słowa Ageja wskazywały na Zbawiciela świata, na Jezusa Chrystusa, który wejdzie do tej świątyni i napelni ją sławą.

Drodzy bracia i siostry! Jeśli ktoś z was pamięta stary kościół i pamięta opowieści starych ludzi, waszych rodziców, dziadków, babć, jeśli wy czytacie wspomnienia,

książkę pana Haniewicza o tym, jak piękny był to kościół, ile było tu wspaniałych obrazów, luster, innych niezwykłych ozdób, to wy moglibyście się zmartwić. Ale obecnie także i waszej skromnej świątyni zaświeciła chwała Boża. Dzisiaj po zakończeniu Mszy św. zostaną tutaj święte dary i tutaj od dzisiejszego dnia zawsze będzie żyć z wami Jezus pod postacią chleba.

Drodzy bracia i siostry! Ten wasz kościół jest symbolem żywego powszechnego Kościoła. Kościół powszechny został założony przez samego Jezusa Chrystusa, to on jest architektem i budowniczym i to on także dzisiaj, od dwóch tysięcy lat podtrzymuje życie swojego Kościoła. Przy zakładaniu fundamentu udział brali apostołowie i męczennicy pierwszych wieków, skrapiając podstawy fundamentów własną krwią. Słyszeliśmy w Ewangelii, jak Chrystus powiedział do Piotra: „Ty jesteś opoka i na tej opoce ja zbuduję Kościół swój, a bramy piekiel nie pokonają go...”

Ściany tego Kościoła dźwigali święci wszystkich czasów. I ta praca przy budowie Kościoła Chrystusowego trwa po dziś dzień. Kiedy na skutek ludzkiej słabości i grzeszności gmach Kościoła groził zawaleniem, Bóg posyłał swoich świętych, jak na przykład św. Franciszka z Asyżu, św. Katarzynę, św. Teresę z Avila, św. Antoniego Padewskiego, św. Ignacego Loyolę i wielu, wielu innych, którzy wspierali upadający Kościół swoimi plecami, swoją modlitwą, wysiłkiem swojego świętego życia i wydobyli Kościół z kryzysu.

Tak i u was, w Białymstoku, kiedy został zamknięty ten drewniany kościół, żywy Kościół nadal żył. Zawsze znajdowali się w naszym kraju przez dziesiątki lat ludzie, staruszkowie, którzy uczyli młodych modlitw, chrzcili dzieci. To jest ten Kościół, w którym my wszyscy się odnajdujemy, a o którym mówi się w apostołskim wyznaniu wiary: „Wierzę w jeden katolicki i apostolski Kościół”.

Umiłowani! Dzisiejszy dzień – to przede wszystkim Dzień Błogosławieństwa. Zebraliśmy się na Mszy świętej, żeby błogosławić i czcić Boga za te wielkie dzieła, które On uczynił. Nie będziemy ustawać w błogosławieniu Go za te zmiany, które zaszły w ostatnich latach w naszym kraju. Dziękujemy w szczególności za wolność naszej wiary, którą znów posiadamy, za to, że u nas na Syberii są znów kapłani i zakony, a nade wszystko, że możemy odprawiać Mszę świętą. Przecież po latach trzydziestych wielu ludzi sądziło, że to już nigdy więcej nie powróci.

Pamiętam opowieść jednego starego katolika, który wspominał, jak w latach pięćdziesiątych po śmierci Stalina, kiedy zostały otworzone lagry i wypuszczono z nich księży, ktoś w ich mieście powiedział, że kapłan będzie wieczorem odprawiał Mszę świętą. To było dla niego wydarzenie, dla niego i wielu innych osób wierzących, jak ze snu.

I oto ten sen. To marzenie stało się jawą. Wy możecie przychodzić tutaj na Mszę i w Eucharystii przyjmować Jezusa Chrystusa, wasze dzieci mogą znów usłyszeć

o Bogu i można je wychowywać według Jego przykazań. Podziękujmy Panu Bogu za to Jego wielkie błogosławieństwo.

Chciałbym także podziękować kapłanom, podziękować waszemu proboszczowi księdzu Adamowi, który w ostatnim czasie razem z wami starał się o odbudowę tej świątyni. Podziękować należy innym księżom, którzy pomagali waszemu duchowemu odrodzeniu, chcę podziękować siostram, budowniczym i wielu, wielu innym, którzy przyczynili się do odrodzenia tego kościoła z drewna i kamienia, jako żywej świątyni Kościoła Chrystusowego.

Swoje podziękowanie chcę wyrazić także władzom miejscowym. Chwała Bogu, że minęły straszne czasy konfrontacji pomiędzy władzą a religią i odnowienie kościoła w Białymstoku było możliwe również dzięki otwartemu stosunkowi do Kościoła konkretnych władz. Niech im Bóg wynagrodzi za wszystko, co zrobili.

Całkiem niedawno przypadło mi spotkać się z wieloma proboszczami i wikariuszami polskiego miasta Białegostoku. W rozmowie z nimi powiedziałem, że w Białymstoku 13 czerwca będzie poświęcony katolicki kościół. Oni zamilkli i nie wiedzieli co odpowiedzieć, dlatego, że im było wstyd, że pochodzą z tego miasta i nie wiedzą, że w Białymstoku 13 czerwca będzie poświęcenie kościoła. I dopiero wówczas, gdy im wyjaśniłem, że to nie polski Białystok, a syberyjski, wtedy odetchnęli z ulgą i długo jeszcze rozmawialiśmy o tym. Wtedy byłem nieco rozczarowany, że ci duchowni nic nie wiedzieli o was, ale teraz zobaczyłem, że wielu już zna ten drugi, małeńki Białystok i ja bardzo proszę, żebyście dalej podtrzymywali i rozwijali tę znajomość.

Dzisiaj w naszym kraju żyje się ludziom niełatwo. U wielu powstaje pokusa, w jaki sposób stąd wyjechać. Myślę, że to nieprawidłowe myślenie. Starsi ludzie, którzy przeżyli te wszystkie lata prześladowań, otrzymali od Boga pewien dar, niejako wymodlili u Boga dar nawrócenia Rosji, i teraz, kiedy to nawrócenie następuje, życie w naszej ojczyźnie to wielkie błogosławieństwo.

Pewna kobieta powiedziała tak. Ona pochodzi z rodziny rosyjskich Niemców i widząc, że wielu jej rodaków wyjeżdża do Niemiec, tak powiedziała: „A ja chcę zostać w Rosji, w kraju, o którym Maryja w Fatimie mówiła, że to tu właśnie wiara rozkwitnie tak, że to będzie prawdziwie wierzący kraj”.

Jesteśmy wszyscy obywatelami tej Rosji, tego kraju, jeśli nawet było nam ciężko przez długie dziesięciolecia, jeśli nawet nasi krewni ginęli tysiącami czy nawet milionami. Ale dzisiaj ponownie weszła jutrzeńka wolności religijnej, dzisiaj my ponownie otwieramy nowe kościoły i my powinniśmy zostać tutaj, żeby wzmacniać ten niełatwy proces swoją modlitwą.

Drodzy bracia i siostry! W ostatnim czasie, w ostatnich tygodniach i miesiącach na Syberii w Kościele katolickim zaszły ogromne zmiany. Nie będę już mówił o tym, że siedem lat temu Ojciec Święty ustanowił kościelne struktury, ustanowił

nasze biskupstwo, że w zeszłym roku w sierpniu 1997 roku w Nowosybirsku została poświęcona katedra, że ponad miesiąc temu uczestniczyłem w Sankt Petersburgu w poświęceniu byłej katolickiej katedry. Potem 31 maja tego roku w Nowosybirsku został wyświęcony nowy biskup, 7 czerwca uczestniczyłem w wyświęceniu drugiego biskupa w obwodzie sarańskim w mieście Marks.

Obecnie mamy w Rosyjskiej Federacji czterech katolickich biskupów, ciągle otwierają się nowe kościoły, wierni ponownie słyszą Słowo Boże. Dzisiaj na Syberii pracuje siedemdziesięciu księży. Ja muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy w historii tylu kapłanów katolickich nie pracowało w tym kraju. Prawda, nie było tylu katolików, którzy są rozsiani na ogromnym terytorium około trzynastu milionów kilometrów kwadratowych.

Odbudowa świątyni – to dzieło bardzo trudne, niemożliwe do realizacji w siedem lat, minie zatem jeszcze wiele lat i ci, którzy nie mogą fizycznie uczestniczyć w tych pracach, babcie, dziadkowie, wszyscy inni powinni wspomagać ten proces odrodzenia, odbudowy Kościoła katolickiego, swoimi modlitwami. Jeszcze raz wzywam was do tego, jeszcze raz dziękuję wam za wasze uczestnictwo w odrodzeniu tego kościoła i jeszcze raz pozdrawiam was z okazji tego wielkiego święta.

Kiedy byłem w Rzymie, a w tym roku udało mi się być już dwa razy, ostatnio na synodzie biskupów Azji, prawie cały miesiąc siedzieliśmy w jednym pomieszczeniu z Ojcem Świętym i wraz z nim uczestniczyliśmy w tym synodzie. Na początku posiedzeń papież często zwracał się do nas z krótkim przesłaniem. Często wspominał Sybir, myślę, że częściej niż inne kraje. To świadczy o tym, że Ojciec Święty myśli o was. Mówił mi niejeden raz, że każdego dnia modli się za nas i zawsze posyła przeze mnie błogosławieństwo dla wszystkich wiernych na Syberii. I to błogosławieństwo będzie obecnie włączone w moje błogosławieństwo biskupie.

„Pchli wyrok” lub chłopski paragraf

W ostatnich latach dowiedzieliśmy się sporo o powstałym w latach trzydziestych w naszym kraju bezprawiu i przestępstwach, wcześniej nieznanych nie tylko czytelnikom, ale i historykom. Obecnie, mówiąc o dokonanych w tych latach zbrodniach, głównie wspominamy o takiej strukturze, jak NKWD i jego ulubionym, wszystko ogarniającym 58 paragrafie Kodeksu Karnego, na podstawie którego były osądzone miliony obywateli.

Poznanie zawartości archiwów i wspomnień starszego pokolenia pozwala stwierdzić, że niemniej masowy terror, głównie w odniesieniu do chłopstwa, rozpoczęto znacznie wcześniej niż w 1937 roku, czyli jeszcze przed kolektywizacją i trwał nie jedną dekadę lat.

Mam na myśli masowe sądenie chłopów za niepłacenie lub niedopłacanie licznych finansowych i naturalnych podatków. Ktoś może powiedzieć, że za to nie rozstrzeliwano i przez długi czas nie aresztowano. Tak, zgadza się. Do takich przestępców głównie odnosił się paragraf 61 część 3 Kodeksu Karnego, przewidujący maksymalną karę w wysokości dwóch lat poprawczo-robotniczych łagrów.

Aresztowanych z tego paragrafu nazywano w łagrach „życiowcami”, a czas uwięzienia – „pchlim”. No i te „pchle” wyroki, rozdawane masowo, kaleczyły losy milionów prostych pracowników, rozłączając ich z rodzinami, niekiedy na zawsze. Ten „czysto chłopski paragraf” dawał w tym czasie nieograniczoną okazję do samowoli miejscowych władz i organów sądowniczych.

Dobrą ilustracją tej sytuacji jest los jednego z mieszkańców Białegostoku, mojego krajana Rafała Sierko, rok urodzenia 1888. W 1933 roku on razem z innymi mieszkańcami wsi, Wincentym Sienko i Adamem Maziukiem, był skazany z paragrafu 61 na dwa lata pozbawienia wolności za niezapłacenie

podatków i za mityczną „eksploatację najemnej siły roboczej”. Karę wszyscy trzej odbywali w poprawczo-robotniczym zakładzie, wówczas jeszcze posesiołka, Kołpaszewo, w rejonie narymskim. Podczas uwięzienia Sierko poważnie zachorował na malarię i szybko, na podstawie postanowienia komisji specjalnej z 19 czerwca 1934 roku, został warunkowo zwolniony. Jak wspominał jego syn Piotr Sierko, przywiózł wówczas z matką swojego ojca z Kołpaszewa ledwo żywego. Kiedy Rafał wstał na nogi, zaczęto namawiać go do wstąpienia do kolchozu, ale odmawiał, powołując się na słabe zdrowie. Wtedy obłożono go ze wszystkich stron podatkami, którym nie było jak sprostać.

27 marca 1936 roku sąd rejonu kriwoszeińskiego ponownie skazał Rafała Sierko na dwa lata uwięzienia, zgodnie z dobrze nam już znanym paragrafem. W wyroku napisano, że został skazany za to, że „w momencie wręczenia mu jego obowiązków na rok 1936, stanowczo odmówił ich wykonania, a także nie rozliczył się z szeregu innych obowiązków. Biorąc pod uwagę osobowość podsądnego, stwierdzić należy, że on wielokrotnie był karany grzywnami, ponadto w białostockiej radzie wiejskiej spośród dziewięćdziesięciu trzech gospodarstw obowiązek zasiewu przyjęły tylko trzy gospodarstwa”.

Rozporządzeniem okręgowego sądu narymskiego z 1 września 1936 roku sprawa R. Sierko była rozpatrzona ponownie i została przekwalifikowana na paragraf 61 część 2, w której wyrok odosobnienia ograniczał się do jednego roku. Ten rok Rafał odbył w dmitrowskim łagrze NKWD, budując wraz z dziesiątkami tysięcy więźniów znany kanał „Wołga – Moskwa”.

Odbywszy karę, ponownie wrócił do osady. Jednak, jeszcze nie zdążył przyjść do siebie po łagiernej strawie i niewolniczej pracy, kiedy 2 września 1937 roku ponownie, już po raz trzeci, został skazany ze znanego paragrafu 61 KK na dwa lata łagru. Podstawą do takiego orzeczenia sądu przeciwko R. Sierko i jeszcze jednemu białostoczaninowi Michałowi Sajewiczowi, był materiał od prokuratora rejonu kriwoszeińskiego o tym, że: „obwinieni Sierko i Sajewicz, ściśle ze sobą współpracując, po wzajemnym porozumieniu odmówili wypełnienia obowiązku dostawy ziarna. (...) Oprócz tego, uchylił się od zapłaty innych podatków. Posiadając obowiązek dostawy mięsa w ilości sześćdziesięciu dwóch kilogramów, także tego nie zrealizował, podobnie nie zapłacił podatku finansowego w wysokości tysiąc sześćdziesiąt dwa ruble”.

Tym razem Rafała Sierko wysłano do łagru jurginińskiego. Jak wspominał syn Piotr, zimą 1937 roku otrzymali od ojca tylko jeden list. Więcej żadnych wieści od niego rodzina nie otrzymała.

Zapytania do różnych instancji o los ojca nie dały żadnych rezultatów. Do dzisiejszego dnia jego syn nie wie, gdzie znajduje się mogiła ojca, jeśli ona w ogóle istnieje. Nawet nie wie, czy ojciec będzie zrehabilitowany. Choć przecież paragraf karny i wyrok błahy, jednym słowem „pchli wyrok”.

Kto może powiedzieć, ilu było w kraju takich „kryminalistów” podobnych do Rafała Sierko, osądzonych według słynnego 61 paragrafu i innych paragrafów karnych oraz rozporządzeń władz tylko za to, że nie mogli udźwignąć w takie ciężkie czasy sowieckiej pańszczyzny ekonomicznej? I kim oni są: kryminalistami, nie posiadającymi prawa do rehabilitacji, czy jednak ofiarami represji stalinowskich, osądzonymi przez słynne „trójki” czy specjalne posiedzenia OSO? Kto na to pytanie odpowie?

Jak zakładano nasz kołchoz?

Wspominam taki zwyczaj z mojego szkolnego dzieciństwa w latach siedemdziesiątych: na jednej z lekcji historii nauczycielka zaczęła pytać nas, kim są nasi rodzice i do jakich klas społecznych oni należą. Moja odpowiedź, że moi rodzice i ja sam uważamy się za chłopów, wywołała śmiech w klasie i ironiczny uśmiech nauczycielki. Dzieciarnia śmiała się, wyobrażając sobie mnie z sochą na polu, poganiającego konia. Nauczycielka odpowiedziała, że moja odpowiedź nie jest prawdziwa, ponieważ chłopstwa, jako klasy, u nas faktycznie nie ma. Stan złał się w jedno z klasą robotniczą, a moi rodzice, pracujący w sowchozie, praktycznie niczym nie różnią się od robotników państwowych zakładów przemysłowych. Dla potwierdzenia swych słów zaczęła dalej opowiadać o zbliżeniu się miasta i wsi, o podobnych poziomach życia obu tych środowisk.

Dlaczego takie wyjaśnienie mnie nie przekonało? Przecież moi rodzice mieszkają na wsi, myślałem, a nie w mieście. Później dopiero zrozumiałem, że nauczycielka miała rację, choć sama tego nie rozumiała. Moi rodzice nie byli chłopami, tak jak i inni mieszkańcy mojej wsi. Choć pracowali na roli.

Skończyło się nasze chłopstwo w początku lat trzydziestych w czasie kolektywizacji stalinowskiej, chłopą, dawcę chleba, zmienili kołchoźnik i sowchoźnik z całkiem odmienioną świadomością i zupełnie innym stosunkiem do ziemi i pracy. Jeśli nawet uchroniło się coś z tych pierwocin w kołchoźnikach, z wcześniejszego chłopskiego bytowania, w sposobie zapamiętania się w pracy, w oszczędności i gotowości przyjsia na pomoc „wszystkim światom”, to wszystko z czasem stopniowo uleciało.

Kolektywizacja stała się jednym z najcięższych, jeśli chodzi o następstwa, przestępstwem wobec własnego narodu. Jak powiedział Aleksander Sołżenitsyn, wielki kronikarz totalnego narodowego niszczenia Rosjan, wszystko, co

zdarzyło się w kraju po kolektywizacji, było niczym innym, jak tylko następstwem tego pierwszego.

Właśnie wtedy ostatecznie złamano kręgosłup rosyjskiego chłopstwa, a więc i rosyjskiemu narodowi, a w kolejne lata go tylko dobijano. Organizowana według jednego scenariusza płynącego z moskiewskiego Kremla, ta tak zwana „kampania” kolektywizacji przeszła jak trąba powietrzna przez każdą wieś, aul, kiszłak, chutor. Nie ominęła czara goryczy i mojej rodzinnej wsi. Jak do tego doszło, opowiedzieli najstarsi mieszkańcy siola, wykorzystałem również materiały archiwalne rady wiejskiej oraz NKWD.

Jak wiadomo, czasy „wielkiego przełomu”, tj. masowej kolektywizacji, nastąpiły pomiędzy końcem lat dwudziestych i początkiem trzydziestych. W Białymstoku kołchoz został założony dopiero w kwietniu 1935 roku. O tym, czym było dla mieszkańców wsi te pięć lat oporu przeciwko kolektywizacji, można się tylko domyslać.

Jakich tylko sposobów nie wykorzystywano z bogatego arsenału metod przez organy władzy i aktywistów ruchu kołchozowego przeciwko sprzeciwiającym się kolektywizacji! To było pozbawianie praw wyborczych, czasy presji podatkowej, wyprzedaż majątku, rozkułaczanie, aresztowania, sądy... Bodajże nie było tylko zsyłki rodzin rozkułaczonych ze wsi dalej, w wasiu-gańskie błota. Ale za to nieraz mieszkańcy wsi obserwowali, jak zsyłano innych. Poczynając od 1930 roku, po drodze narymskiej, przez wieś, bardzo często zimą wędrowały na północ okręgu karawany rozkułaczonych chłopów. W samej wsi znajdowali czasowe przyjęcie.

Jak opowiadał W. Proński, w ich domu pewnego razu w początku lat trzydziestych mieszkał jeden staruszek – Osetyńczyk. W swojej ojczyźnie posiadał hodowlę owiec liczącą sto pięćdziesiąt sztuk. Nie chciał wstąpić do kołchozu – został wysłany na Syberię. W domu Adama Maziuka mieszkali zesłani mułlowie. Według wspomnień Prońskiego, on i jego rówieśnicy z wielką ciekawością obserwowali, jak modlili się ci duchowni. Kiedy zaczynały modlitwy, nikt ich nie mógł odwieść od tego zajęcia. Niedługo pobyli w osadzie, wkrótce zostali wysłani gdzieś dalej na Syberię.

Jednym słowem, znali moi krajanie konsekwencje sprzeciwiania się kolektywizacji we wsi, ale wiedzieli także i to, jak żyje się świeżo upieczonym kołchoźnikom. Przykład pracy kołchozu w sąsiedniej wsi Wozniesience, założonego przez miejscowych aktywistów jeszcze w 1930 roku, mówił wiele. I na koniec – chłopcy byli na swoich, uciekając się pod opiekę Matki Boskiej, liczyli na to, że Ona nie dopuści do zagrabienia ich chłopskich gospodarstw.

Trzeba też zauważyć, że nie wszyscy tak myśleli i postępowali. Oprócz przeciwników założenia we wsi kołchozu, byli także zwolennicy kolektywi-

zacji. W ich liczbie znajdowali się miejscowi aktywiści, rekrutujący się zazwyczaj spośród „wiejskiego proletariatu”, pracowników rady wiejskiej i wiejskiej inteligencji w osobach nauczycieli i pracowników czytelní. Pod pojęciem „wiejskiego proletariatu” rozumiem tych ludzi, którzy nie posiadali własnego, choćby najdrobniejszego, gospodarstwa, byli to w większości miejscowi żule i pijacy, którzy poczuli przy władzy sowieckiej, że mają prawo do decydowania o losie innych i pouczenia drugih, jak powinno się żyć.

W zestawie wiejskich aktywistów znajdowało się sporo tak zwanych „średniaków”, rozglądających się za czymś lepszym dla siebie i swoich rodzin, nie wchodzili w konflikt z władzami, a jedynie płynęli z toczącymi się wydarzeniami, nie sprzeciwiali się „generalnej linii”. Istotę takiej postawy wyraził jeden z nich w rozmowie z sąsiadem następującym stwierdzeniem: „Moją sprawą jest agitować za powstaniem kołchozu, twoją – odżegnywać się od niego...”

Jak poświadczają dokumenty archiwalne białostockiej rady wiejskiej z początku lat trzydziestych, właśnie w takim duchu następowała przez szereg lat agitacja na rzecz kołchozu. Przyjeżdżał jakiś pełnomocnik rejonowy, zbierał ludzi ze wsi i występował z płomiennym przemówieniem, wzywając do zapisania się do kołchozu. Po nim głos zabierali miejscowi aktywiści i w ślad za pełnomocnikiem, obiecywali z chwilą powstania kołchozu rajskie życie, wykazywali przy tym gotowość wstąpienia do kołchozu jako pierwsi. Jak tylko naczelnicy wyjeżdżali ze wsi, rzecz można, postawiona kwestia wisiła w powietrzu.

Tak dokładnie stało się po przyjeździe do Białegostoku pełnomocnika Skoliannego, specjalnie w tym celu 22 marca 1930 roku. Z poparciem dla niego na zebraniu wiejskim wystąpił przewodniczący rady wiejskiej Marcin Majsak, ale więcej chętnych do bycia kołchoźnikami wówczas się nie znalazło. Podobna sytuacja zdarzyła się w czasie wiejskiego zebrania 24 czerwca 1931 roku, na którym pełnomocnik rejonowego komitetu wykonawczego Wiśniewski wystąpił z wyjaśnieniem, dlaczego gospodarstwo kołchoźnicze jest lepsze od indywidualnego i „drobiazgowo scharakteryzował palący problem kolektywizacji na podstawie likwidacji kułactwa, jako klasy społecznej”. Po wystąpieniu aktywistów Majsaka i Nikołajenko, nowy przewodniczący rady wiejskiej Drozdow zakończył zebranie słowami: „kolektywizacja to jedyna droga wyjścia z biedy i nędzy” i wezwał białostoczan do zapisywania się do kołchozu.

Szczęśliwym kołchoźnikiem nikt nie chciał być i w tym wypadku wezwanie pozostało bez echa. Nie udało się władzy wprowadzenie kolektywizacji we wsi także i w następnym 1932 roku. Podobnie było w 1933 i 1934 roku. Przez to przewodniczących rady wiejskiej, jako nie dającym sobie rady z głównym zadaniem „tej chwili”, zamieniano na innych. Zmieniano składy

rad wiejskich, ale pytanie o kolektywizację we wsi nadal pozostawało otwarte. Aktywiści tłumaczyli tę sytuację intrygami wrogów klasowych, którzy, jak wyraził się na kolejnym zebraniu, jeszcze w 1932 roku, nauczyciel Chwalko: „jako wróg klasowy włączy wszędzie i działają w całej radzie białostockiej, ale członkowie rady zwracają na to zbyt małą uwagę, a wroga trzeba rozbić”.

Do wrogów klasowych zaliczono miejscowych mieszkańców Adama Maziuka, Ludwika Karpisza, Wincentego Sienko, Michała Bielskiego i wielu innych rolników tylko za to, że jeden z nich miał odziedziczoną po ojcu cześć salni wełny, drugi jeszcze w 1914 roku zbudował u siebie wiatrak, spalony zresztą w 1923 roku, trzeci w czasie NEP-u posiadał u siebie sklepik spożywczy...

Ich gospodarstwa zostały ogłoszone kułackimi, mienie ich skonfiskowano, a ich samych pozbawiono praw wyborczych. Adama Maziuka i Wincentego Sienko osadzono w 1932 roku na dwa lata w więzieniu. Jednym słowem, czyniono wszystko, żeby stworzyć warunki do pospiesznej kolektywizacji, ale nawet mimo takiej presji nie udało się stworzyć kolchozu we wsi.

2 czerwca 1934 roku w Komitecie centralnym partii komunistycznej odbyło się kolejne posiedzenie w kwestii kolektywizacji, na którym wystąpił z przemówieniem Józef Stalin. Tam wypowiedział się o kończącym się etapie kolektywizacji w kraju.

Po kilku miesiącach groźne dyrektywy komitetu centralnego o zakończeniu kampanii kolektywizacji dotarły i do syberyjskiej prowincji. Żeby błyskawicznie załatwić dyrektywy o kolektywizacji, organy władzy z rejonu kriwoszeińskiego wsparły się siłą NKWD. Wypadki, które nastąpiły w Białymstoku, związane z powstaniem kolchozu, były wykonywane według scenariusza organów siłowych. Scenariusz ten był prymitywnie prosty i stary: aresztować najbardziej sprzeciwiających się kolektywizacji, a potem zorganizować proces pokazowy, żeby przestraszyć pozostałych.

W styczniu 1935 roku został zebrany przez pracowników kriwoszeińskiego NKWD szereg materiałów kompromitujących wielu mieszkańców wsi. Na początku lutego naczelnik narymskiego NKWD Marton podpisał wniosek o aresztowaniu i doprowadzeniu do sądu siedemnastu mieszkańców Białego-stoku i sąsiednich chutorów za to, że oni jakoby prowadzili „antysowiecką i antykolchoźnianą agitację, doprowadzili do rozbicia grupy inicjatywnej organizującej we wsi kolchoz, a także w poczuciu klasowej nienawiści mieli porozumieć się co do zabójstwa przewodniczącego rady wiejskiej i niektórych innych aktywistów we wsi”.

W dniach 1–3 lutego 1935 roku pięciu spośród owej siedemnastki zostało aresztowanych i odwiezionych do rejonowego oddziału NKWD. Od pozostających

stałych wzięto podpisy o zgodzie na nieoddalanie się od wsi aż do postanowienia sądu. Przybyły do osady współpracownik narymskiego NKWD Tjutjunnik wraz ze swoimi towarzyszami z oddziału kriwoszeińskiego zaczął zbierać i protokołować dowody „zbrodni” aresztowanych. W krótkim czasie przesłuchano jako świadków dwadzieścia dwie osoby, część z nich to miejscowi aktywiści. Czego oni nie wygadywali na swoich sąsiadów – w jedno łączyli prawdę z domysłami, przedstawiali liczne codzienne konflikty jako walkę klasową itd.

Według niemal wszystkich aktywistów, głównymi przeciwnikami zadań partii i władz we wsi byli wcześniej rozkułaczeni Bielski, Karpisz i Maziuk, którzy niedługo wcześniej wrócili do wsi zwolnieni z uwięzienia. Pozbawieni w pełni całego swojego majątku w wyniku rozkułaczenia, nie tak dawno nie kryli swej nienawiści do inicjatorów zagrabienia ich gospodarstw, co nie mogło nie zostać ujęte w raporcie śledczego NKWD. Tak Stefan Poturemski wykazywał, że jeszcze wiosną 1934 roku Maziuk i Karpisz „tworzyli intrygę, by go zabić, ponieważ to on kupił ich majątek przy rozkułaczeniu”. Alfons Szparkowicz przekonywał, że wiosną 1933 roku został pobity w domu Stanisława Kondrackiego przez polskiego zbiega Napoleona Surgiela, który jakoby przy biciu wykrzykiwał: „masz swój kolchoz”, potem pobił go także „kułak Adam Maziuk”.

Aktywista Nikołaj Artemow poinformował o stosunkach pomiędzy wszystkimi sąsiadami w chutorze, dodając, że stale jest obiektem napadów ze strony Agaty Kaczan, siostry Adama Maziuka i jej syna Józefa za to, że „ujawnił” (takim słowem oficjalnie określało się wtedy donosicielstwo) u nich pięć owiec, ukrytych przed nałożeniem na nie podatków.

W protokole przesłuchań aktywisty Hipolita Kisiela przeczytać można, że pewnego razu biesiadował z nim Piotr Luty i wykazywał niezyciowość kolchozów, a kiedy dowiedział się o zabójstwie sekretarza komitetu centralnego Kirowa, powiedział: „nie ma co żałować, jednego zabili, gorzej nam od tego nie będzie”.

Na młodszego brata Piotra Lutego – Jana otrzymano donosy, że kolportował wśród miejscowej ludności antykolchoźniane hasła, przeczytawszy je w liście, otrzymanym przez Franciszkę Jocz od byłego proboszcza. W następstwie, na przesłuchaniu Jan Luty potwierdził, że w istocie chodził dowiadywać się, co pisze ksiądz z zagranicy. Dowiedział się jedynie, że korespondencja przyszła z Włoch, ale „nic więcej z listu nie mógł zrozumieć”.

Na pytanie śledczego NKWD, dlaczego w Białymstoku, nie zwracając uwagi na wysiłki „wielu sił kultury”, w tym także nauczycielstwa, do tej pory nie ma kolchozu i we wszystkich kampaniach politycznych wieś ciągnie się w ogonie, był kierownik szkoły Chwalko odpowiedział:

„Dobrze znam wieś od 1927 roku, a w okresie 1932–1934 pracowałem tutaj jako kierownik szkoły. Białystok to kwintesencja reakcyjnych nastrojów. Ani jedno zadanie władzy sowieckiej i partii przez mieszkańców Białegostoku nie jest przyjmowane prawidłowo i zawsze napotyka na sprzeciw ze strony ludności. Przykładowo, w 1931 roku, na demonstrację w święto 1 maja spośród całej ludności wsi liczącej około osiemset osób przybyło zaledwie siedmiu ludzi. Pozostali, tak jakby to był dzień wielkanocny, poszli do kościoła lub siedzieli w domach. Uczniowie w komplecie pobiegli do kościoła, a na demonstrację nie poszli. Wszystko to działo się i dzieje nadal dzięki wpływom klasowo – obcych, wrogich władzy sowieckiej sił kułackich...”

Tak zwane „przesłuchania świadków”, aktywistów Adolfa Bielawskiego, Józefa Nazaruka, Antoniego Pilatowa, Antoniego Kisiela, Wasyla Daszczuka, Piotra Czerwonego (dyrektora szkoły), Pawła Wereszczagina (kierownika czytelní), pracowników rady wiejskiej – Michała Korszunowa, Iwana Serguna, Iwana Tatkina, niczym nie różniły się od wyżej przytoczonych, dopełniające były jedynie nowymi szczegółami poszukiwania „klasowo – obcych” sił we wsi.

To dzięki ich staraniom do liczby „wrogich sił”, oprócz wcześniej wymienionych, zostali zaliczeni także bracia Michnia – Wincenty, Antoni i Feliks, a także Edward Jocz, Trofim Popow, Maciej Pilewicz, Afanazy Ignatow, Paweł Maziuk i Bronisław Proński.

Oprócz Bronisława Prońskiego wiceprzewodniczący rady wiejskiej Iwan Sergun chciał przekazać NKWD także jego żonę Annę, córkę Lidię i syna Pawła. Powodem było to, że podczas aresztowania Bronisława 17 lutego 1935 roku żona i dzieci Prońskiego bronili ojca, występując przeciwko pracownikom rady wiejskiej z łopatą i drewnianym młotkiem. Po tej „zbrodni” został sporządzony do NKWD donos, żeby zastosować wobec Prońskich kategoryczne środki, żeby „nie dopuścić do sytuacji, że pozostałe masy będą wzorować się na tym zarażającym przykładzie”. Pojawiła się także prośba, żeby pociągnąć do surowej odpowiedzialności i „przesłuchać administracyjnie” Stanisława Lutego, który dawał możliwość ucieczki z domu Bronisławowi Prońskiemu, a tym samym pozwalał mu uniknąć aresztu.

Dlaczego prośba Serguna do NKWD została bez następstw i rodzina Prońskiego nie została postawiona przed sądem? Według orzeczenia starszego śledczego narymskiej prokuratury Mitina, śledztwo w odniesieniu do samego Prońskiego i jeszcze siedmiu innych mieszkańców wsi zostało przerwane „z powodu niewystarczających dowodów winy”.

Sprawę Feliksa Michni wydzielono do osobnego rozpatrzenia, „jako jawnie wyglądającą na szpiegostwo”, dlatego, że on sam przyznał się, że w 1931 roku

z polecenia swego ojca jeździł do polskiego konsulatu w Moskwie w celu otrzymania zgody na wyjazd do Polski.

Aresztowanie, obejmujące osiem osób, zostało potwierdzone przez prokuratora Stanikowa, wydano również zgodę na prowadzenie pokazowego procesu nad przeciwnikami kolektywizacji we wsi w celu nastraszenia wszystkich pozostałych. Przed procesem pokazowym, jeszcze 17 marca 1935 roku, odbyło się posiedzenie przygotowujące sądu okręgowego w Narymju, na którym praktycznie przesądzono los sądzonych białostoczan, przyznawszy każdemu paragraf KK z odpowiednimi wyrokami więzienia. Posiedzenie 4 kwietnia narymskiego sądu okręgowego na sesji wyjazdowej obliczone było głównie na zastraszenie mieszkańców Białegostoku i sąsiednich wsi, sprzeciwiających się kolektywizacji.

5 kwietnia 1935 roku sąd skazał Adama Maziuka, Ludwika Karpisza, Michała Bielskiego z artykułu 58 – 10 na dziesięć lat łagrów, braci Piotra i Jana Lutyh na osiem i trzy lata uwięzienia, Stanisława Kondrackiego na sześć lat, Józefa Kaczana i Napoleona Surgieło na pięć i cztery lata życia w gułagu.

„Sądy skazują, a gułag wychowuje” – takimi słowami można określić dalsze losy osądzonych: tylko trzem z nich udało się wyjść na wolność i w następstwie umrzeć w domu własną śmiercią. Bielskiego zwolniono przedterminowo po ośmiu latach „z uwagi na stan zdrowia”, tzn. bez żadnego zdrowia. Maziuk został zwolniony w 1946 roku, odsiedziawszy pełne dziesięć lat, Kondracki zamiast sześciu odsiedział dwanaście lat i został zwolniony dopiero w lutym 1947 roku. Wyszedł z łagru w 1937 roku Jan Luty, który otrzymał na procesie najniższy wyrok trzech lat uwięzienia, ale w końcu października tego samego roku ponownie został aresztowany i 8 stycznia 1938 roku rozstrzelany. Jego starszy brat Piotr zmarł 19 kwietnia 1942 roku w łagrze NKWD. Według postanowienia „trojki”, przyspieszonego sądu, w łagrze kołymskim został rozstrzelany Ludwik Karpisz. Na wieczność pozostali w ziemi magadańskiej Józef Kaczan i Napoleon Surgieło. Taka była cena białostoczan za wdrażanie w życie programu partii Lenina i Stalina o kolektywizacji całego kraju.

Można zapytać, a co z kolchozem? Od razu po procesie pokazowym aktywiści zorganizowali kolchoz, nazwano go „Krasnyj sztandar”². Przewodniczący rady wiejskiej w Białymstoku Iwan Tatkin podziękował organom władzy za pomoc w organizacji kolchozu, nieco później, w latach 1937–1938, pomagając im ujawnić wrogów narodu także wśród swoich przyjaciół – akty-

² Tak brzmiała nazwa w oryginale, czyli użyto pół nazwy polskiej, pół rosyjskiej – przyp. tłumacza.

wistów. Na razie, w dziewięć miesięcy po pokazowym procesie, na zebraniu wiejskim 16 stycznia 1936 roku przy raporcie rady o wykonanej pracy, z zadowoleniem stwierdził gromadny wzrost kolektywizacji we wsi. Zakończył swoje wystąpienie tak: „Nie można zatrzymywać się na już osiągniętym miejscu, ponieważ we wsi nadal są indywidualne gospodarstwa, sabotujące plany władzy sowieckiej...”

Do dzisiaj we wsi funkcjonuje kołchoz, prawda, dziś pod inną nazwą „przedsiębiorstwo wiejskie”. Nowe prądy farmeryzacji nie doleciały jak na razie do tego miejsca. Moi krajanie z trudem wychodzą z kołchozu, z oporem odzyskują oddaną w latach trzydziestych ziemię, nie chcą stać się ponownie samodzielnymi gospodarzami, tj. nazywając to współczesnym językiem, farmerami.

Każdy z nich oczekuje konkretnej pomocy w dziele farmeryzacji (już nie wiem od kogo), a może część nie bierze tej ziemi z obawy, że znów przyjdą czasy, kiedy zaczną ich rozkułaczać. To taka dialektyka naszego rosyjskiego życia.

Chciałbym się uczyć polskiego

*Atakować język narodu –
To znaczy atakować jego serce*

Henryk Laube

Nie ma na Syberii żyje takich ludzi, co noszą polskie nazwiska. Dużo mniej wśród nich jest tych, którzy uważają się za Polaków. I, na nie-szczęście, tylko nieliczni uratowali język swoich przodków, ich starą kulturę i tradycję. Nie można ich za to winić, nie wini to, a bieda.

Jeszcze w czasach władzy carskiej Polakom, którzy znaleźli się na Syberii, rzecz jasna nie z własnej woli, w liczbie licznych zakazów był i ten niezezwalający na otwieranie szkół dla swoich dzieci. W czasach sowieckich bolszewicy, dobrze rozumiejąc, że język narodu związany jest z duchem narodu, propagując „proletariacki internacjonalizm”, zaczęli planowo i metodycznie wdrażać w życie wszystkich mniejszości narodowych kraju leninowsko-stalinowską politykę narodową. W jej rezultacie na świat przychodziło pokolenie ludzi bez własnych korzeni, „bez rodowodu i wspólnoty”.

Przykładem tego, jak oduczano mówić w języku polskim moich krajan, jak i większość syberyjskich Polaków, może służyć historia polskiej szkoły we wsi Białystok. Historia jednej z wielu polskich szkół narodowych, funkcjonujących w połowie lat dwudziestych na terytorium guberni tomskiej.

Do rewolucji, w mało której wsi istniały szkoły, szkoły nie było także w Białymstoku. Nie znaczy to, że we wsi wszyscy byli niepiśmienni. Jeszcze do przesiedlenia na Syberię w końcu XIX i na początku XX wieku wielu ludzi chodziło do szkół w swojej ojczyźnie, potrafili czytać i pisać, oprócz polskiego i białoruskiego znali litewski, łotewski i niemiecki. Staruszek Tadeusz Szymanowski, nazywany w siole „Amerykaninem”, jak wspominało, swobodnie mówił po angielsku. W okresie 1901–1907 mieszkał w Stanach Zjednoczonych, pracował w zakładzie stalowniczym. Dzieci od urodzenia słyszały mowę rodzinną, od sąsiadów przyjmowali rosyjski, białoruski, łotewski i inne języki.

Gorzej było z umiejętnością czytania i pisania. Dorośli, doskonale znający tajniki pracy rolniczej, nie byli w stanie sami nauczyć swoich dzieci gramatyki, nawet jeśli szczerze powiedzieć, nie widzieli w tym wielkiej konieczności. Umiejętność czytania, podpisywania się większość uważała za szczyt edukacji, a dalsze kontynuowanie nauki za zbytek.

Po otwarciu w 1908 roku kościoła i plebanii nauką dzieci zajmował się od czasu do czasu miejscowy ksiądz. Dlatego zajęcia prowadzone były niezbyt legalnie, w domu tego lub innego mieszkańca wsi.

Jeden ze starych mieszkańców wsi Walery Maziuk wspominał, jak ksiądz jego uczył i inne dzieci prawidłowo mówić po polsku, czytać modlitwy i pisać. Pouczywszy się w tej specyficznej szkole przez okres zimy, już dalej tam nie chodził, poznał zaledwie tylko podstawy gramatyki. Zoja Czerkaszyńska (z domu Artisz) wspominała, że w dzieciństwie nie chodziła się uczyć, matka nakazywała prząść przędzę, a książki chowała za świętym obrazem. Nauczyła się Zoja, tak jak dziesiątki jej rówieśnic, jedynie podpisywać. Uważano, że więcej, zwłaszcza dziewczynkom, nie potrzeba.

Jednak w przyszłości życie przyniosło zmianę takiego światopoglądu. Sami mieszkańcy zrozumieli konieczność kształcenia swoich dzieci i otworzyli we wsi szkołę po rewolucji lutowej 1917 roku. Z dokumentów archiwalnych udało się wyjaśnić, że przed ustanowieniem władzy sowieckiej w guberni tomskiej, pracowała tu już nauczycielka o nazwisku Skawińska. Szkoła mieściła się w domu ludzi miejscowych, w zajęciach uczestniczyło parędziesiąt dzieci. W jaki sposób nauczwała ta nauczycielka, według jakiego rozporządzenia została otwarta placówka – nie udało się ustalić.

W 1920 roku, od chwili ustanowienia na Syberii władzy bolszewickiej, wszystkie polskie kolonie podlegały działalności polskiej sekcji tomskiego komitetu gubernialnego partii. Polacy komuniści zaczęli w praktyce realizować politykę bolszewików w odniesieniu do swoich rodaków, „narodową w formie, proletariacką w treści”. Przejawiało się to w tym, że ich siłami w polskich ośrodkach aktywnie zaczęto tworzyć polskie szkoły, ale już bez podstaw religii katolickiej. Dla nich zaczęto zabierać pomieszczenia, należące wcześniej do Kościoła. Wszystko to wywoływało protesty polskich katolików. Oni nie byli rzecz jasna przeciwko polskim szkołom jako takim, ale aktywnie protestowali przeciwko propagowaniu w nich ateizmu i antypolskiej propagandy.

W początku lutego 1921 roku północ gminy tomskiej z wizytą inspektorską odwiedził instruktor guberni Kazimierz Bulando, jeden z aktywistów polskiej sekcji gubkomu. W Maliczewce pochwalił inicjatywę miejscowych komunistów, którzy zabrali miejscowej parafii katolickiej pomieszczenia na szkołę. W kwestii polskich szkół w Białymstoku i we wsi Połozowo napisał

7 lutego 1921 roku do oddziału mniejszości narodowych przy gubkomie dokładną rekomendację następującej treści:

„W gminie nowoaleksandrowskiej znajdują się dwie polskie szkoły pierwszego stopnia. Jedna we wsi Połozowo z liczbą pięćdziesięciu uczęszczających uczniów. Druga we wsi Nowo – Rybałowo (posiołek białostocki) z liczbą dzieci, które powinny uczęszczać do szkoły, sto pięćdziesiąt osób, nie licząc dzieci z bliskich osad i chutorów. Obecnie szkoła znajduje się w izbie jednego chłopca. W związku z tym proszę wykorzystywać jako szkołę dwa pokoje w domu księdza, nie zwracając uwagi na protesty nabożnych parafian, podburzonych przez tegoż księdza. W przypadku, gdyby szkoła była bojkotowana przez parafian, należy nałożyć obowiązek na gminny komitet wykonawczy w Nowo – Aleksandrowce, żeby znaleźli sposoby do wdrożenia tego planu, włącznie z wysłaniem sabotujących szkołę rodziców na przymusowe roboty”.

W konsekwencji, po jego rekomendacji, polskie szkoły w Białymstoku i Połozowie zostały wyłączone z podległości rejonowemu oddziałowi edukacji, a podporządkowane pododdziałowi mniejszości narodowych w Tomsku. Do Białegostoku skierowano nowego nauczyciela, Juliana Oskarskiego, wyposażonego w tablicę i inne szkolne przedmioty. Nauczyciel wcześniej pracował w szkole polskiej w Tomsku.

Całkiem niedługo nauczał nowy pedagog wiejskie dzieci alfabetu łacińskiego i prawidłowego znaczenia polskich słów. Kierownictwo polskiej sekcji gubkomu partii postanowiło zorganizować krótką lekcję agitacji z teatrem dla propagandy wśród odjeżdżających do ojczyzny polskich uchodźców i byłych jeńców. Wezwanie otrzymał także Julian Oskarski, żeby zostawić szkołę i natychmiast oddać się do dyspozycji polskiej sekcji. Nauczyciel nie chciał wyjeżdżać ze wsi i uczestniczyć w kolejnej politycznej akcji komunistów Polaków, jednak jego życzenia nie miały znaczenia, został wyprawiony z powrotem do miasta.

Można powiedzieć, że od tego momentu aż do 1928 roku kwestia wykładania polskiego języka w szkole zawisła między niebem a ziemią. Formalnie szkoła funkcjonowała, a naprawdę jej nie było. W roku szkolnym 1923 /1924 do szkoły chodziło czterdziestu sześciu ludzi, a uczył niejaki Iwan Borysow. O polskim języku, rzec można, miał on dość mgliste pojęcie. Potem w szkole pracował nauczyciel Arik, mało różniący się od swego poprzednika.

We wrześniu 1928 roku do wsi przyjechał i został kierownikiem szkoły pięćdziesięcioletni Polak Piotr Symanowicz, posiadający jeszcze przedrewolucyjne doświadczenie w pracy w szkole. Przejął szkołę, jak zaświadczały dokumenty archiwalne, w oplakany stan. W akcie przekazania odnoto-

wywano, że w rezultacie takiej, a nie innej pracy uczniowie na koniec roku szkolnego pozostawali niepiśmienni. „Postęp dzieci w nauce był nieznaczny, nie było dyscypliny, pomieszczenie szkoły nie jest przystosowane do pracy, pomocy naukowych brak. W rezultacie nastąpił całkowity upadek autorytetu szkoły”.

Nauczyciel Symanowicz musiał ten autorytet budować od początku. Dysponując wielkim doświadczeniem pedagogicznym i będąc osobą niezwykle pracowitą, potrafił w krótkim czasie wiele zmienić w pracy szkoły na lepsze. Zaczął od odwiedzin w domach mieszkańców, od duchowej i uważnej rozmowy z każdym z rodziców, nakazał im wypuszczać dzieci do szkoły, a także samemu przychodzić uczyć się. Już w połowie października 1928 roku do szkoły przyszło stu sześciu uczniów, dwudziestu czterech z nich pochodziło z rodzin rosyjskich. Po raz pierwszy zaczął pracować we wsi punkt likwidacji niepiśmiennictwa wśród dorosłych dla pięćdziesięciu osób.

Zadowoleni byli mieszkańcy wsi także z tego, że nowy nauczyciel nie dążył do zmiany plebanii na szkołę, która po wyjeździe księdza Michasionka stała pusta. Cieszyło również to, że nie przynosił na zebrania antyreligijnych i antypolskich rzeczy. Stopniowo praca w szkole szła naprzód i oto po raz pierwszy mieszkańcy osady zobaczyli realne rezultaty kształcenia ich dzieci. Oprócz zajęć szkolnych dzieci zaczęły wystawiać spektakle teatralne w języku polskim, czytały wiersze i śpiewały pieśni.

Jedną z uczennic Symanowicza, Maria Areszczenko (z domu Jocz), która następnie sama w szkole przepracowała czterdzieści lat, wspominając swego pierwszego nauczyciela, bez zająknięcia odtworzyła kilka dziecięcych wierszyków w języku polskim spośród tych, których uczyła się w szkole ponad sześćdziesiąt lat temu. Według jej wspomnienia, Symanowicz odnosił się z miłością i szacunkiem do swoich uczniów, jak również do dorosłych mieszkańców wsi, nie patrząc na to, że niektórym podopiecznym zdrowo się dostawało od niego za niedbalstwo i swawolę.

Jednak nie wszystkim działalność nowego kierownika szkoły przypadła do gustu. W przewodniczącym rady wiejskiej Majsaku, nowy nauczyciel wzbudzał niechęć za to, że nie lubił zajmować się pracą społeczną i uchylał się od jego poleceń. Nie lubił Symanowicza także aktywista Rebecki, który przyjechał do Białegostoku organizować struktury komsomołu i który chętnie go określał wszem i wobec „burżuazyjnym specem”.

W ostateczności wzajemna niechęć nauczyciela i Rebeckiego przerodziła się w otwarty konflikt, który komsomolec załatwił bardzo prosto: napisał, gdzie trzeba donos na Symanowicza. Scharakteryzował w nim nauczyciela jako jednego z ukrytych wrogów władzy sowieckiej, zwolennika i przyjaciela

miejscowych kułaków, jako człowieka, którego sympatie całkowicie są po stronie „angielskiego szczeniaka – pańskiej Polski”. W dowód swoich oskarżeń przytoczył „fakty” o jego jakoby kontrrewolucyjnych myślach i postępkach.

Dola nauczyciela, w krótkim czasie potrafiącego obudzić w duszach młodych i dorosłych białostoczan chęć do nauki, była przesądzona. 15 sierpnia 1929 roku z tomskiego komitetu partii została przekazana notka do sekretariatu rejonu kriwoszeińskiego następującej treści:

„Towarzyszu Sacharow! Posiadacz tego pisma tow. Reutt został wyznaczony do wsi Białystok na kierownika szkoły na miejsce Symanowicza. Uważam, że Symanowicza należy odwołać. Tow. Reutt jest z zawodu ślusarzem metalu. Pracował i uczył się na kursach dla nauczycieli i mam o nim opinię jako jednym z lepszych kursantów. Do tej pory pracował jako ślusarz w fabryce, ale uważam, że to wystarczająco dobra kandydatura na kierownika szkoły. Przede wszystkim ma dobrze opanowaną robotniczą ideologię”.

I znów przez kilka lat nie było w szkole polskiego języka, choć szkoła nazywała się polską. Zajęcia prowadzone były zgodnie z „ideologią robotniczą” nowego kierownika. Ale ponieważ szkoła nazywała się polską, potrzebowała nauczyciela języka polskiego. W ten sposób zostali zaproszeni do pracy miejscowi mieszkańcy Piotr Daszczuk i Walery Maziuk. Stali się w ten sposób pierwszymi „domorosłymi” pedagogami we wsi. Oto, jak Walery Maziuk wspominał te czasy:

„W 1931 roku wróciłem do domu po służbie w Armii Czerwonej. Trzeba było zająć się czymś i oto nakazali iść do szkoły, żeby być nauczycielem, uczyć dzieci języka polskiego. Sam uczyłem się polskiego, kiedy będąc jeszcze chłopcem, służyłem księdzu, oprócz tego przez jedną zimę chodziłem do szkoły. W armii nauczyłem się rosyjskiego. Oto i wszystkie moje uniwersytety...”

Kiedy wybierałem się do szkoły, przyjechał urzędnik razem z kierownikiem szkoły Chwałko. Przeegzaminowali mnie i uznali, że mogę wyklądać. W szkole były wówczas cztery klasy. Przepracowałem zimę, a następnego roku uwolniono mnie od tego zajęcia, dlatego, że nie chciałem być aktywistą i odmówiłem uczenia polskiego w Maliczewce. W tej wsi mieszkali głównie Łotysze i Litwini i im mój polski nie był do niczego potrzebny”.

Piotra Daszczuka po roku pracy w szkole białostockiej przeniesiono do polskiej szkoły w Połozowie, gdzie był jedynym nauczycielem na pięćdziesięciu dziewięciu uczniów. Białostocka szkoła znów była pozbawiona nauczyciela języka polskiego, nawet tak przypadkowego jak Daszczuk czy Maziuk. Na dodatek, zimą 1932 roku, od pieca spalił się cały budynek szkoły.

W następnym roku w charakterze nauczycieli przyjechała do wsi polska rodzina Czerwonych. Piotr pochodził z tak zwanych polskich zbiegów, którzy dobrowolnie przeszli polsko-sowiecką granicę w 1925 roku z grupą przyjaciół,

w nadziei uzyskania wyższego wykształcenia w pierwszym kraju zwycięskiego socjalizmu. Zamiast na uniwersytet wyprawiono go na Syberię pod nadzór organów GPU. Tu spotkał tę jedną jedyną, która została jego żoną i matką dwójki jego dzieci. Maria, z domu Mazur, pochodziła z rodziny polskiego robotnika, mieszkającego do rewolucji w Piotrogradzie. Przyjechała na Syberię, ratując się od głodu. Wykształcenie gimnazjalne, otrzymane w mieście nad Newą, pozwalało łatwo znaleźć pracę nauczycielki języka rosyjskiego i literatury. Również w Białymstoku wykładała te przedmioty, a młodszą grupę uczyła polskiego. Jej mąż, który ukończył gimnazjum w Nowogródku, uczył matematyki. Z końcem 1933 roku został mianowany dyrektorem szkoły.

Otrzymałszy takie skierowanie, Piotr Czerwony wykazał wszystkie swoje talenty organizatorskie i wykorzystując dobre relacje tak z kierownictwem rejonowym, jak i większością mieszkańców wsi, wywalczył budowę nowej szkoły, wraz z warsztatem i niezbędnymi pomieszczeniami pomocniczymi.

Budynek ten został postawiony w ciągu jednego roku. Wszystko było okazałe: duże, jasne okna, przestronny korytarz, siedem – osiem pomieszczeń klasowych, z fabrycznymi ławkami. Białostocka szkoła otrzymała status „siedmiolatki”, zwiększyła się liczba nauczycieli, znacząco wzrosła liczba uczących się z uwagi na dzieci z pobliskich siół. Wszystko byłoby dobrze, gdyby zmiana statusu nie oznaczała jednocześnie zmiany ze szkoły polskiej w, początkowo, rosyjsko-polską, a później już tylko rosyjską. Wykładanie polskiego zostało ograniczone do minimum, a następnie zlikwidowane.

Taka zmiana w życiu szkoły nie pozostała bez zainteresowania ze strony białostoczan. Na zebraniu mieszkańców wsi 26 listopada 1936 roku, na którym dyskutowana była konstytucja stalinowska, zapytano o szkołę. Wincenty Michnia najpierw wykazał swoją aprobatę dla jednego punktu tej „najbardziej demokratycznej” konstytucji, gdzie oprócz różnych praw było również prawo obywateli ZSRR do wykształcenia, a potem zapytał organizatorów spotkania o przyczynę zaniechania nauczania języka polskiego.

Nie wiadomo, czy odpowiedzieli mu organizatorzy spotkania i towarzysze z rejonu, wiadomo dobrze jednak, że w następstwie, czysto po stalinowsku, został rozwiązany ten problem. Nie ma człowieka – nie ma problemu. W 1937 roku NKWD aresztowało wszystkich nauczycieli Polaków, w ślad za tym wszystkich mężczyzn Polaków ze wsi, w tej liczbie także tego, który zadał to „źle postawione” pytanie. Pozostałe w osadzie kobiety i dzieci więcej pytań o polską szkołę nie zadawały nikomu prawie przez pół wieku. Matki bały się rozmawiać z dziećmi w ojczystym języku, a te, kiedy dorosły już, nie mogły swoim dzieciom opowiedzieć o pięknie i bogactwie tej mowy, polskiej kultu-

ry, polskiej historii. Przez pięćdziesiąt lat nie było słychać w Białymstoku czystej polskiej mowy, w szkole nie dźwięczały polskie wiersze i piosenki. Tak było do 16 maja 1991 roku.

Właściwie od tego dnia można na nowo odliczać historię białostockiej szkoły. Wieś odwiedziła z wizytą zapoznawczą nauczycielka z Gdańska Anna Maria Świątkowska. Przybyła i zaczęła natychmiast prowadzić z dziećmi zabawy, uczyć ich piosenek, czytanek w języku polskim. I choć nikt z dzieci nie znał polskiego, doskonale zrozumieli nową nauczycielkę. Na koniec spotkania tak bardzo zdobyła ich serca, że wdzięczni uczniowie nie chcieli jej puścić, zaprosili więc panią Świątkowską, żeby przyjechała uczyć ich języka, w którym mówili ich pradziadowie.

W następnym roku szkolnym pani Anna raz w miesiącu przyjeżdżała do wsi, żeby uczyć dzieci języka, historii Polski, ale potem wyjechała na zawsze do swojego rodzinnego Gdańska. Jej wysiłki jednak nie przepadły. Liczne wiejskie dzieci i ich rodzice ponownie odnaleźli swe polskie korzenie, dla których słowa: Polska, język polski to nie był już tylko pusty dźwięk.

Postscriptum

Jak się okazało, nowy etap w życiu białostockiej szkoły, wydawało się, rozpoczęty z chwilą przyjazdu do wsi w maju 1991 roku nauczycielki z Polski, bardzo szybko zakończył się, na dobre nie rozpoczynając się...

Stosunek większości dzieci do języka polskiego, historii i kultury Polski początkowo był szczery i życzliwy. Ale należało go systematycznie podtrzymywać i rozwijać, co pragnęli czynić przedstawiciele tomskiej Polonii, sprawując nad siołem niejako swą opiekę.

W 1992 roku na zaproszenie polskiej strony, w czasie zimowych ferii, do ojczyzny swoich przodków wyjechała cała grupa dzieci z Białegostoku wraz ze swoją nauczycielką. W czasie letnich wakacji tego samego roku jeszcze jedna grupa dzieci białostockich, razem z dziećmi członków tomskiej Polonii, wypoczywała w dziecięcym obozie zdrowotnym pod Warszawą. Z tych wyjazdów dzieci wróciły z mnóstwem pozytywnych wrażeń i z podarowanymi podręcznikami do nauki języka polskiego. Ale jak to w większości wypadków bywa, realizację dziecięcych interesów pomieszały prawdziwe i wydumane problemy dorosłych. Kierownictwo szkoły białostockiej nie miało nic przeciw wprowadzeniu u siebie języka polskiego jako uzupełniającego obcego, ale jednocześnie nie podjęło żadnych konkretnych kroków w tym celu, tak przed rejonowym wydziałem edukacji, jak i wobec kierownictwa polskiego Stowarzyszenia „Dom Polski” i Polskiego Centrum „Orzeł Biały”.

Polskie stowarzyszenia posiadały realną możliwość, by zaprosić nauczyciela z Polski do pracy w Białymstoku, ale oni powinni byli otrzymać od władzy miejscowej oficjalną zgodę na wprowadzenie w szkole nauczania polskiego oraz zgodę, by przyjąć u siebie pedagoga z Polski.

Niestety, taka możliwość nie jest realizowana do dnia dzisiejszego i dzieci z Białegostoku nie mogą poznać języka swoich przodków. Przez pewien czas dość regularnie bywał w białostockiej szkole ksiądz Adam Romaniuk, często przyjeżdżający do Białegostoku w sprawach katolickiej parafii i odrodzenia kościoła. Jednakże jego spotkania z uczniami i nauczycielami nie nosiły edukacyjnego charakteru, a w większości poświęcone były podstarwom religijnego światopoglądu. Szybko jednak i te spotkania, z powodu nadmiaru obowiązków księdza, zostały zerwane.

Obecnie szkoła białostocka nie przeżywa swych najlepszych dni. Kiedyś jedna z najbardziej licznych w rejonie, teraz w swoich ścianach gromadzi około pięćdziesięciu uczniów, od pierwszej do ósmej klasy. Przed szkołą, z powodu liczby uczniów, stoi realne zagrożenie reorganizacji do poziomu zwykłej szkoły początkowej, a przed pedagogami – realne zagrożenie zwolnienia z pracy. Swoimi problemami dzielili się ze mną niektórzy z białostoczan i z tego wynika, że we władzach rejonowych chętnie rozważa się pomysł zamknięcia całkowicie szkoły w Białymstoku i przeniesienia uczniów do sąsiedniej wsi Pudówki. Takiego przygnębiającego położenia w dziedzinie edukacji we wsi nie było od ponad osiemdziesięciu lat. Jeśli podobne plany reorganizacji szkoły zostaną zrealizowane, będzie to oznaczać, że Białystok stanie się osadą bez przyszłości, miejscem wymierającym.

Ja jednak wierzę, że szkoła w Białymstoku będzie żyć, a w niej, obok innych ważnych i potrzebnych przedmiotów, będzie także nauczany język polski, będzie wykładana historia i kultura, dalekiej według położenia, ale bliskiej według krwi mieszkańców, Polski. Jak powiadają, nadzieja umiera ostatnia.

Synodkowie i Świećca

Część 2.

TAK BYŁO

Świadkowie i świadectwa

Jedną z czarnych stron w historii mojego rodzinnego Białegostoku stały się lata 1937/1938. O tragedii mieszkańców wsi w te wyjątkowo smutne lata dowiedziałem się, słuchając wspomnień swoich rodziców, babć, sąsiadów, mieszkańców wsi. Potem wiele odkryły przede mną archiwa KGB.

Rok 1937 dla białostockich mieszkańców rozpoczął się szeregiem normalnych chłopskich trosk, dla większości był to drugi rok postępującej kolektywizacji. Pierwszy rok kołchozowego życia przeszedłby nie tak źle, jak wydawało się początkowo – był niezły urodzaj, po którym zostało nieco zapasów na trudne dni. Wydawało się, że już nie będzie takich „lęków”, jakie pojawiały się we wsi w marcu – kwietniu 1935 roku przy zakładaniu kołchozu. Jednak sytuacja okazała się całkiem inna. Coraz częściej pojawiały się doniesienia o „wrogiej” działalności i aresztach dokonywanych przez NKWD na ludziach znanych i całkiem zwyczajnych. Pojawiły się trwożliwe wieści o wzroście aresztowań w rejonie kriwoszeińskim. 13 sierpnia 1937 roku doszło do pierwszych aresztowań w Białymstoku. Nieoczekiwanie w gronie aresztowanych pojawili się także ludzie posłuszni władzy, jeszcze wczoraj sami gromko pomstujący przeciwko „wrogom narodu” na zebraniach kołchozowych w radzie wiejskiej.

Wśród aresztowanych byli dyrektor szkoły Piotr Czerwony, przewodniczący rady kołchozu Wasyl Daszczuk, nauczyciel Paweł Borysowiec, kierownik działu gospodarczego Mikołaj Karelin i dwóch kołchoźników: brygadzysta Feliks Michnia i siedemdziesięcioletni staruszek Feliks Jocz. Syn Czerwonego, Włodzimierz, który wtedy miał dziewięć lat, tak to wspomina:

„Ojca aresztowano wczesnym rankiem. Przeprowadzono rewizję, która skończyła się przed obiadem. Zabrali dwie strzelby, nóż myśliwski, mnóstwo książek, korespondencję ojca z jego rodzicami i siostrą z Polski. Siostra ojca,

mieszkająca w Nowogrodku w Polsce, wyszła za mąż za oficera straży pożarnej i przysłała nam swoją ślubną fotografię na pamiątkę. I to zdjęcie zabrano, dla wykazania związków ojca z polskimi oficerami... Tatę zabrano i więcej go nie zobaczyliśmy. Przez długi czas nie wiedzieliśmy o nim. Jedynie późną jesienią przyjechał do nas funkcjonariusz rejonowego NKWD Kiperwas i przekazał mamie liścik od ojca. Ten funkcjonariusz był znany naszej rodzinie, wiele razy do momentu aresztu ojca zatrzymywał się u nas w domu i ojciec zapraszał go na obiad. Kiedy przywiózł te kilka zapisanych słów, mama ubłagała go, żeby opowiedział coś więcej o losie ojca. Kiperwas mówił, że tatę osądzono i będą go wywozić do łagrów na północy kraju, dlatego potrzebne mu są ciepłe rzeczy".

Żonie Czerwonego – Marii, jak i jego synowi Włodzimierzowi, udało się ukryć i przechować tę bezcenną dla nich kartkę, którą możemy w tym miejscu przytoczyć:

„Witaj droga Marysiu! Żyję i jestem zdrowy, czuję się tak dobrze jak nigdy. Jedno, co niedobre, że zima złapała mnie w letnim ubraniu. Stąd wydałem około pięćdziesiąt rubli na walonki, zimową czapkę, rękawice, sweter i koszulkę gimnastyczną. Na razie mi to wystarczy. Włódkowi możesz coś uszyć z mojego płaszcza i bielizny, a także, jeśli nie masz pieniędzy, sprzedaj mój zegarek lub płaszcz; w ogóle możesz posługiwać się moją odzieżą według swego uznania. No, a na razie, życzę wam wszystkiego najlepszego, gorąco całuję ciebie i dzieci. Twój Piotrek. 4 XI 1936 r.” Na drugiej stronie liściku krótki dopisek: „Prześylki, pieniądze i listy posyłaj na adres: Kołpaszewo, Okręgowy Oddział NKWD, z dopiskiem – dla Czerwonego”. Czyniąc ten dopisek, Piotr Czerwony popełnił pomyłkę, zamiast roku 1937 wpisał 1936. Można się tylko domyslać, w jakim nastroju powstawały te słowa.

Wiktoria Daszczyk o areszcie swojego ojca napisała w liście takie wspomnienia:

„Miałam sześć lat, ale wszystko dobrze pamiętam, także z opowieści mamy. My dzieci byliśmy tego dnia w przedszkolu, kiedy mama przysłała po nas całą zapłakana i szybciej nas zabrała. W domu wszystko było porzucane i walało się na ziemi. Pamiętam słowa mamy, że nawet Biblię rozerwali i rzucili na podłogę. Kto przeprowadzał aresztowanie, nie wiem. Następnego ranka mama poszła do wiejskiej rady, gdzie tymczasowo trzymano aresztowanych. Pilnowała ich straż, która pozwoliła porozmawiać z ojcem. Mama spytała go: czy przyprowadzić dzieci? Odpowiedział – „jeszcze wcześniej, pewnie śpią”. Jednak tego ranka aresztowanych wywieziono i więcej nie ujrzeliśmy już naszego ojca”.

We wspomnieniach Zoji Zieńczuk (z domu Jocz), jej ojciec Feliks, w dzień aresztowania pracował na kolchozowym polu.

„Tam za nim prosto pojechali i go zabrali, nawet do domu nie puścili, żeby się przebrał. Siostra Frania poszła następnego dnia do Kriwoszeina dowiedzieć się, co z ojcem, jednak zobaczyła tylko barkę wypełnioną aresztowanymi”.

Oprócz Białegostoku NKWD zainteresowało się także sąsiednią wsią Wozniesienką. Tam został aresztowany Tymoteusz Kniaziuk, który niewiele wcześniej został pozbawiony praw obywatelskich w ramach tzw. „rozkułaczania”, czyli pozbawiania indywidualnych gospodarzy ich ziemi i własności. Niewiele później aresztowano stróża kołchozu im. 1 maja – Jana Kisiela. Według wspomnień starszych ludzi, aresztowaniu Kisiela towarzyszyła następująca okoliczność. Siedział, jak to miał w zwyczaju czynić, na przyzbie z mężczyznami, wiodąc niekończące się dyskusje, kiedy dostrzegł podjeżdżający samochód, zjawisko na owe czasy dość rzadkie. Wywiązała się rozmowa na temat zalet transportu samochodowego. Kisiel wyraził w tej rozmowie pragnienie, żeby choć raz w życiu przejechać się takim autem. Za kilka dni jego właśnie wywieziono do centrum rejonowego podobnym samochodem. Rzec można, marzenie się spełniło. Jego córka Maria, o okolicznościach aresztu tak opowiada:

„Przyjechali pełnomocnik z centrum rejonowego i milicjanci. Cały dom przeryli. Szukali książek i broni. Mamie powiedzieli: siedź i się nie ruszaj. Niczego nie znaleźli. Ojciec nawet czytać nie umiał. Mama nie mogła pojąć tej sytuacji i nie potrafiła wyprawić ojca na drogę. Jeden z milicjantów podpowiedział: gospodyni, daj mężowi chleb na drogę, słoninę, daj kubek... Kiedy go zabierano, cała nasza bielizna suszyła się na dworze. Zabrali ojca w jakichś starych łachach i mama do śmierci nie mogła sobie tego wybaczyć: w czym ja go wypuściłam z domu. Trzeba mu było mokre zawinąć, przecież potem by sobie wysuszył. Młodszy brat, pobiegł z płaczem za ojcem, gdy go wyprowadzano. Ojciec odwrócił się i powiedział: „Szybko wrócę”.

Pierwsze areszty w 1937 r. były przyjęte we wsi różnie: większość mieszkańców odniosła się do żon i dzieci „wrogów ludu” ze współczuciem i zrozumieniem. Pomagano jak kto mógł. Dla samych rodzin represjonowanych nastały ciężkie czasy. Rodzina Czerwonych została wygnana z budynku szkolnego i musiała się pomieścić w jednej pustej izdebce. Ponieważ brakowało nauczycieli, jego żony od razu nie zwolniono, ale większość nauczycieli ze strachu przestała się z nią przyjaźnić, a nawet rozmawiać. Jeden z siódmoklasistów mocno pobił syna Włodka, tak że nie mógł on przez kilka miesięcy chodzić do szkoły. Wiosną, po zakończeniu roku szkolnego, rodzina Czerwonych na zawsze opuściła Białystok.

Marię Daszczuk po aresztowaniu męża wezwano do rady wiejskiej i powiedziano, żeby razem z dziećmi szykowała się na zesłanie. Po takim sygnale rodzina każdego dnia suszyła suchary, trzęsąc się ze strachu, przez szereg

miesiący oczekując najgorszego. Jednakże wezwanie nie nastąpiło i rodzina pozostała na miejscu. Żona nauczyciela Pawła Borysowca pochodziła z sąsiedniej Wozniesienki i natychmiast po aresztowaniu męża wróciła do swoich rodziców. Kierownik działu gospodarczego Karelin nie miał dzieci. Mieszkał z żoną w domu Daszczuków.

Mówiąc o współczuciu nieszczęsnym żonom i pomocy ze strony większości mieszkańców, trzeba podkreślić, że byli i tacy, którzy otwarcie w rozmowach pochwalali areszty współmieszkańców wsi. Czynili to zwłaszcza w obecności kogoś z władz. Kto z nich naiwnie winił swoich sąsiadów, a niekiedy przyjaciół, a kto wiernopoddaniczymi słowami miał nadzieję oddalić podobną biedę od siebie i swojej rodziny – trudno rozstrząsać. Bóg jest im sędzią.

Jak wspominają starsi mieszkańcy wsi, w ten sposób zachowywał się miejscowy aktywista Józef Nazaruk. Pracując jako sprzedawca w gminnej spółdzielni, miał wiele okazji do spotykania się z żonami aresztowanych. Za każdym razem wypominał im mężów – wrogów ludu. Niejednokrotnie na zebraniach i w czasie prywatnych rozmów podkreślał, że „po aresztowaniu wrogów ludu we wsi lepiej się oddycha”. Jednak nie bez przypadku powiada się, że na nieszczęściu innych własnego szczęścia nie zbudujesz. Nie pomogły Nazarukowi publiczne przysięgi – wyznania o miłości do „Ojca narodu” i jego ukochanego dziecka NKWD. 21 października 1937 r. przyszli po niego ludzie w mundurach. Jedna z córek, Maria, wspomina:

„Było nas siedmioro dzieci. Ojca przyszli aresztować przewodniczący rady Tatkin i dwóch funkcjonariuszy NKWD z Kriwoszeina. Jeden z nich był jakimś naczelnikiem. Pozwolili ojcu dopić herbatę i ów naczelnik powiedział, że w Kriwoszeinie porozmawiają z ojcem i zaraz go zwolnią. W domu przeprowadzono rewizję. Zabrano wszystkie papiery podatkowe, obligacje. Nam zabrano nasze szkolne podręczniki, które ojciec kupił nam na ostatni rok nauki, babci zaś wzięto książki religijne. Chciano zabrać także ikonę, ale babcia nie oddała. Zabrano radio oświadczając, że nam obecnie nie będzie potrzebna taka rozrywka. Przed wyjściem ojciec przykazał nam, żebyśmy sobie nawzajem pomagali, nie obrażali się wzajemnie i nie poniżali naszego brata inwalidy Stasika. Potem z Kołpaszewa ojciec przysłał list z prośbą o dostarczenie mu zmiany bielizny. Wysłaliśmy ją, jednak paczka wróciła z adnotacją: »adresat wyjechał«”.

W przeddzień aresztowania Nazaruka, w Białymstoku aresztowano Jana Lutego, Błażeja Gryka, Wincentego Smolicza i byłego nauczyciela Wasyla Mozrzeryna. Luty był w liczbie ośmiu białostoczian, których jeszcze w kwietniu 1935 r. przy zakładaniu we wsi kołchozu postawiono przed sądem pokazowym. Dostał wówczas spośród wszystkich oskarżonych najmniejszy wyrok

– trzy lata łagrów. Przesiedział w nim trzynaście miesięcy, a potem za dobre sprawowanie i ciężką pracę został przedterminowo zwolniony. A tu, po kilku miesiącach kolejny areszt. Wincenty Smolicz, siedemdziesięcioletni kołchoźnik, pochodził z tzw. „rozkułaczonych” przesiedleńców, zesłanych w 1929 r. spod Mińska w Narymski Kraj. Do chwili aresztowania żył w Białymstoku razem z żoną Scholastyką. Jego starszy syn Witold, pracujący w latach trzydziestych jako sekretarz rady wiejskiej, wyjechał ze wsi i zatrudnił się na stanowisku księgowego w fabryce w Krasnokamsku. Wyjechała z domu również i młodsza córka Maria, która wyszła za mąż za nauczyciela Dutczenko. O aresztowanym Błażeju Gryce i nauczycielu Mozzrerynie świadczą jedynie archiwa KGB.

Ostatnie dwa miesiące 1937 r. przeszły dla mieszkańców Białegostoku mniej więcej spokojnie: NKWD w tym czasie nikogo nie aresztowało. Prawdopodobnie, jak we wszelkich sowieckich organizacjach, pracujących według z góry ustalonego planu, rejonowe kierownictwo NKWD podliczało wyniki swej pracy. O tym, że te wyniki były znaczące, można zakładać na podstawie tego, że w 1937 r. aresztowani byli w rejonie kriwoszeińskim liczni kierownicy partyjni. Dziesiątki nauczycieli i urzędników, kołchoźnicy i gospodarze indywidualni, byli przesiedleńcy i krystalicznie czysti wobec władzy obywateli. Według badań historyka, członka tomskiego Towarzystwa „Memoriał” doktora Igora Kuzniecowa, na 1937 r. przypada 62% wszystkich represjonowanych w latach trzydziestych z terytorium obwodu tomskiego. Następny 1938 r. pochłonął „tylko” 10% represjonowanych. Spośród wszystkich poddanych represjom w okresie 1937 – 38 zostało rozstrzelanych 76%, a 17% skazanych na dziesięć lat pobytu w łagrach. Wydaje się, że rejon kriwoszeiński jako średnio typowy rejon obwodu tomskiego nie odbiega od tych danych. Jednakże dla Białegostoku rok 1937 był tylko preludium do tragedii większości jego mieszkańców, która zdarzyła się na początku 1938 r.

14 stycznia 1938 r. w Białymstoku wznowiono represje. Aresztowano Tadeusza Szymanowskiego, Aleksandra Jocz, Stanisława Prońskiego i Franciszka Maziuka. Proński nie wstąpił do kołchozu. Był dobrym stolarzem. Pracował jako najemnik w centrum rejonowym, a potem urządził się w Tomsku. Planował przenieść do miasta swoją rodzinę, ale póki co przyjeżdżał do nich w odwiedziny w dni wolne od pracy. Feralnego dnia, według wspomnień jego dzieci, wczesnym rankiem odjechał saniami do Tomsku. Ruszono za nim w pogoń i dognano po drodze, koło wsi Kaliczino. Pościgiem kierował kierownik Tatkin, który nawiasem mówiąc, mieszkał u Prońskich, jadł i pił z ich stołu.

Tadeusz Szymanowski przez sześćdziesiąt siedem lat swego życia nie dorobił się rodziny i własnego gospodarstwa. Stróżował przy kościele, żywił się

tym, co dobrzy ludzie mu dawali. Mieszkał w domu Wiery Michnia, która przyjęła go na zimę, póki jej mąż pracował przy wyrębie lasu w innym rejonie. Wieczorem do domu Michni wkroczyli Tatkin i jego pomocnik Tolkaczew. Nakazali staruszkowi zbierać się, przy czym, co należy dodać, z rzeczy materialnych posiadał on jedną torbę wiszącą na gwoździu. Gospodyni włożyła do tej torby kawałek słoniny z chlebem i pożegnała się na zawsze ze swym lokatorem.

Córka Franciszka Maziuka Anna nie widziała okoliczności aresztowania ojca. Spała w tym czasie błogim snem czteroletniego dziecka, ale ze wspomnień rodzinnych wie, że zabrano ojca z domu w nocy, saniami, a matka chciała biec w ślad za końskimi kopytami. Jak wyglądał ojciec, Anna nie pamięta. Nie ma nawet fotografii, na którą mogłaby spojrzeć. Była jedna jedyna, ale i tę w trakcie rewizji zabrano.

Dzieląc się wspomnieniami o okolicznościach aresztu swoich bliskich, białostoczanie wspominali różne drobiazgi i detale, które najmocniej wryły się w ich pamięć i przetrwały w niej przez długie dziesięciolecia. Większość z nich płatała się zaś przy dacie aresztowania, podając jeden termin – 12 lutego. Oczywiście jest, że ludzie nie mogli oddzielić swej osobistej biedy i zgryzoty, od tej ogromnej tragedii, która zwała się na Białystok z wieczora 11 lutego 1938 roku. Oto co o tym dniu zapamiętała Agata Czyblis, wówczas siedemnastoletnia dziewczyna:

„Jak wspomnę ten dzień 1938 r., to nadal czuję na grzbiecie chłód. Tego poranka zaszłam jak zwykle do brygady kolchozowej po zadania i słyszę: »Ty dzisiaj będziesz głównym gońcem, idziesz do rozporządzenia rady wiejskiej«. Poszłam tam. Siedzi kierownik Tatkin i rozkazuje: tego trzeba wezwać, tamtego powiadomić. No to biegam na posyłki, z lakonicznym słowem. Wieczorem podjechało do rady około trzydziestu milicjantów na siedmiu wozach. Mnie i Bolesławowi Szparkowiczowi polecili wyprząc konie i dać im siana. Potem wezwali miejscowych aktywistów. Przyszli Wacław Bielawski i Nikodem Markisz, przewodniczący kolchozu Marian Gielbutowski i jeszcze ktoś z nauczycieli. Potem zaczęli przyprowadzać mężczyzn, trzymając ich pod bronią. Przyprowadzono Alfonsa Szparkowicza, a on płacze i lamentuje: »Bracia, puśćcie mnie, moja żona niedawno urodziła bliźniaki! Muszę jej pomóc«. Odpowiedzieli mu – »potem, potem...« Bolesław Artisz przyjechał tego dnia do wsi i sam zachodził do rady, żeby potwierdzić, że jest na miejscu. Na siłę musieli go wyrzucić z sielsowietu, tak był nachalny, ale wieczorem, już z konwojem, sami go przyprowadzili. Wozili i wozili mężczyzn, zatrzymywali w budynku rady, sporządzali o nich notatki, naczelnicy wymieniali uwagi między sobą. Potem odprowadzali aresztowanych do domu ludowego, tam zamykali, a sami wyruszali po następnych.

Cały czas siedzę w wiejskiej radzie, trzęsę się, a do domu nie puszczają (całą noc, aż do poranka trzymali). A potem nakazali jechać z sobą, bo już jakoby mam doświadczenie przy aresztowaniach. Przyjechali do Hipolita Haniewicza. Siedzę w saniach i płaczę, na co Tatkin: «Czego ryczysz?» Tak trzeba, to wrogowie». Milicjant do gospodarza: «gdzie ukrywasz broń, szybko pokazuj». Do Krapiwca dwa razy jeździli, ale go w domu nie znaleźli. Mojego przyszłego teścia, Józefa Michnię, prosto ze składu zabrali. Był tam magazynierem. Przyprowadzili go w starej, oberwanej odzieży. On zwraca się do mnie z prośbą: «Biegnij do moich, żeby choć walonki dali». Na to jeden z milicjantów: «będzie ona jeszcze dla was, wrogów nogi zużywać. Ona i tak się już w waszej sprawie sporo nabiegała». Ja oczywiście, na drugi dzień rano, spełniłam tę prośbę i przyniosłam walonki.

Przez całą noc przyprowadzano mężczyzn. Wśród nich także moich wujków – wszystkich trzech braci Maziuków, wśród nich syna Hipolita, Józefa, który omal nie płakał. Jako świadkowie jeździli brygadziści Wacław Bielawski i Nikodem Markisz. Oni nie tylko podpisywali papiery, ale i pomagali szukać ukrywających się, przejawiali dużą aktywność i zaangażowanie w tym dziele. Koniec końców jednak i ich także zabrano. Na koniec zapytano przewodniczącego kolchozu Mariana Gielbutowskiego: «teraz pokażcie, gdzie wy mieszkacie?» Jego również zabrano. Kiedy rozjaśniło się na dworze, taki skowyt słyszeć było w całej wsi, że zrobiło się straszno. Słyszę, moja mama mnie wzywa, ale mnie nie puszczają. Dopiero wówczas, kiedy wszystkich mężczyzn zamknęli w domu ludowym, stałam się im niepotrzebna i wtedy mnie puścili. W domu dowiedziałam się, że mojego wuja Michała Maziuka przyszli zabrać, choć on chory leżał na półce koło pieca. Mimo to podnieśli go i chcieli już z nim z chaty wychodzić, kiedy on upadł koło furtki i zaczął umierać. Wtedy dopiero go zostawiono».

Wspomina Helena Haniewicz: „Mieszkałam z dziadkiem Józefem Haniewiczem (mój ojciec zmarł jeszcze w 1934 r.). Przyszli do nas po dziadka dwaj milicjanci i Marian Gielbutowski. W chacie niczego nie mieliśmy – tylko dwie ławy, stół i łóżko ze słomą. Nie było czego zabierać. Jedno co zabrali, to modlitewnik dziadków i samego dziadka, w płóciennym ubraniu, bez niczego ciepłego. A przecież był już bardzo stary. Moja babcia była wtedy chora – bolały ją bardzo nogi. Przemieszczać się mogła tylko z pomocą taboretu. Dziadka zabrali i zostaliśmy z babcią same».

Paulina Gruzdewa (Onkul), podobnie jak Helena Haniewicz, była sierotą i mieszkała u swego bardzo wiekowego dziadka – Wincentego Sienko. Jej rodzice zmarli na tyfus w czerwcu 1937 roku, zostawiając staruszkom pięcioro swoich dzieci. Najstarsza Paulina w kwietniu 1938 r. kończyła czternaście

lat, a jej najmłodsza siostra miała wówczas zaledwie kilka miesięcy (zmarła w październiku 1937 r.). I do tej „sieroczej” rodziny nie zapomnieli zajrzeć „dzielni” czekałsi w pamiętną dla białostoczan noc. Paulinie owa noc zapisała się takimi obrazami:

„Przyszło ich trzech – przewodniczący kołchozu Marian Gielbutowski i jeszcze dwóch nieznanych mężczyzn – pokazali dziadkowi nakaz aresztowania i zgodę na rewizję. Ta ostatnia niczego nie dała, po jej zakończeniu kazali dziadkowi ubrać się i zabrali go z sobą. Była głęboka noc, ale do rana nikt nie zmrużył oka, oprócz najmłodszego rodzeństwa. Kiedy wreszcie nadzedł mroźny, syberyjski poranek, trzeba było dowiedzieć się, dokąd się udać w sprawie dziadka. Pierwsze kroki skierowałam do swojej chrzestnej, Malwiny Maziuk. Jej mąż, Franciszek, był człowiekiem dobrego serca, pracował w kołchozie jako brygadzysta, ale w połowie stycznia 1938 r. został aresztowany. Opowiedziałam chrzestnej swoje nieszczęście. Razem się popłakałyśmy. Jednak nie traciłam nadziei, że dziadka wypuszczą, przecież był już stary, chory i niesprawny. Wszędzie poruszał się z laską, ale najważniejsze, że on nikomu nic nie zrobił. Kiedy wracałam od chrzestnej do domu, we wsi panowała niesłychana grobowa cisza. Wróciwszy do siebie, usłyszałam rżenie i muczenie głodnych, spragnionych krów i koni. Krowy były niewydojone. Taka sytuacja panowała w każdym domu, wszędzie były łzy, ból, żal i zdziwienie: co się wydarzyło? Za co taka kara na ludzi? Długo trwała taka nie-ludzka cisza we wsi, słychać było jedynie owe zwierzęce lamenty. Z czasem ludzie się otrząsnęli, z domów powychodziły kobiety, żeby nakarmić bydło, koniec końców przecież niczego niewinne”.

Włodzimierza Jocza, piętnastoletniego sierotę, żyjącego u swojego wujka Marcina Jocza, rzecz można, w tę noc Bóg uratował od biedy. I do nich przyszli milicjanci, zaczęli wujka ściągać z pieca, pytać o coś, a wujek głuchy, niczego nie rozumiał. Zejść z pieca samodzielnie nie mógł i w ten sposób go poniechali, został w domu.

Józefa Bielawska tej nocy na zawsze rozstała się ze swoim mężem Antonim. Opowiada, jak do tego doszło:

„Już wiedzieliśmy, że zabierają mężczyzn ze wsi. Mówiłam mężowi wspólnie z teściową, żeby uciekał, na co on: «co będę uciekał od swoich ludzi. Będzie gorzej, kiedy mnie oddzielnie od naszych chłopów zabiorą». Sam zaczął pakować się, związał węzełek, usiadł na krześle z synem Michałem i czekał. Przyjechał sam Tatkin i go zabrał. Kiedy wywozili mężczyzn ze wsi, chciałam podejść do męża, a on mnie odpychał – bał się, że i mnie zabiorą. Pocałowałam go ostatni raz. Jego wargi były mocno zdrętwiałe”.

Katarzyna Haniewicz o areszcie swojego męża tak opowiada: „Hipolita zabrali tej nocy jako jednego z ostatnich. Często wyjeżdżał do wyrębu lasu

i właśnie co wrócił z jednego takiego wyjazdu. Po powrocie do domu nie pobyl tu nawet jednego dnia. Aresztowali go według jakiegoś spisu. Zrozumiałam to dlatego, że u nas mieszkał nauczyciel Baszkirow. Kiedy więc zjawił się milicjant, jego pierwsze pytanie brzmiało: »kto tu jest nauczycielem, a kto gospodarzem?« Baszkirow odpowiedział, że jest nauczycielem. Zabrali gospodarza. Nawet rewizji nie robili. Zostałam sama jedna z dziewięciorgiem dzieci. Starsze dzieci były z pierwszej żony męża, młodsze nasze wspólne. Najstarszy Stanisław miał zaledwie dwanaście lat».

W rodzinie Antoniego Joczka też było dziewięcioro dzieci. Jedno z nich, Nadieżda, tak wspomina ojca:

„Tatę przyszedł aresztować nauczyciel Juklajewski i jeszcze ktoś. Mama leżała chora w łóżku i nie mogła się podnieść. Niedawno urodziła córeczkę, naszą młodszą siostrę. Pytano ojca, z kim on koresponduje i czy posiada te listy. Odpowiedział, że ma syna Antoniego i córkę Zofię w Tomsku. Kolejna córka Maria uczy się w szkole pedagogicznej w Kołpaszewie, a pozostałe dzieci malutkie. Pytali o obligacje, zaczęli ich szukać, nawet zaglądali pod poduszkę, na której leżała mama. Na koniec pozwolili zabrać ojcu z sobą kubek z łyżką, parę czystej bielizny i wzięli go. Po chwili spostrzegliśmy się, że ojciec odszedł w starej, podartej fufajce i całkiem głodny. Mama powiedziała do mnie: »córeczko, weź kawałek słoniny, półkożuszek i zanieś ojcu«. Wzięłam te rzeczy i pobiegłam do domu ludowego, ale do niego nie puszczają. Ja wtedy w płacz. Ale nagle widzę, że ojca prowadzą z rady wiejskiej do domu ludowego. Podeszłam do niego, wtedy jeden z konwojentów tak mocno mnie pchnął, że poleciałam na bok jak piłeczka. Udało mi się jednak przekazać kożuszek i torbę ze słoniną. Wtedy ojciec krzyknął do mnie, żebym słuchała matki i uczyła się. To wszystko. Następnego dnia rano pobiegłam do domu ludowego, żeby zobaczyć, jak będą wywozić aresztowanych. Zebrało się już sporo kobiet z dziećmi, czekają, a pilnujący strzelają w powietrze, żeby nas odstraszyć. Odprowadziliśmy kolumnę aresztowanych aż do opłotków wsi».

Nie minęła ta noc bez łez przy gwałtownym rozstawianiu się i dla mojej babci – Stefanii Pilewicz: zabrano z domu nie tylko jej męża Biernata, ale i ojca Romana i trzech jego braci. Z wydarzeń mroźnego poranka 12 lutego ona zapamiętała takie zdarzenia:

„Kiedy zabierano ze wsi mężczyzn, mój wujek Staś siedział w saniach, ponieważ był inwalidą i na piechotę szybko nie mógł chodzić. Zobaczywszy mnie krzyknął: »nie płacz, bratanico, szybko wrócimy, jesteście niewinni«. Nawet zaczął głośno śpiewać. Nikogo blisko nie dopuszczano do wywożonych. Pamiętam, że żona Trofima Popowa, Żaneta, chciała pożegnać się z mężem i podeszła do niego, wówczas konwojent trzasnął ją biczem i do tego nastra-

szył, że przejedzie koniem. Wołodia, mój brat, podbiegł, żeby przekazać ojcu torbę i jemu się udało, nikt go nie uderzył”.

Drugiego mojego dziadka – Wasyla Haniewicza, jak opowiadał ojciec, aresztowano nie w domu, ale po drodze do Kriwoszeina. Tego dnia szedł on na piechotę do rejonu, żeby załatwić papiery na wyjazd do osady Samuś koło Tomska. Jadący z naprzeciwka w saniach przewodniczący Tatkin, dowiedziawszy się od niego, gdzie i po co idzie, powiedział: „Wsiadaj do saní, pojedziesz ze mną z powrotem. Kierownictwo rejonu jedzie do Białegostoku i tam wszystko tobie podpisze, jak sobie życzysz”. Po przyjeździe do wsi, długo trzymano go w radzie wiejskiej i dopiero wieczorem ogłosili nam, że jest aresztowany, następnie przyszli do domu, żeby zrobić rewizję. Mój ojciec zapamiętał tylko to, że dziadek przed wyjściem z domu wyciągnął z kieszeni wszystkie drobne, jakie miał i przekazał mu. Siostra dziadka, Agnieszka Szumska, opowiedziała o aresztowaniu brata, jak i swego ojca Jana Haniewicza:

„Za dnia wszyscy byliśmy w domu. Widzieliśmy z okna, że Wacława (tak wszyscy we wsi mówili do niego) saniami powieziono prosto do rady wiejskiej. Od razu wiedzieliśmy, że został aresztowany. Oczywiście, wszyscy mocno się przestraszyliśmy i pogubiliśmy w tej sytuacji. Nie wiedzieliśmy, co robić, jak jemu pomóc. Mama schwyciła dwie sztuki broni, które wisały na ścianie i biegiem wypadła na dwór, żeby je ukryć w szopie na siano. Siedzimy, czekamy aż przyjdą na rewizję, ale nikt nie przychodzi. Wtedy postanowiliśmy wysłać młodszego brata Stasika, żeby zaniósł obiad Wacławowi. Poszedł do rady wiejskiej, a przewodniczący Tatkin mówi, że Wacław nie został aresztowany, wezwany został jedynie jako pracownik wiejski, dlatego on może spokojnie pójść do domu i tam zjeść obiad. Brat zjadł obiad w domu i ponownie wrócił do rady wiejskiej. Nie wiem, co tam robił, ale wieczorem nagle wpada do domu mnóstwo ludzi. Jeden z funkcjonariuszy powiedział, że Wacław aresztowany, będzie rewizja, a potem od razu do matki: »a ty, kobieto idź do szopy i przynieś te strzelby, które tam ukryłaś, my wszystko wiemy«. Stało się jasne, że kiedy mama chowała te nieszczęsne karabiny, spostrzegł ją jeden z pełnomocników, który mieszkał u nas na kwaterze. Wielu ich wtedy jeździło po różnych potrzebach i przewodniczący rady wiejskiej zazwyczaj na nocleg czy na obiad kierował do nas. Mama przyniosła broń i oddała ją. Rewizji już nie kontynuowali, kazali ojcu ubierać się i jego także zabrali do wiejskiej rady. Ojciec w ciągu kilku dni wrócił z Kołpaszewa, a Wacław przepadł na dobre”.

Nie tylko mieszkańcy Białegostoku w ten dzień przeżyli tragedię przymusowego rozstania się ze swoimi bliskimi, ale także niektórzy mieszkańcy pobliskich wsi należących do białostockiej rady wiejskiej. We wsi Georgijewka

spośród Polaków mieszkał tylko Ignacy Marchel. Jego też jednego aresztowano. Według wspomnień mieszkańca tej wsi Anatola Bembela, polecenie aresztowania Marchela przekazano przewodniczącemu kołchozu Grigorijowi Rymszy. Ale Marchela akurat w tym momencie nie było we wsi – pojechał do Monastyrskoje mleć ziarno. Rymsza przechwycił go w drodze i nie pozwolił zajechać do domu, żeby się odpowiednio ubrać, od razu go przywiózł koniami do Białegostoku. W Nowo – Andriejewce aresztowano przewodniczącego kołchozu Piotra Butina. Jego syn Mikołaj nie pamięta ojca (miał wtedy dwa lata), ale ze wspomnień matki wie, że kiedy przyszli zabierać ojca, mocno zapłakał, przestraszywszy się obcego człowieka w czarnym szynelu. Kiedy pozwolono mu zabawić się ojcowskim akordeonem, wtedy dopiero się uspokoił.

Stanisław Artisz, urodzony w Wozniesience, był świadkiem aresztowania nie tylko swego ojca, ale i krewnych w Białymstoku:

„W tym czasie byłem jeszcze chłopcem, ale wszystko dobrze pamiętam, jak się to działo. W lutym 1938 roku, nocą, do naszego domu przyszli trzej czy czterej mężczyźni. Jeden z nich miał pistolet nagan, wszyscy byli nieumundurowani. Przyszli zabrać ojca. Zrobili rewizję. Szukali czegoś w książkach, podręcznikach, a potem rzucali je, deptali po nich. Niczego nie znaleźli, ale ojca zabrali ze sobą. Kiedy jeszcze tata pracował w zakładzie leśnym, tam ktoś mu powiedział, że jego chcą aresztować i żeby jechał do domu na wieś. Po powrocie do domu może jeszcze z tydzień zdążył pomieszkać z bliskimi. Na drugi dzień po aresztowaniu ojca pobiegłem do Białegostoku, dokąd go zabrano, żeby przekazać mu nowsze spodnie. Jestem na miejscu, jednak nikogo nie puszczają i nie pozwalają nic przekazać. Cały klub, czy jak go powszechnie nazywano – dom ludowy, wypełniony był milicją. Nie puszczono mnie i spodni też nie przyjęto. Pojechałem nocować do swojego wujka Jana, który mieszkał na skraju wsi. Wieczorem przyszli z kolei po niego. W tym czasie kroił on kuchennym nożykiem tabakę na małej ławeczce. Milicjanci, kiedy zobaczyli nóż w jego ręku, powyciągali swoje nagany i krzyczą: »Rzuć nóż!« A to nawet nie był nóż, raczej z nazwy. Rzucił go do kąta. Nie wiem nawet, czy była rewizja w domu, tak się przestraszyłem, że ze strachu uciekłem do drugiego pomieszczenia, ukryłem się pod ubraniami i nie wyglądałem. W domu podniósł się płacz. Płakała żona wujka Wintja, jej córka Stanisława i maleńki wnuk Tolik. Wujka zabrano także do domu ludowego. Zabierali wówczas z całego Białegostoku. Mówiono, że zabrano mężczyzn niemal z każdego domu, około stu ludzi. Nie starczało milicjantów enkawudzystów, dlatego do pomocy, jakoby, byli zmobilizowani wiejscy aktywiści i komsomolcy. Jeden syn wujka, Franek, właśnie jako komsomolec, był zmobilizowany do

pomocy organom władzy, aby zabierać współmieszkańców wsi, a drugi syn wuja również został zabrany. Więcej do domu ludowego, ze strachu, nie podchodziłem, i ostatecznie spodni ojcu nie przekazałem. Wróciłem do Wozniesienki. Przez kilka dni wielu mężczyzn spośród Polaków aresztowano, m.in.: braci Gabriela i Józefa Lewko, Ludwika Lajko”.

Dopełniła wspomnienia Artisza, jego średnia siostra Zoja Czerkaszyna:

„W ten dzień, kiedy zabierano mężczyzn, młóciliśmy na polach. Było już ciemno, a tu coś takiego. Bratu Janowi mama mówiła, że trzeba się ukryć, ale nie posłuchał. Zabrano go razem z ojcem. Poszłam do rady wiejskiej i płaczę, płaczę, a Tatkin (to mój krewny) do mnie: nie becz, wróci twój ojciec. I rzeczywiście. Za kilka dni wrócił brat Franciszek, konwojujący etap, ale niczego nam nie powiedział. W ciągu dwóch tygodni wrócił również ojciec, który także milczał o tym, gdzie są pozostali. Brata Jana już się nie doczekaliśmy”.

Franciszek w swoim liście – wspomnieniu fakt swojego przymusowego uczestnictwa w konwojowaniu etapu aresztowanych kategorycznie odrzuca, mówiąc, że rzeczywiście „brali wszystkich mężczyzn w każdym domu. Milicji było sporo, ale i ich nie starczało. Do pomocy brano przewodniczącego rady wiejskiej, sekretarza, część miejscowych ludzi, ale komsomolców, młodzieży nie zapraszano. Być może nam nie wierzono, nie pozwalano także obserwować ich działań i bezwzględnie przeganiano nas”.

Maria Lajko (z domu Kisiel), żona Adama, nie była obecna przy aresztowaniu męża, w odróżnieniu od aresztu swego ojca w 1937 roku. Według jej słów, mąż odmówił zgody na wstąpienie do kolchozu. Chciał pracować samodzielnie, ale ciężko było z tego przeżyć. Pojechał na zarobek do wsi Krasny Jar i zaczął pracować w cechu bednarskim. Tam go aresztowano. Maria dowiedziała się o tym dopiero po pół roku. Pojechać do miejsca pracy męża nie mogła: na głowie miała dwie małe córeczki i gospodarstwo. Zaczęła dowiadywać się o męża w milicji, gdzie jej powiedziano, że został osądzony jako wróg ludu, bez prawa widzenia i korespondencji. Innych bardziej konkretnych informacji nie uważano za konieczne jej przekazać.

Dzieląc się wspomnieniami o tej niezapomnianej lutowej nocy, niektórzy mieszkańcy wsi mówili, że po niej nie pozostał w Białymstoku ani jeden dorosły mężczyzna oraz, że więcej aresztów we wsi nie było. Przeczą temu fakty. Po aresztowaniach w nocy z 11 na 12 lutego niektórych z mężczyzn nie złapano, znajdowali się bowiem przy pracach leśnych i w innych miejscach. Jednym słowem, Bóg zlitował się nad nimi. Niektórym wydawało się, że na długo.

Jeszcze nie wszyscy mieszkańcy otrząsnęli się z szoku, w rezultacie prawdziwej obławy, przygotowanej przez NKWD na mężczyzn Polaków we wsi,

jeszcze nie wyszły codzienne kobiece łązy za swoimi zabranymi mężami i ojcami, jak w ciągu czterech dni po tej strasznej nocy, 16 lutego, pracownicy NKWD przyjechali do wsi poszukiwać pozostałych ukrywających się Polaków. Aresztowano wówczas jeszcze piętnastu ludzi i powieziono ich do Kriwoszeina, żeby dołączyli do zasadniczego etapu wcześniej aresztowanych.

Po tym grupowym aresztowaniu 16 lutego w osadzie z Polaków pozostało tylko kilku dorosłych mężczyzn: Augustyn Szumski, przewodniczący kolchozu, rachmistrz Józef Maziuk, rolnik indywidualny Wasyl Krapiwiec. Ten ostatni uniknął aresztu dlatego, że posłuchał rady swojej żony i ukrył się w czasie aresztów w maliniaku, w swoim ogrodzie. Dwa razy przychodzili po niego, ale nie mogli znaleźć. Tak się uratował. Więcej, poza lutową nocą, po niego nie przychodzono. Prawda, po kilku dniach po aresztach przewodniczący rady wiejskiej Tatkin, przy spotkaniu wspomniał mu, że nie bardzo chcieli go w tę noc zabierać, bo jeśli byłby im naprawdę potrzebny, wyciągnęliby go spod ziemi. Nie byli aresztowani Michał Rudkowski, Józef Michnia i jeszcze kilku ludzi. Uniknęli aresztu dlatego, że przez całą zimę pracowali przy robotach leśnych i w czasie aresztowań we wsi byli nieobecni. Jednym słowem, mężczyzn, którzy uniknęli aresztowania w Białymstoku można było policzyć na palcach jednej ręki.

Odprowadzając aresztowanych za wiejski wygon, każda z kobiet myślała, że jej męża (ojca, brata, narzeczonego) aresztowano przez pomyłkę i szybko wypuszczą. I wszystkie one, już nauczone gorzkim doświadczeniem wcześniejszych lat, wskazującym, że sowieckie prawodawstwo nie tyle sądzi, co karze, i często niekoniecznie winnych, niektóre spośród nich swoim praktycznym chłopskim rozumem kombinowały, jak wykarmić rodzinę do powrotu męża, w co ubrać i co na nogi włożyć. Mężczyźni zaś po aresztowaniu, jeszcze do postanowienia sądu bądź jakichkolwiek innych postanowień, w oczach konwojentów, różnokalibrowego naczelnictwa, ale i niemałej liczby prostego ludu, stali się z „równoprawnych obywateli równoprawnego państwa” automatycznie „wrogami narodu”, „speckontygentem”, a nawet „kontrami”¹.

Trudno obecnie powiedzieć, co myśleli ludzie, spotykający na swej drodze aresztowanych białostoczan i innych uwięzionych, którzy szli do Kriwoszeina, a potem dalej do Kołpaszewa. Dla mieszkańca wsi Tajłaszewka Grigorija Ogniewa, w tym okresie ośmioletniego ucznia pudowskiej szkoły, wątpliwości co do zasadności aresztu wynikły, kiedy tylko zobaczył aresztowanych. Oto, co napisał w swoim liście:

¹ „Kontr” – charakterystyczne dla sowieckiej propagandy skrócenie słowa „kontrrewolucjonista” było największą obelgą kierowaną wobec wszystkich niewygodnych i nieprawomyślnych obywateli (przyp. tłum.).

„Nasza szkoła stała przy drodze, która prowadziła z osady Białystok. I po tej drodze w lutym 1938 roku gnano ludzi pod konwojem. Ludzi aresztowanych było około siedemdziesięciu – osiemdziesięciu. Wokół szli konwojenci z milicji i NKWD. Kiedy ich prowadzono koło szkoły, my uczniowie powy-skakiwaliśmy z ławek i patrzyliśmy na nich przez okno. Wtedy nauczycielka Milica Izotowna powiedziała nam, że to wrogowie narodu z Białegostoku i nie trzeba na nich patrzeć. A ja pomyślałem sobie: jacy oni wrogowie, kiedy na nogach mieli łańczie powiązane sznurkami”.

Antoni Rudkowski ten fatalny konwój napotkał na drodze koło Nowo – Aleksandrowki, kiedy wracał koniem z Kriwoszeina. Mundurowi nakazali wówczas odwrócić konia od drogi i samemu nie patrzeć. Ale i tak poznał w tej grupie ludzi swoich znajomych z Białegostoku. Pociemniało mu w oczach i nie zapamiętał, kiedy koń sam wyszedł na drogę i chyżo pobiegł do domu. Przyszedł do siebie, kiedy już podjeżdżał do rodzinnej wsi. Opowiedział to, co zobaczył żonie, sam zaś dowiedział się szczegółów aresztowań we wsi. Razem podziękowali Bogu, że nie dopuścił zgryzoty w ich chacie! Ale 16 lutego za dnia przyszli i po niego. Chciał Antoni uciekać, ale było za późno. W Kriwoszeinie dołączono go do głównej grupy aresztowanych wcześniej.

Udało się zobaczyć swoich ojców w trakcie transportu aresztowanych kilku białostockim dziewczynom, uczącym się wtedy w kołpaszewskiej uczelni pedagogicznej. Jedna z nich, Maria Areszczenko (z domu Jocz), opowiada:

„W 1938 roku, kiedy byliśmy na drugim kursie, w jeden z najzimniejszych dni białostockie dziewczęta (uczyły się tu Wiktoria Artisz, Albina Gielbutowska, Anna i Piotr Duliniec, Maria Lajko z Wozniesienki) w drodze do uczelni napotkały duży transport więźniów. Wtedy wielokrotnie spotykaliśmy takie etapy na drodze. Odeszły dziewczyny na bok i stwierdziły, że wśród aresztowanych są ich ojcowie. Powiedziały mi, że był tam również mój tata. Ojcowie ich również zobaczyli i krzyczeli: «nie płaczcie, córeczki, nie płaczcie! Rozejdźcie się!» Kiedy dowiedziały się, że ojcowie są aresztowani, od razu poszły do swojej wychowawczyni Anastazji Iwanowej, a ta zakomunikowała o tym dyrektorowi uczelni. Dyrektor nas wezwał, wysłuchał, a potem powiedział, żebyśmy poszły się uczyć, wszystko się wyjaśni. Kierownika działu nauczania z uczelni także zabrano. To był dobry człowiek, dawał nam pieniądze, jeśli komuś zabrakło na życie. Potem, za jakiś czas do naszego internatu przyszedł ojciec Wiktorii Artisz – Jan, wypuszczony z kołpaszewskiego więzienia. Powiedział, że jego już przesłuchiwali, a mojego ojca jeszcze nie. Nie nocował w internacie, tego samego dnia wyjechał. Czekałam, że i mojego ojca wypuszczą, ale się nie doczekałam”.

Spośród aresztowanych w lutym 1938 roku i zaprowadzonych do Kołpaszewa, część białostoczan szybko została uwolniona i wróciła do domów. W ciągu kilku dni po doprowadzeniu aresztowanych do miasteczka zostali zwolnieni staruszkowie w wieku emerytalnym: bracia Józef i Jan Haniewicz oraz Filip Szuć. Najstarszy z nich Józef Haniewicz, starszy brat mojego pradziadka Jana, miał wówczas prawie dziewięćdziesiąt lat. Zmarł w 1952 roku w wieku stu czterech lat.

Wypuszczeni za drzwi więzienia bez kawałka chleba i odpowiedniej zimowej odzieży, przez prawie dwa tygodnie starali się dotrzeć do swoich rodzinnych domów, prosząc po drodze o jałmużnę u litościwych ludzi. Według opowiadania wnuczki Józefa Haniewicza, Heleny, staruszkowie przyszli w Kriwoszeinie do jej matki – byli bardzo wycieńczeni. Trochę odpoczęli, pojedli (córka Józefa pracowała w stołówce) i poszli do swoich domów. Trudny był dla nich ten powrót, nie tylko z powodu starczej niemocy: pozostawiali za kratami ich synowie i zięciowie, a oni nie wiedzieli co powiedzieć swoim kobietom i wnukom.

Jana Maziuka, którego we wsi nazywano „pusty sklepikarz”, zabrano z domu chorym; zawięzli go w koc i wrzucili do sań. W Kołpaszewie od razu został skierowany do więziennego szpitala, gdzie przeleżał aż do lata. W czerwcu został uwolniony, wrócił do domu i szybko zmarł.

Z młodych do domu wrócili: Aleksander Kisiel, który stał się prawą ręką przewodniczącego kołchozu Augustyna Szumskiego, Stefan Szwedko, Florian Gryk. Zwolniono z więzienia także Jana Kisiela, przy czym w takich okolicznościach, które do jego śmierci w 1982 roku, nie były jasne: czy zwolniono go oficjalnie, czy uciekł już od samego rozstrzelania. On sam o okolicznościach swojego aresztu i zagadkowego uwolnienia ani o wydarzeniach lat 1937–1938, nie opowiadał, choć był drugim mężem mojej babci Stefanii. Nie był naszym krewniakiem, ale dobrym i kochanym przez nas dziadkiem.

Trzeba zauważyć, że w całym zagadnieniu historia z „powrotami” okazała się najbardziej skomplikowana. Skomplikowana z różnych przyczyn. Ludzie, którzy zostali aresztowani razem ze wszystkimi, a potem uwolnieni z powodów dla siebie również niepojętych, starali się ten fakt swojej biografii na wszelkie sposoby wyrzucić z pamięci i pamięci swoich bliskich. Były tego różne przyczyny: po pierwsze, wszyscy chcieli żyć i nie chcieli trafić ponownie tam, skąd się cudem uratowali. Po drugie, niektórzy z mieszkańców wsi chcieli widzieć w powracających sprzedawczyków, którzy jakoby kupili sobie wolność drogą oszczerstw wobec pozostałych. Powodem takiego absurdałnego przekonania były niejednokrotne, wypowiedane po pijanemu, pogróżki brygadzysty Aleksandra Kisiela wobec kobiet, że on z łatwością może wyprawić je tam, gdzie znaleźli się ich mężowie. I już on wie, jak to trzeba załatwić...

Niepełna jest odpowiedź na pytanie o liczbie tych, którzy wrócili z Kołpaszewa po aresztowaniu w 1938 roku. Mieszkańcy wsi wymieniali nazwiska i imiona różnych ludzi. W rezultacie przepytania wielu dziesiątków starszych ludzi, zapisków i wspomnień, udało się odtworzyć imiona i nazwiska dwudziestu białostoczan, którzy zostali najpierw w 1938 roku aresztowani przez NKWD, a potem zwolnieni bez specjalnych następstw, do domów. Byli to:

1. Artisz Jan
2. Bielański Józef
3. Gryk Florian
4. Zińczuk Antoni
5. Kisiel Aleksander
6. Kisiel Jan
7. Luty Stanisław
8. Maziuk Jan
9. Markisz Józef
10. Matesza Antoni
11. Podwysocki Mikołaj
12. Radziej Franciszek
13. Radziej Tadeusz
14. Haniewicz Jan
15. Haniewicz Józef
16. Szwedko Stefan
17. Szymanowski Antoni
18. Szumski Adam
19. Szumski Paweł
20. Szuc Filip

Oczywiście, miałem wielką chęć z którymś z nich spotkać się i porozmawiać. Chciałem się dowiedzieć okoliczności ich aresztowania i uwolnienia z pierwszej ręki, a nie w przekazie. Ale zrealizować to zadanie okazało się niezwykle ciężko: minęło pięćdziesiąt lat, jedni zmarli, inni zginęli na froncie. W rezultacie poszukiwań okazało się, że dwóch ludzi spośród tych dwudziestu jeszcze żyje. Jeden z nich mieszkał w Tomsku i był dobrze mi znany – to Paweł Szumski, 1920 rok urodzenia, były żołnierz frontowy. W chwili rozmowy z nim w październiku 1988 roku był już bardzo chory, paraliż przeszkadzał mu mówić. Ale po moim przyjeździe nie uciekał od tematu, chętnie go podjął. Z trudem, dobierając nieposłusznym językiem słowa i wyrażenia, powiedział co następuje:

„12 lutego w Białymstoku była wielka oblawa. Zabrano wówczas sześćdziesięciu ośmiu ludzi, zagnali ich do domu ludowego i uwięzili, potem na piechotę pognano do Kriwoszeina. 16 lutego, już podczas dnia, milicja chodziła po domach i aresztowała pozostałych we wsi mężczyzn i chłopców. Także i mnie wtedy zabrano. Ilu było aresztowanych razem ze mną – nie pamiętam, ale łącznie w ciągu dwóch dni zabrano osiemdziesięciu ośmiu ludzi. We wsi zostało trzech dorosłych mężczyzn spośród Polaków. Z Białegostoku pognano nas na piechotę, z konnym konwojem, do Kriwoszeina. Tam zamknięto nas w klubie. Zaganiano ludzi także z innych wsi. Zebrano grupę w liczbie dwieście czterdzieści jeden osób i dalej na piechotę, po zamarzniętej rzece pognano do Kołpaszewa, jak bydło. Niektórzy mężczyźni byli źle odziani, bardzo marzli, więc wrzucono ich na towarzyszące nam podwozy. W Kołpaszewie zagnano aresztowanych do dużego drewnianego domu i rozprowadzono po pomieszczeniach. Ludzi w tych pokojach było pełno. Wzywano na przesłuchania. Chcieli mi, na ile zrozumiałem, przedstawić oskarżenie w sprawie kradzieży łożysk do traktora, bo byłem w tym czasie pomocnikiem traktorzysty. O czym była mowa u śledczego, zabraniali mówić w pomieszczeniach dla uwięzionych. Po ośmiu dobach mnie i jeszcze dwóch wioskowych – Antoniego Zieńczuka i Antoniego Matesza wezwano do śledczego i on powiedział, że jesteśmy wolni i możemy wracać do domu. Ale jeśli będziemy mówić o tym, co tutaj widzieliśmy i słyszeliśmy, to nas zabiorą ponownie, a wtedy tak lekko się nie wyłgamy”.

Milczał więc Paweł Szumski całych pięćdziesiąt lat. I tutaj, w swoim wspomnieniu, milczał na temat, czy w jakikolwiek sposób oskarżał współmieszkańców wsi, i tym samym, „zmniejszał” swoją winę czy też nie oczekiwano od niego takich świadczeń. Jeśli jednak nawet tak było, czy ktokolwiek jest w stanie kogoś osądzać? W ostatnich latach za pomocą prasy wiele dowiedzieliśmy się o sposobach otrzymania „przyznających się” dowodów na siebie i na swoich bliskich u aresztowanych przez NKWD.

Wydawało się, że archiwa KGB mogą dać odpowiedź na to nieproste pytanie, jednak znajomość archiwalno-śledczych spraw osądzonych białostoczan nie pozwala z pełną wiarygodnością odpowiedzieć na pytanie, dlaczego i za co ci ludzie byli zwolnieni. W tych czasach przecież, jak i w innych, dokładnie tacy sami niewinni ludzie jak oni nadal siedzieli w więzieniach, a potem zginęli na zawsze? Na razie na to pytanie odpowiedzi nie ma. Można snuć oczywiście różne przypuszczenia, ale będzie to być może bardzo dalekie od prawdy.

Trzeba podkreślić, że tragedia białostoczan nie ograniczyła się tylko do granic wsi. Przecież w końcu lat trzydziestych wielu mieszkańców, uciekając

przed kolektywizacją, w poszukiwaniu lepszej doli opuściło rodzinne strony. Życie rozrzuciło ich po różnych miastach i wsiach, ale los Polaków wszędzie był jednakowy i w niczym nie różnił się od losów moich krajan. Nie chcąc wstąpić do kołchozu, wyjechała szukać lepszej doli w dalekie kubańskie ziemie cała grupa chłopów – bracia Wincenty i Antoni Michnia ze swoimi dorosłymi i małymi dziećmi, ich siostra Józefa z mężem Igorem Ucinem, bracia Jan i Wiktor Nazarukowie z rodzinami, Michał Krzywda. Bracia Michnia po licznych migracjach osiedli na koniec w miasteczku Szachty, w obwodzie rostowskim i zaczęli pracować w kopalni. Dostali pokoik w baraku. Pragnęli długo i szczęśliwie żyć, ale 26 lutego 1938 roku ludzie w mundurach zaszli do ich pokoiku.

Według wspomnień syna Antoniego Michni, również Antoniego, jego matka chodziła do budynku miejskiego NKWD dowiedzieć się czegoś o mężu. Przyjęto przesyłkę dla niego, ale na widzenie nie pozwolono. Jednak do spotkania i tak doszło: aresztowany dostrzegł żonę przez zakratowane okno i wyrzucił przez nie swoją koszulę. Żona Teofila rozwinęła tę koszulę dopiero w domu – była cała czarna od krwi. Kiedy po raz drugi zaniósł mężowi przesyłkę, nie wzięto już jej, mówiąc, że aresztowany wyjechał. Dokąd wyjechał, rzecz jasna, nie poinformowano. Dopiero w 1990 roku, z listu rostowskiego KGB wynikało, że bracia Michnia zostali rozstrzelani 14 września 1938 roku za „przynależność do kontrrewolucyjnej organizacji narodowej”. W 1960 roku zostali pośmiertnie zrehabilitowani przez sąd wojskowy Okręgu Północno – Kaukaskiego. Podobny los osiągnął ich krajan Igora Ucina i Michała Krzywdę. Gdzieś w Kraju Azowsko-Czarnomorskim zostali rozstrzelani bracia Nazarukowie. Rodzina Michnia, szybko po aresztowaniach obu braci, powróciła do Białegostoku.

Wróciła do swej miejscowości także Maria Smolicz ze wsi Koływan w obwodzie nowosybirskim, dokąd wyjechała z mężem do jego nowego miejsca pracy. O przyczynach powrotu tak opowiedziała:

„Nasza rodzina była przesiedlona z powodu akcji rozkułaczania. Zestano nas do Kraju Narymskiego. Tułając się, osiedliśmy w Białymstoku, gdzie zaczęliśmy powoli wrastać w otoczenie. Wysłałam za mąż za nauczyciela szkoły białostockiej Iwana Dutchenko, który w szkole uczył rosyjskiego i literatury. Jako uczennica byłam od niego o cztery lata młodsza. „Zagrzmiało” z powodu naszej miłości. Iwan został wykluczony z komsomołu, a my, wziąwszy ślub, wyjechaliśmy, uciekając od plotek do Koływania, który znajduje się niedaleko od Nowosybirska. Mąż zaczął pracować jako nauczyciel w szkole średniej, wieczorami ucząc dorosłych, wśród których byli również pracownicy NKWD. Mój starszy brat Witold, podobnie jak ja, wyjechał w 1934 roku z Białego-

stoku do obwodu permskiego i podjął pracę jako główny księgowy fabryki maszynowej, ale potem został zdegradowany na stanowisko zastępcy głównego księgowego. Niedługo potem dostałam list od siostry Wandy. Napisała w nim, że brat został aresztowany 7 sierpnia 1937 r. przez NKWD. Jesienią tego roku z listu mamy dowiedzieliśmy się, że w Białymstoku 21 października aresztowano ojca i kilku innych mieszkańców, w tym także dyrektora szkoły Czerwonego, tego samego, z którym pracował mąż. Czuliśmy, że i nad nim zbierają się czarne chmury. 10 stycznia 1938 r. przyszedł mąż do domu i powiedział, że wezwano go do miejscowego NKWD i pytano, czy pracował w Białymstoku i czy zna Czerwonego i Chwalko. Odpowiedział, że zna, bo przecież pracował z nimi w jednej szkole. Wtedy mu oświadczono, że Czerwony i Chwalko to uciekinierzy z Polski, którzy okazali się wrogami, a ty, najpewniej, jesteś z nimi związany. Posiedział mąż trochę w domu, ale jeszcze tego samego dnia poszedł ponownie do NKWD i więcej nie wrócił. Na następny dzień przyjechali do mieszkania robić rewizję. Wszystko przewalili. Zabrali wszystkie książki, a tych mąż posiadał bardzo wiele, zabrali broń, wszystkie obligacje, pieniądze, fotografie; powrzućali wszystko na sanie i zabrali. Zostawiłam maleńką córeczkę z gospodynią mieszkania, a sama szybko udałam się do NKWD, żeby czegoś dowiedzieć się o mężu. Podeszłam do budynku a tu, jak raz, mojego Iwana, prowadzą do więzienia. Krzyknęłam do niego, że u nas zrobiono rewizję i wszystko zabrano. Chciałam przekazać mu rękawiczki, ale konwojujący go milicjanci, zresztą jego byli uczniowie, dobrze mnie znający, nie dopuścili tak blisko do niego. Rzuciłam więc rękawiczki na schody, a mąż je zabrał. W ciągu kilku dni dotarło do mnie pismo od męża z więzienia. Przekazał mi, że przewożą go do łagru koływańskiego i żebym strzegła dzieci. Wzięłam ten liścik i poszłam do naczelnika NKWD ze skargą i żeby dowiedzieć się jakiś szczegółów. Oddali mi dwieście siedemdziesiąt rubli, obligacje, a fotografii i książek – nie. Potem dowiedziałem się, że i tego naczelnika aresztowano po pewnym czasie. Po uwięzieniu Iwana wszyscy znajomi odwrócili się ode mnie, znajomi milicjanci przestali się odzywać, szkoła nie chciała płacić za nasze mieszkanie. Życie w takich warunkach było niemożliwością, dlatego wróciłam do Białegostoku. Wtedy dowiedziałam się szczegółów aresztowania ojca i innych mężczyzn białostockich. Wszystkich zabrano. Także Antoniego Szucia, chociaż on był „niespełna rozumu”. Durnego „po linii NKWD” zwinięto razem z innymi. Potem baby głośno się śmiały między sobą: «Jaki to wybitny polityk był ten Antoni Szuć...».

Dla nauczycieli Konstantego Chwalko i Aleksego Beka nasz Białystok nie był długotrwałym miejscem zamieszkania. Chwalko, przepracował jako kierownik szkoły dwa lata, potem został przeniesiony do Kriwoszeina. Z kolei

nauczyciela języka niemieckiego Beka, pracującego w naszej szkole w latach 1933–1935, los rzucił do Kołpaszewa, gdzie wykładał w średniej szkole. Mimo to, obaj chyba wierzyli, że Białystok nie będzie tylko epizodem w ich nauczycielskim, koczowniczym życiu. Chwalko ożenił się z dziewczyną z sąsiedniej wsi Wozniesienka. Znalazł swoje rodzinne szczęście także Bek, samotny, pięćdziesięcioletni mężczyzna, urodzony w Warszawie. W Białymstoku poznał, a potem ożenił się z Heleną Sokołowską, pochodzącą z rodziny represjonowanego księdza. Urodziła się im córeczka. Jak się wydawało, czekała go tylko, spokojna, rodzinna starość, ale tak się nie stało. Jesienią 1937 roku Bek i Chwalko zostali aresztowani.

Niemало mieszkańców Białegostoku, opuszczając rodzinną wieś, osiedlało się w Tomsku. Jednak i tak duże miasto nie było ratunkiem przed aresztowaniem dla Zygmunta Prońskiego, Pawła Bacha, Szymona Maziuka. Jednak nad jednym z białostoczan, który w 1936 roku został mieszkańcem Tomka, można powiedzieć, los się ulitował. Mowa o Walerianie Maziuku. Wspominając przeszłość, przyznał się, że w 1938 roku został również aresztowany i przewieziony do podziemi NKWD. Ale w ciągu doby, nie wiadomo, z jakiego powodu, został zwolniony. Tę dobę niewoli zapamiętał na całe życie. Do swojej śmierci był przekonany o tym, że wówczas uratował go członek biura miejskiego partii, a zarazem naczelnik tomskiego elewatora Pietczenko, jako-by wstawiwszy się za nim jako za najlepszym kierowcą.

Oprócz Tomka było jeszcze jedno miejsce, gdzie przed kolektywizacją wsi, wyjechało wiele rodzin białostockich na stałe zamieszkanie. Mowa o niewielkich miejscowościach Osinówka, Nikiforówka, Aleksandrówka, wszystkie znajdujące się w rejonie kożewnickim. W porównaniu z naszymi ziemiami, miejsca te były o wiele bardziej przydatne pod uprawy rolne, tam bardzo dobrze rosła pszenica. W tych miejscowościach mieszkało również wielu Polaków. Stamtąd także przyjeżdżało wielu kawalerów, żeby znaleźć sobie dobre żony w Białymstoku. Jeszcze przed kolektywizacją, do wsi Nikiforówka przeniósł się Józef Gryk, tam także Malwina Pilewicz wyszła za mąż za Klemensa Lekarewicza, tam również w 1933 roku osiedlił się Piotr Daszczuk z rodziną. Było więcej takich przesiedleńców. Jednak długo samodzielnie pogospodarować na nowych ziemiach nie było im dane – zaczęła się kolektywizacja, a zaraz potem aresztowania.

Córka Piotra Daszczuka, Katarzyna, po mężu Pomieszczikowa, opowiadała, że jej ojciec, pracujący jako przewodniczący komisji rewizyjnej w kołchozie im. Telmanna, 12 lutego 1938 roku pojechał ze sprawozdaniem do Kożewnikowa. Wracając wieczorem do wsi, zaszedł na chwilę do rady wiejskiej i tam od razu został aresztowany. Więcej rodzina go nie zobaczyła, mało tego,

nawet niczego o nim nie wiedziała, do 1958 roku. Po rehabilitacji żona otrzymała świadectwo jego śmierci, jakoby w 1945 roku zmarł od zawału serca w miejscu uwięzienia w Omsku. Sama żona Piotra Daszczuka, Anna, przy naszym spotkaniu 1 marca 1990 roku powiedziała, że jej dzieci po rehabilitacji ojca w 1958 roku wyżebrały dla niej rentę za męża w wysokości siedmiu rubli, którą całkiem niedawno podwyższono do czternastu rubli na miesiąc. W odniesieniu do pensji Anna stwierdziła, że jej się całkiem udało. Wyjaśniła, że jeszcze w 1958 r. w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych nakazano jej wybierać: dostanie za męża jednorazowo siedemset pięćdziesiąt rubli lub dożywotnio będzie otrzymywać rentę w wysokości siedmiu rubli. Wybrała rentę i nie żałowała tego wyboru, dlatego, że przez trzydzieści dwa lata otrzymała o wiele więcej niż zaproponowana jednorazowa zapomoga.

W niewielkiej wioseczce Nikiforówce żyjących tam Polaków aresztowano według takiego schematu: przewodniczący rady wiejskiej wzywał ich do stawienia się w radzie z posiadaną bronią, po to żeby wziąć udział w jakichś ćwiczeniach. Kiedy mężczyźni zebrali się, nakazano broń ustawić w kącie, a potem zakomunikowano im, że są wszyscy aresztowani. Wśród uwięzionych byli Klemens Lekarewicz i jego bracia – Jan, Edward i Feliks. Widział tę procedurę aresztowania syn Klemensa – Aleksander, w tym czasie młody chłopak, który uparł się iść razem z ojcem na ćwiczenia do rady wiejskiej. W następstwie tych wydarzeń, żona Klemensa Malwina, nie wytrzymawszy szyderstw miejscowych ludzi, w 1942 roku razem z dziećmi wróciła do rodzinnego Białegostoku.

W obecnym czasie stały się znane nazwiska dwudziestu dwóch białostoczan, którzy do 1937 roku opuścili osadę, a jednak byli prześladowani w nowych miejscach swego zamieszkania. Można z całą pewnością stwierdzić, że spis ten nie jest kompletny. Wielu z mieszkańców wsi, nie chcąc wstępować do kolchozu, na zawsze wyjechało z miejsc rodzinnych i nigdy więcej tu nie powróciło. Bardzo możliwe, że ktoś z nich podzielił tragiczny los swoich rodaków.

Podkreślić należy, że przypadki mieszkańców Białegostoku nie były unikalne – to typowy los bardzo wielu tysięcy Polaków, żyjących w tych czasach w ZSRR. Ogromna ich większość była represjonowana tylko i wyłącznie za to, że była i czuła się Polakami, nosiła polskie imiona i nazwiska. Wszyscy stali się ofiarami prześladowania ze strony władzy sowieckiej. Mówią o tym dobitnie materiały archiwalne, wspomnienia moich krajan, mieszkańców Białegostoku. Bardzo długa była droga, bardzo długa, którą musieliśmy przejść, żeby móc bez bojaźni o tym wszystkim opowiadać.

Ukarani milczeniem, czyli długa droga do prawdy

Po przymusowym rozstaniu z aresztowanymi u każdej kobiety obok pytania „za co go aresztowano?” pojawiały się inne: „gdzie on się znajduje, co się z nim dzieje?”. Odpowiedzi na te kwestie zostały ukryte na pięćdziesiąt lat.

Bezpośrednio po aresztowaniu mężczyzn z Białegostoku nikt z krewnych we wsi nie otrzymał żadnych wyjaśnień o losie uwięzionych czy o rezultacie procesu sądowego. Wszystkim powiedziano jedno – że niby są osądzeni na dziesięć lat bez prawa korespondencji i wywiezieni do odległych łagrów. Nie wiedzieli wówczas, co kryje się za tymi słowami pracowników NKWD. Kobiety wierzyły w te zapewnienia. Bo co było robić? A zatem czekały.

Och, jak bardzo czekały przez te wszystkie czarne lata, niosąc nadzieję na powrót bliskich i drogich ludzi. Kiedy już minęło to długie dziesięć lat, stwierdziwszy, że kara uwięzienia się kończy, a mężczyźni z łagrów nie wracają, najbardziej zrozpaczeni zaczęli zwracać się z pisemnymi pytaniami o los bliskich.

Maria Smolicz pytała każdego, żeby dowiedzieć się czegoś o losie męża, brata, ojca... Pisała listy do różnych instancji. Zamiast odpowiedzi wzywano ją do krioszeińskiego oddziału KGB i grożono, że jeśli nadal będzie pisała, to całkiem realnie może pójść w ślady męża. Musiała dać im pokwitowanie, że więcej wysyłać listów w tej sprawie nie będzie. Zaczęła ponownie pisać już po śmierci Stalina.

Podobnie działo się z Anną Roman (Maziuk). Zaraz po zakończeniu wojny ktoś z pełnomocników, często zostających u nich na nocleg, poradził jej matce, żeby napisała, podpowiedział nawet adres. Jako jedyna piśmienna w rodzinie Ania napisała najpierw do Moskwy. Potem, jak opowiadała Anna, matka została wezwana i była indagowana, kto konkretnie poradził jej, żeby

napisała list i wskazał adres. Nakazali więcej nie pisać, a adres „wysokich instancji” jak najszybciej zapomnieć. Odpowiedzi z Moskwy się wtedy nie doczekali i bali się więcej pisać. Już potem, w latach sześćdziesiątych, dostali dokument w sprawie rehabilitacji ojca i dwieście starych rubli wypłaconych gotówką.

Rodzina Adama Lajko szybko po jego aresztowaniu przeniosła się do Tomska. W 1948 roku jego córka Anna, wówczas jeszcze uczennica, postanowiła dowiedzieć się czegoś o losie ojca.

„Zaagitowała mnie moja sąsiadka. Jej nazwisko – Gordyńska, imienia nie pamiętam. Jej ojciec był również represjonowany. »Dawaj – mówi – napiszemy«. No i napisałam. Przyszła odpowiedź. Wezwanie. Od razu przypomniał się ten dzień – 11 stycznia. Szybko trzeba było się stawić na placu Lenina. Przyszłam. Przy wejściu żołnierz. Dzwoni dokąś telefonem. Tam mu coś powiedzieli. A on śmieje się do słuchawki: – »ale to przecież jeszcze dziecko!« Za pewien czas przyszedł po mnie żołnierz z automatem, nakazał iść za sobą. Korytarze ciemne, po dwóch stronach cele więzienne. Zrobiło mi się strasznie. Weszliśmy do pokoju. Siedzi dziewczyna. Zapamiętałam jej nazwisko – Kopyjkina. Zapamiętałam, bo była przeciwieństwem swego nazwiska – była taka tłusta, że nie wiadomo jak mieściła się na jednym krześle. Żeby niczego nie zobaczyła, położyła teczkę w poprzek, kiedy ją otwierała, widziałam tylko okładkę. Popatrzyła przez chwilę, zamyka. Dowiedziałam się od niej, że ojciec został osądzony, bez prawa korespondencji, na dziesięć lat. Sąd był jakoby 10 lutego 1938 roku. Polczyłam, że dziesięć lat właśnie mija, więc pytam:

– A gdzie się obecnie znajduje?

– Nie wiem, może jego obóz został zbombardowany, a może dostał nową karę.

Tak mi odpowiedziała ta kobieta. Kiedy wyszłam stamtąd, myślę, o jakie bombardowanie jej chodziło, przecież wojna nie toczyła się na Syberii.

Drugi raz Anna rozmawiała o ojcu z pracownikami „organów” w 1954 roku w następujących okolicznościach:

„Chodziłam wtedy do technikum kolejowego. Uczyłam się dobrze. Przed zakończeniem szkoły pojawiła się możliwość wstąpienia do Instytutu Kolejnictwa bez egzaminów, w gronie prymusów. Ale był jeden chłopak, dla którego byłam konkurencją. Doniósł na mnie, „gdzie trzeba”, że ja niby to ukrywam swoją prawdziwą narodowość. Rzecz w tym, że właśnie otrzymałam swój dowód osobisty. A w nim, bez mojej wiedzy napisano – „Rosjanka”. Kiedy składałam podanie o dokument byłam Polką, a stałam się Rosjanką. Ale był już rok 1954. Nie aresztowano mnie, jak to wcześniej bywało, ale na przesłu-

chanie wezwano. Towarzysz ze służb pytał, jakie książki czytam, czym się interesuję. I coraz to bliżej podchodził do tematu ojca. Czułam dokąd zmierzają. Napięcie było straszne. Na koniec obcesowo stwierdził: »mówisz wszystko o matce, o siostrze, a o ojcu nic. Gdzie on jest, czym się zajmuje?« Mało się nie poryczałam: »w 1948 roku niczego o ojcu mi nie powiedzieliście, a w 1954 ja mam wam mówić, gdzie się znajduje?« Jasne, że wtedy nie krzyczałam, ale pozostał niezmierny żal. Do tej pory”.

Włodzimierz Czerwony razem z matką i siostrą wiosną 1938 roku wyjechał z Białegostoku do leńskich kopalń złota, czyli tam, gdzie nie pytano o krewnych. Matka została nauczycielką, a w czasie wojny pracowała w kopalni, przeżyła tam prawdziwą traumę. Zaraz po wojnie do kopalni trafił też Włodek. W 1956 roku postanowił z matką wrócić do Tomśka, chciał pracować na poczcie. Ale tu dopadła Włodzimierza ankietka – ojciec „wróg narodu”. Wówczas postanowił jeszcze raz, ale teraz osobiście, a nie poprzez pisanie listów, dowiedzieć się czegoś o losie ojca. Według jego wspomnienia wyglądało to tak:

„Poradzono mi, żeby w sprawie rehabilitacji ojca pojechać do prokuratury obwodowej do niejakiego Wołkowa. Przyjął mnie dobrze, wysłuchał, poprosił o napisanie wniosku. Dopiero wówczas otrzymałem odpowiedzi. Wezwano mnie do KGB i powiedziano, że ojciec zmarł 8 lutego 1944 roku od ropnego zapalenia w miejscu uwięzienia. Zapytałem, gdzie ojciec jest pochowany, na co padła odpowiedź: »co mogliście się dowiedzieć, powiedzieliśmy wam, pozostałe sprawy to tajemnica«. W 1962 roku dano nam rentę po ojcu w wysokości sto pięćdziesiąt rubli. Wołkow poradził, żeby napisać wniosek, a następnie załatwić jego realizację osobiście, dzwoniąc do jakiegoś ważniaka. W ciągu tygodnia dostałem pieniądze, kupiłem za nie wódkę i wypilem za ojca”.

Wiktoria Daszczuk wspominała, że gdzieś pomiędzy 1956 a 1957 rokiem do Białegostoku przyjechał pracownik KGB z Tomśka i przepytывał kobiety na temat aresztowań z lat trzydziestych. Pytał, jakimi byli ludźmi, jak pracowali w kołchozie i czy były w tym czasie jakieś pożary we wsi, czy było padało. Wtedy matka Wiktorii, nabrawszy śmiałości, zapytała o los swojego męża. Ten odpowiedział, że mąż, niby to, jest żywy i niedługo wróci.

Po śmierci Stalina i XX zjeździe partii, który osądził kult jednostki, nie było niebezpieczeństwa w pisaniu listów zapytujących o los bliskich. Zaczęły przychodzić odpowiedzi do tych, którzy nie porzucili nadziei i chcieli się dowiedzieć o losach krewnych. Tak np. do Marii Asticz (Maziuk) w połowie sierpnia 1956 r. przyszła odpowiedź z prokuratury obwodu tomśkiego, w którym stwierdzano, że jej wniosek z prośbą o sprawdzenie sprawy ojca

Pawła Maziuka, prokuratura skierowała do ostatecznego rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy ZSRR, który jeszcze 7 września 1955 roku przerwał pracę w tej kwestii.

Podobnie taką odpowiedź dostała i moja babcia Gabriela w maju 1965 roku na pytanie o los męża Wasyla Haniewicza. Naczelnik KGB obwodu tomskiego Pasiakin stwierdził, że „sprawa Haniewicza przejrzana i przekazana Sądowi Najwyższemu ZSRR 7 września 1955 roku, na podstawie czego został on zrehabilitowany pośmiertnie. Dalej w tej odpowiedzi radził on babci zwrócić się do Sądu Najwyższego, a o świadectwo jego śmierci do rejonu kriwoszeińskiego.

Trzeba powiedzieć, że ten papierek razem ze świadectwem śmierci dziadka, przez długie lata przechowywany w żelaznej puszcze po herbacie, był jedynym wspomnieniem o nim i jego tragicznym losie.

Każdy, kto zwracał się do rejonowego urzędu o świadectwo śmierci bliskich, dostawał standardowe pismo z wypełnionymi całościowo lub częściowo rubrykami. Tak Maria Smolicz 24 października 1959 roku dostała świadectwo śmierci swego ojca o następującej treści:

„Obywatel Wincenty Smolicz zmarł 7 sierpnia 1941 roku w wieku (...) lat. Przyczyna śmierci – niewydolność serca. (...)

Miejsce śmierci – kreska”.

Inni mieszkańcy Białegostoku dostali dokumenty o śmierci, gdzie podawano inne daty i przyczyny śmierci bliskich. I tak, wydano dokumenty, że Stanisław Szwedko zmarł, jakoby 12 marca 1943 roku z powodu raka przełyku, Józef Artisz – 16 lutego 1945 roku na zapalenie płuc. Jakoby na zapalenie płuc zmarli: Józef Nazaruk – 18 kwietnia 1944 roku, Antoni Bielawski – 3 listopada 1941 roku, Antoni Artisz – 23 stycznia 1946 roku. Rak płuc „skosił” Wasyla Daszczuka – 13 grudnia 1945 roku i Franciszka Krzywdę – 3 grudnia 1944 roku. U innych przyczynami śmierci były: gangrena, gruźlica, rak, wrzód żołądka, zapalenie opon mózgowych, choroba nadciśnieniowa, złośliwa anemia lub zawał serca – ani jednego rozstrzelania.

Jednak niektórzy mieszkańcy osady, którzy otrzymali świadectwa zgonu już w latach sześćdziesiątych, dostali dokumenty, gdzie przy przyczynach śmierci wyżej wymienione choroby się nie pojawiały, a daty śmierci były przedwojenne. Tak, w odniesieniu do moich dziadków, Wasyla Haniewicza i Bernarda Pilewicza, podano datę 14 maja 1938 roku. Te daty śmierci i nieobecność w owych dokumentach zapisów o przyczynie śmierci podsuwały wyraźne domysły.

Rzecz w tym, że w początku lat pięćdziesiątych nadzieję na szybki powrót białostockich mężczyzn do domu dało wydarzenie znamienne – dał o sobie

znać listem jeden z aresztowanych w latach 1937–38. Był to Jan Jocz, w momencie aresztowania kawaler, z zawodu traktorzysta. W liście do matki Stefanii pisał, że żyje, został osądzony na dziesięć lat łagrów, które odbył na Kołymie, a obecnie pracuje tam jako wynajmowany pracownik. Napisał także, że się ożenił, ale o swoim ojcu, bracie i innych mieszkańcach wsi niczego nie wspomniął. Ten list wlał wiele nadziei w serca kobiet. Jednak mijał rok za rokiem, nikt nie powracał. Na kierowane zapytania zaczęto dostawać dokumenty o pośmiertnej rehabilitacji poszczególnych osób, ale sercem białostockie kobiety nadal czekały, nie wierząc oficjalnym dokumentom. Chciały nade wszystko znać prawdę.

Kiedy Jan Jocz w końcu lat pięćdziesiątych po raz pierwszy przyjechał na urlop do swojej siostry Gabrieli (matka już nie żyła), to tłum kobiet podążył do niego z pytaniami o swoich mężów i braci. Nic im wtedy nie powiedział. Niczego nie powiedział zarówno moim rodzicom, jak i swojej siostrze. Jak tylko przyjechał do wsi, od razu zakomunikował:

– Wiem, Gabrielo, że chcesz dowiedzieć się coś o mężu, bracie Kostii, ojcu..., ale ja niczego nie powiem. Nie te czasy.

Czując się winnym bez winy, bo pozostał żywym, kiedy los innych był nieznany, nie wytrzymał kobiecych lez i wypytywań, na które nie mógł odpowiedzieć i już na drugi dzień wyjechał z osady. Dopiero kiedy przyjechał na następny pobyt we wsi w latach siedemdziesiątych, niektórym opowiedział o swoim życiu sowieckiego zeka na przestrzeni dziesięciu lat w słynnej Kołymie. Jednak szczegółów nie przytaczał i nie lubił powracać do tego bolesnego dla wszystkich tematu. Powiedział jedynie, że z pozostałymi aresztowanymi współmieszkańcami wsi nie udało mu się zobaczyć w ciągu owych dziesięciu lat ani na licznych etapach, ani w czasie transportu, a zatem nie zna ich losu, za wykluczeniem swojego ojca. Powiedział, że ojciec zmarł jeszcze w Kołpaszewie w łagrze.

Dopiero w 1991 roku, odpowiadając na moją prośbę, opowiedział z większymi szczegółami o kołpaszewskim okresie swojego uwięzienia:

„Gdzieś na początku stycznia aresztowano mojego ojca. W ciągu miesiąca aresztowano wszystkich mężczyzn w Białymstoku, kto tylko był w domu. Wszystkich nas umieszczono w klubie, znajdującym się przy kościele, a rankiem 12 lutego, jak zaczęło świtać, ustawiono nas po czterech w rzędzie i pognano na piechotę do Kriwoszeina. Kiedy prowadzono naszą kolumnę przez Białystok, żony i dzieci wybiegały z domów, ale konwój, uzbrojony w karabiny i batogi, nie dopuszczał ich blisko. Wieczorem dotarliśmy do centrum rejonowego. Tam spotkałem znajomego, przewodniczącego kolchozu byłych nowokriwoszeńskich chutorów. W niedalekim czasie razem mieli-

śmy uczestniczyć w Nowosybirsku w zjeździe przodowników. Jako traktorzysta zajmowałem pierwsze miejsce we współzawodnictwie w całej zachodniej Syberii, a jego kolchoz był także w liczbie przodowników. I oto w Kriwoszeinie spotkaliśmy się jako aresztowani. Stąd pognano nas do Kołpaszewa, dokąd szliśmy przez trzy dni. W Kołpaszewie umieszczono uwięzionych w bardzo przepełnionym więzieniu. Potrzymano nas tam jakieś pięć, sześć dni.

Znalazłem się w celi, gdzie nie było białostockich mężczyzn. Kiedy wezwano mnie na przesłuchanie, najpierw zapytano o nazwisko, imię ojca i rok urodzenia, gdzie mieszkają i kim są moi krewni. Kiedy zapytałem, za co zostałem aresztowany, przecież zajmłem pierwsze miejsce we współzawodnictwie traktorzystów całej zachodniej Syberii, odpowiedzieli mi: «ukrywałeś się za tą swoją pracą...» I to było całe przesłuchanie, więcej mnie nie wzywano. Gdzieś w ciągu tygodnia wszystkich z Białegostoku i wielu innych, wyprawiono do łagru berezowskiego, znajdującego się około czterdzieści kilometrów od Kołpaszewa. W barakach, skąd nie było widać krztyny słońca, znajdowaliśmy się do wiosny. Karmiono nas: pięćset gram czarnego chleba (nigdy takiego nie jadłem w czasie wszystkich lat uwięzienia) i jedna główka kapusty na stu ludzi, do tego woda. Tutaj dowiedziałem się, że gdzieś w sąsiednich barakach znajduje się mój ojciec, aresztowany jeszcze przed nami. Zacząłem prosić kierownictwo łagru o przeniesienie go do nas, co się wkrótce powiodło. Jednak ojciec szybko zmarł, dosłownie na moich rękach. Kiedy poprosiłem o możliwość pochowania go przeze mnie i brata, usłyszałem: «my jeszcze przypatrzymy się od czego on zmarł, może wy sami go zabiliście». Ojciec naprawdę umarł z głodu i od wszy. Przecież wszy było na nas tyle, ile mrówek w mrowisku. W tym obozie byliśmy do wiosny, a gdzieś na początku maja wsadzono nas do barki i wywieziono do Nowosybirska. Przy wchodzeniu na barkę ledwo co staliśmy na nogach, szliśmy, trzymając się jeden drugiego, a po obu stronach uzbrojony konwój z psami. W Nowosybirsku nocą, prosto do barki, podjechał samochód, słynny „czarny woron” i zaczęto nas wzywać po nazwisku. Nabito samochód do pełna i zawieziono nas do miejscowego więzienia. Oprócz mnie nikogo z białostoczan w tym samochodzie nie było i więcej nikogo nie spotkałem. Mnie z towarzyszami z „wورونا” do świtu trzymano na ulicy przy więzieniu, a potem obwieścili, że zostałem zaocznie osądzony na dziesięć lat łagrów. Tak zaczęło się moje łagierne życie”.

Przebywał Jan Jocz w „Archipelagu Gułag” całe dziesięć lat, jak się mówi, od dzwonka do dzwonka. Prowadził ciężką taczkę z ziemią dla płukania złota w zmrożonej magadańskiej ziemi, rąbał kilofem zmarzły grunt, przemarzał do kości w lodowatej wodzie. To, że przeżył, uważał za dar Boży i często

dziękuje Bogu za to. Mówił, że nie myślał, że wyjdzie z tego żywy i dlatego nie wysyłał listów do domu przez cały ten czas. Pierwszy list napisał, kiedy tylko wyszedł na wolność. Mówiąc o tym, co przeżył, zauważył, że czytał książki Sołżenicyna i znalazł u niego tylko 30% tego, co było udziałem jego losu.

Po odbyciu kary uwięzienia pozostał tam na miejscu, tyle, że już jako wolny osiedleńca. Pracował jako kierowca na dalekie trasy. Liczył na to, że zarobi pieniądze i będzie mógł szybciej wyjechać z tej pustki, ale ostatecznie pozostał tam jeszcze przez dwadzieścia lat. Kiedy zabrakło zdrowia, wyjechał z rodziną w strony ojczyste żony, do niewielkiego miasteczka w Kirgizji.

Chruszczowowska odwilż przeleciała bardzo szybko i ten czas nie dał moim rodakom sprecyzowanej odpowiedzi na pytanie o los aresztowanych w latach 1937-38. Znowu nadeszły czasy, kiedy pisać i mówić o przeżytym koszmarze lat trzydziestych było „nieprzyzwoicie”. Mijały lata, jedno dziesięciolecie zmieniało drugie. Cicho i niepostrzeżenie zaczęły odchodzić z tego świata matki i żony „wrogów ludu”, wyrosły i same stały się dziadkami i babkami ich dzieci, upokorzone przez niemożliwość dowiedzenia się o miejscu i śmierci ojców. Dorosłymi stały się wnuki represjonowanych, nie widzący na oczy tej tragedii i mało co wiedzące o niej.

W maju 1979 roku znowu przypomniały o sobie „jeżowowsko – beriowskie” czasy wielu mieszkańcom obwodu tomskiego. W początku miesiąca, w szczycie przyboru wód, osypał się wysoki brzeg Obu w pobliżu Kołpaszewa. W rezultacie erozji ukazało się wielkie tajne cmentarzysko w miejscu dawnego budynku oddziału NKWD. Jak opowiadali świadkowie, trupy rozstrzelanych bardzo dobrze zachowały się i można je było rozpoznać. Jednak miejscowe partyjne kierownictwo, z poparciem Moskwy i pomocą kierownictwa miejscowego KGB, przeprowadziło bezprzykładny akt wandalizmu – wszystkich pochowanych ściągnięto na holu do rzeki, zmyto i bezpowrotnie zlikwidowano.

Obecnie o tym fakcie likwidacji trupów rozstrzelanych w latach trzydziestych „wrogów narodu” wiedzą w całym kraju i za granicą. W 1979 roku o odkrytym pochówku i jego barbarzyńskiej likwidacji chodziły różne słuchy i domysły. Jak opowiadali niektórzy z moich krajan, ujawnienie się tego pochówku, odezwało się u nich bólem w sercu i pytaniem: a może tam leżą kości mojego ojca? Na tym się skończyło, pism w tej sprawie nie pisano do władz, a pytania zostawiono dla siebie. Pisać do kogoś i coś wyjaśniać w tamtych czasach było bezcelowe – były to „czasy zastoju”.

Kara wymierzona w nieszczęsne ofiary prześladowań stalinowskich, rozprzestrzeniła się na ich dzieci i wnuki, bo tak naprawdę aż do początku nowej fali rehabilitacji w końcu lat osiemdziesiątych funkcjonowało niepisane prawo,

znane z lat wcześniejszych – *damnatio memories*, czyli kara milczenia. Tak działo się, kiedy nazwiska ludzi z liczby „wrogów ludu” po prostu były wykreślane z kart historii kraju. Oczywiście, władza najwyższa liczyła na to, że przez jedno, dwa dziesięciolecia jeszcze świeża pamięć o dziejących się przestępstwach stalinowskiej kliky bezpowrotnie odejdzie w niebyt i już nie będzie trzeba któryś raz przepisywać niektórych stroniec naszej ojczystej historii.

Dla ludzi mojego pokolenia, urodzonych już po śmierci „wodza narodów”, jak i większości ludzi starszego pokolenia, wiele pomógł dowiedzieć się o dziejących się nadużyciach organów NKWD w latach trzydziestych tak zwany proces jawności i demokratyzacji społeczeństwa, który zaczął się w końcu lat osiemdziesiątych. Publikacje w gazetach i tygodnikach, szczególnie w tygodniku „Ogoniok”, literalnie ukazały czytelnikom ogrom informacji, odkrywających wiele nieznanych stroniec historii ojczystej. Jednak i w tych czasach sowieckie władze partyjne usilnie pragnęły zatrzymać proces odkrywania prawdy i nadal podtrzymywać politykę przemilczania, dozowania informacji, niedopuszczania niezależnych historyków do archiwów KGB, MSW czy archiwów partyjnych.

Funkcjonariusze partyjni wszelkimi sposobami pragnęli ukrócić wielkie dążenie ludzi do odkrycia wielu „białych”, a tak naprawdę „czarnych” kart historii, wykorzystując do tego wypróbowany arsenał środków – zakazów, zwlekania, odciągania, intryg bądź biurokratycznych „sztuczek”. Jednak czasy były już inne, proces demokratyzacji społeczeństwa zaczął wymykać się spod partyjnej kontroli.

Jesienią 1988 roku w Tomsku z inicjatywy niewielkiej grupy ludzi o poglądach demokratycznych, którzy jeszcze w latach siedemdziesiątych byli prześladowani za swe poglądy przez władze i KGB, zaczęto prowadzić prace zmierzające do powołania w mieście historyczno-edukacyjnego Stowarzyszenia „Memorial”. Stowarzyszenia, które mogłoby zjednoczyć ludzi, pragnących znać prawdziwą historię kraju, a nie spreparowaną, ludzi nieobojętnych na cierpienia narodu, przeżytego w latach dominacji w kraju totalitaryzmu.

Pamiętam, jak usłyszałem w miejscowym radiu krótki komunikat o nadeżdżającej założycielskiej konferencji Stowarzyszenia „Memorial”, i następnego dnia 10 grudnia 1988 roku pobiegłem do budynku związków zawodowych na placu Lenina 55. Wielka sala zapchana była ludźmi, którzy przybyli tu nie na czyjeś zlecenie, jak to bywało wcześniej, a z potrzeby duszy i serca. Znalazły się tu osoby różnych zawodów, statusu społecznego, wieku. Przeważnie byli to ludzie starsi, dla których lata trzydzieste nie były zbyt odległe.

Spośród wystąpień zapamiętałem emocjonalne i niezwykle charakterystyczne dla tego czasu, wówczas mi jeszcze nieznanych, obrońcy praw czło-

wieka W. Fasta, dziennikarza W. Nilowa, tłumacza N. Kaszczewaja, historyka G. Szachtarina, znanego w mieście profesora Instytutu Pedagogicznego L. Piczurina i wielu innych przyszłych aktywnych działaczy Stowarzyszenia.

Trzeba powiedzieć, że oprócz tych i wielu innych ludzi, którzy przyszli z porywu serca, siedziało tam sporo funkcjonariuszy partyjnych – „towarzyszy po cywilnemu”, wezwanych, żeby kontrolować i ukierunkowywać właśnie powstałe Stowarzyszenie. Niektórzy z nich weszli w skład kierownictwa „Memoriału” i zawsze starali się powstrzymywać, ich zdaniem, zbyt gorliwych opozycjonistów. Jednak ten proces powstrzymywania i partyjnej opieki okazał się nie przynosić rezultatów i wspomniani ludzie stopniowo ochłodzili się w stosunku do idei „Memoriału” i z czasem opuścili jego szeregi. Dla pozostałych nasz „Memoriał” stał się realną szkołą demokracji, centrum wolnej myśli i obrony wielu pokrzywdzonych przez władze mieszkańców Tomśka.

To właśnie tutaj, na tym spotkaniu, ostatecznie upewniłem się, że chciałbym w szczegółach poznać tragedię Białegostoku i bardzo liczyłem na pomoc właśnie zawiązanego Stowarzyszenia. Na zakończenie spotkania wypełniłem ankietę członkowską towarzystwa, na odwrocie której krótko napisałem wszystko, co wiedziałem o losie swoich dziadków i mieszkańców siola oraz poprosiłem o pomoc.

Zwracam uwagę, że wiedza moja była wówczas jeszcze bardzo skąpa i pełna sprzeczności. Spośród dokumentów uchowało się tylko zawiadomienie o śmierci dziadka Wasyla, wydane babci w 1965 roku, jak również odpowiedź naczelnika KGB Pasiakina na pytanie o los dziadka. Potem w ciągu kilku dni zadzwonił do mojej pracy historyk z uniwersytetu I. Nam i poprosił o przybycie na uczelnię na zebranie członków Stowarzyszenia, żeby bardziej szczegółowo opowiedzieć o wydarzeniach lat 1937–38. Spotkałem na tym zebraniu wielu bliskich moim pasjom ludzi i dostrzegłem wtedy ich żywotne zainteresowanie i chęć pomocy w moich poszukiwaniach. Zacząłem regularnie chodzić na te zebrania, które z czasem stały się regularnymi posiedzeniami sekcji historycznej „Memoriału”.

Zacząłem brać udział w realizacji wielu zadań organizacji i szybko, na jednym z posiedzeń rady Stowarzyszenia zostałem wybrany na członka zarządu. Tak zaczęła się moja działalność w Stowarzyszeniu, które postawiło przed sobą trudne zadanie – poznania PRAWDY.

Spotykając się na posiedzeniach rady organizacji z jednym z jej członków, J. Pietruchinem, naczelnikiem wydziału KGB w obwodzie tomskim, zajmującym się zagadnieniami rehabilitacji represjonowanych, poprosiłem go o szczegółową odpowiedź na pytanie o los mieszkańców mojej wsi. Przekaza-

załem mu dziewięć znanych mi wówczas nazwisk. W odniesieniu do innych osób z Białegostoku i Wozniesienki, po prostu nie znałem nazwisk, imion i innych danych, niezbędnych do poszukiwań. W tym czasie KGB niezbyt chętnie udzielało jakichkolwiek informacji nie tylko postronnym historykom, ale i krewnym represjonowanych. Pomogło to, że J. Pietruchin był członkiem rady Stowarzyszenia „Memoriał”. I on, wbrew obowiązującym instrukcjom, pozwalał sobie niekiedy na wykonywanie niewielkich usług dla członków organizacji. To pozwalało mi na stopniowe uzyskiwanie odpowiedzi na stawianie pytania. Dla wyjaśnienia okoliczności aresztowania białostoczan i ustanowienia możliwie pełnego spisu represjonowanych zacząłem przeprowadzać rozmowy o tamtych wydarzeniach z najstarszymi mieszkańcami wsi i ze swoją rodziną.

Ludzie różnie odnosili się do mojej inicjatywy. U wielu pierwszą reakcją na prośbę o wspomnienia o wydarzeniach 1937–38 był strach, siedzący w ludziach przez długie dziesięciolecia. Strach był obecny u wszystkich, tylko, że jedni starali się go pokonać, oddalić, a z innymi trzeba było długo rozmawiać, podchodzić, dochodzić do istoty tematu z daleka. Szczególnie negatywnie na moją chęć zajęcia się tym tematem zareagowali rodzice i żona Swietłana. Bali się o mnie, mówili, że wcześniej czy później KGB cały nasz „stoliczek”, to jest „Memoriał” zamknie, a ja podzielę los dziadków. Potem, w dalszej działalności oni pogodzili się z moją pracą w „Memoriale” i w wielu rzeczach mi pomagali.

Wielką pomoc w zestawieniu spisu represjonowanych okazali J. Kisiel, W. Maziuk, L. Szumski, I. Zeńczuk i wielu innych staruszków ze wsi. Dla nich wiele tych osób to nie tylko mieszkańcy jednej wsi, ale przyjaciele dzieciństwa, sąsiedzi, krewniacy. Pamiętam jak Józef Kisiel, już bardzo chory, na stałe przykuty do łóżka, zamknął oczy i myślami jakby podążał od jednej chaty siola do drugiej, wspominając nazwiska, imiona, lata urodzenia wielu zaginionych na zawsze w latach trzydziestych, przyjaciół. Praktycznie przy każdym ówczesnym domu zatrzymywał się Józef, a ja wpisywałem do swego notesu wciąż nowe i nowe nazwiska. Siebie uważał za szczęściarza, który uniknął losu swoich rówieśników tylko dlatego, że jeszcze w 1936 roku został skazany ze zwykłego paragrafu za naruszenie prawa handlowego (pracował jako sprzedawca) i odsiedział w łagrze dwa lata spośród pięciu, na jakie go skazano.

Zebrane zatem ze wspomnień staruszków spisy represjonowanych przekazywałem dla przejrzenia J. Pietruchinowi i miesiącami czekałem na potwierdzenie lub nie ich śladów w KGB. Spisy się potwierdziły. Wielką pomoc w swoich poszukiwaniach zyskałem od swoich rodaków po opublikowaniu w gazecie obwodowej „Krasnoje Znamja” w listopadzie 1989 roku artykułu

o losie białostoczan i rezultatach poszukiwań. Na końcu artykułu został zamieszczony spis represjonowanych białostoczan w liczbie sześćdziesięciu czterech ludzi. Nie spodziewałem się, że ten artykuł stanie się dla wielu moich krajan prawdziwym objawieniem. Jak się okazało, dopiero z niego wielu ludzi dowiedziało się o losach swoich przodków.

Dziesiątki mieszkańców wsi, którzy w różnym czasie opuścili miejscowość i osiedlili się we wszystkich zakątkach kraju, zaczęły przysyłać listy ze wspomnieniami, dodając do opublikowanej listy nowe nazwiska, opowiadając o swoich losach po aresztowaniu ojców. Mieszkańcy przysłali uratowane fotografie, dokumenty na temat rehabilitacji i inne relikwie rodzinne, prosili, żeby im w szczegółach opisać losy bliskich. W szczególności konkretnie ich interesowało, jakie przewiny zostały zarzucone białostockim „wrogom ludu”, gdzie zostali rozstrzelani, kim byli kaci i wiele innych. Jednak w tych czasach na te i inne pytania nie można było odpowiedzieć z jednego powodu – zamkniętych archiwów KGB. Na wszystkie moje prośby o to, żebym sam mógł zapoznać się z archiwalnymi śledczymi dokumentami osądzonych białostoczan, niezmiennie otrzymywałem negatywną odpowiedź.

Przez całe życie będę pamiętał to niezwykle uczucie, z jakim pierwszy raz wiosną 1989 roku szedłem do „wielkiego” budynku KGB na ulicy Kirowa 18, żeby dostać odpowiedź na moje zapytanie o los rodaków. Inna sprawa spotykać współpracownika KGB razem z przyjaciółmi ze Stowarzyszenia, by tak rzec, na swoim gruncie, a całkiem co innego dobrowolnie iść w „paszczę lwa” – instytucji, z nazwą której (i jej poprzedników) związany jest ogrom zła i naruszania prawa w naszej historii. Szedłem z mieszanym uczuciem prostej ciekawości o tej znanej „firmie”, poczuciem odkrywcy niektórych tajemnic losów dziadków i pradziadków i nadzieją, choć kątem oka popatrzenia na ich tajne sprawy. Szedłem także z niemałą porcją strachu... Wszyscyśmy wchłonęli ten strach z mlekiem matki, żyli z nim i nie tak prosto było się go pozbyć.

Przywitał mnie wówczas młody, uprzejmy człowiek, zaprowadził do jednego z gabinetów i zaczął cierpliwie relacjonować to, co wcześniej wypisał z akt. Wielu „zbytecznych” pytań wówczas nie zadawałem, a także tego, co on mi bezpośrednio powiedział nie zapisywałem. Oczekiwanych archiwalnych tomów nie zobaczyłem i nadal musiałem domagać się dostępu do nich. Niemałą pomoc w tym dziele okazał mi dziekan fakultetu historycznego uniwersytetu w Tomsku B. Trenin i wspomniany wcześniej profesor L. Piczurin. Koniec końców wiosną 1991 roku otrzymałem możliwość samodzielnego przerzucania i robienia koniecznych notatek ze stron jednego z tomów akt

śledczych represjonowanych mieszkańców Białegostoku, czyli mogłem poznać to, co przez ponad pięćdziesiąt lat było ściśle ukryte.

Szczegółowo poznać interesujące mnie akta archiwalne mogłem dopiero po znanych wydarzeniach z sierpnia 1991 roku, czyli nieudanym puczu Janajewa, kiedy podjęto kwestie nie tylko otwarcia archiwów KGB, ale i samego funkcjonowania tego „państwa w państwie”, jego podstawowej reorganizacji.

Nie. Na tym trudna droga do PRAWDY nie skończyła się. Nie zakończyła się dlatego, że i dzisiaj, tak jak wcześniej to bywało, niedostępne dla nas są liczne dokumenty, kryjące tajne sprężyny mechanizmu rozwijania w kraju masowego terroru w latach trzydziestych, w tym także skierowanego przeciwko Polakom. W szczególności, z trzech tomów prokuratorsko-śledczych akt aresztowanych w lutową noc białostoczan, jeden z nich nie został mi nigdy udostępniony. Odnosił się on do procesu rehabilitacyjnego moich krajan, w którym, niezależnie od ich losu, znanego wszystkim, były dokumenty mówiące o roli, jaką odegrali w ich losie pracownicy NKWD, o ich udziale w zbrodni.

Nie ma już pomnika „żelaznego Feliksa” na Łubiance w Moskwie, ale jego mroczny cień, tak jak w przeszłości, nadal gdzieś ulatuje nad naszymi miastami i wsiami. Można szybko obalić z postumentów pomniki byłych wodzów, o wiele trudniej zmienić światopogląd i psychologię ludzi, tak jak niełatwo uwolnić się od ciężaru minionego, który nadal obciąża nas.

Jednym słowem, przyjdzie jeszcze niemało przejść po ciernistej drodze poszukiwania autentycznej prawdy o epoce totalitaryzmu, w którym stalinizm zajmuje zasadnicze miejsce.

Kronika terroru

*Nie ma bowiem nic ukrytego,
co by nie miało wyjść na jaw¹.*

Wspomnienia świadków o epoce „ojca narodów” są nadzwyczaj cenne dla pełniejszego zrozumienia tego okresu, jednak same, najbardziej nawet szczegółowe wspomnienia nie mogą zastąpić dokumentów archiwalnych. Istota rzeczy leży w tym, że dla historyków, interesujących się losami ludzi, znajdujących się w karbach sowieckich, tzw. strzegących praworządności organów, jak WCzK – OGPU – NKWD – MGB, te źródła informacji były przez długie lata niedostępne. Mówić o pełnym pokonaniu tej przeszkody jeszcze za wcześnie, ale polityczne zmiany w Rosji w ostatnich latach, a w szczególności po obaleniu puczu z sierpnia 1991 roku, pozwoliły pozytywnie odpowiedzieć na te pytania.

W ten sposób i ja otrzymałem możliwość poznania wielu dokumentów archiwalnych odnośnie osób polskiej narodowości, zachowanych w archiwum UMBRF obwodu tomskiego. Należy od razu zaznaczyć, że zapoznanie się z archiwalno-śledczymi sprawami represjonowanych mieszkańców wsi i innych syberyjskich Polaków pozwoliło odpowiedzieć na wiele interesujących pytań, prześledzić w detalach mechanizm działania represyjnego aparatu NKWD, stworzyć dokumentalną kronikę represji w odniesieniu do setek mieszkańców Okręgu Narymskiego i innych rejonów obwodu tomskiego.

Zanim przystąpię do przedłożenia dokumentalnie potwierdzonych szczegółów aresztu i dalszych losów białostockich „wrogów ludu”, chciałbym kilka słów powiedzieć o samych pierwszych źródłach otrzymanej informacji, archiwalno-śledczych „sprawach” osądzonych według artykułu 58 KK RSFSR.

Całą historię działalności organów śledczych w latach 1920–1959, organów, które były jednym z niezbędnych ogniw systemu politycznego państwa bol-

¹ Ewangelia według św. Marka 4. 22

szewickiego, można prześledzić po ewolucji biurowości organów WCzK – OGPU – NKWD – MGB.

Wiadomo, że w pierwszych latach władzy sowieckiej funkcjonariusze CzK nie bardzo obciążali się pracą kancelaryjną i działali bez „burżuazyjnej biurokracji”. W następnych latach idea „wszędobylskiej ewidencji i kontroli” została zrealizowana i powstała sowiecka biurokracja organów śledczych. Jeśli w tomach akt śledczych okresu końca lat dwudziestych i początku trzydziestych pojawia się jeszcze jakaś niezależność tej biurokracji i improwizacja śledczych z OGPU w załatwieniu formalnym rezultatów ich pracy, to w tomach spraw karnych drugiej połowy lat trzydziestych widać już rezultaty wykonanej ogromnej pracy w unifikacji i standaryzacji biurowości śledczej. Tu były już wydrukowane w setkach tysięcy egzemplarzy ankiety aresztowanego, protokoły o zakończeniu śledztwa, protokoły rewizji, nakazy aresztowania i liczne inne potrzebne dla „organów” dokumenty.

Jednym słowem, zrobiono wszystko dla zwiększenia biurokracji w pracy śledczych NKWD, a ci w porywie służalczej podległości poszli jeszcze dalej, rozprzestrzeniając standaryzację spraw karnych i na ich wewnętrzną treść. Dlatego wiele materiałów śledczych na osądzonych jest bliźniaczo do siebie podobnych. Być może główna różnica jednych tomów śledczych i drugih polega na kolejnej numeracji spraw w liczbie „wrogów ludu”. Przyszło mi poznawać tak indywidualne sprawy, jak i grupowe, te ostatnie nawet do stu dwudziestu pięciu ludzi łącznie.

Zaczyna się takie „dzieło” z szablonowo napisanym krótkim nakazem aresztu człowieka lub grupy ludzi. W nim stwierdza się, że jakoby śledztwo w sprawie „wykrytej i zlikwidowanej kontrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej powstańczej organizacji (tu umieszczona jest właściwa nazwa) wykryto, że w działalności tej organizacji aktywny udział brały następujące osoby...”. Dalej w tekście dokumentu przewijają się nazwiska i imiona ludzi podlegających aresztowaniu. Zamyka ten dokument podpis tego, który dokument wystawił i pieczęć odpowiedniego oddziału rejonowego lub miejskiego NKWD.

Oprócz pieczętki dokument zawierał podpis zatwierdzający naczelnika urzędu NKWD. Podpis sankcjonujący stan rzeczy składał prokurator. Jednak dość często w sprawach śledczych nie znajdowałem podpisu prokuratorskiego, a w wielu innych podpis ten był już złożony po dokonaniu aresztowania, a więc po tym absolutnie bezprawnym nakazie na wcześniej zgubionych ludzi wypisywano wnioski o areszt, wypełniano przewidziane śledczo-biurokratyczne papiery, przesłuchiwano, skazywano i rozstrzeliwano, a w chwilę potem pisano na nowo wspomniane nakazy na kolejne partie skazanych.

Przy czym, w wielu poznanych przeze mnie sprawach śledczych, potwierdzają to świadectwa świadków, aresztowano także bez formalnych dokumentów i w wielu wypadkach nie znajdowano nawet czasu, żeby dopełnić formalności i wypełnić niezbędne papiery już nawet po aresztowaniu człowieka. Wszystko to ilustrują tomy aktów karno-śledczych na moich krajan i innych syberyjskich Polaków.

Poznane śledcze materiały na białostockich „wrogów ludu” potwierdziły wspomnienia mieszkańców wsi, że swoistego urodzaju plon we wsi organy NKWD zaczęły 13 sierpnia 1937 roku. Wówczas aresztowano sześć osób. Wykonali to zadanie funkcjonariusze narymskiego oddziału okręgowego NKWD Małyszew, Wiesnin i współpracownik kriwoszeińskiego NKWD Gorkin. Pomagali im w charakterze świadków przewodniczący rady wiejskiej I. Tatkin i pełnomocnik rejonowego komitetu wykonawczego A. Osincew.

Poznane materiały śledcze aresztowanych 13 sierpnia 1937 roku białostoczan pokazały, że wszystkich sześciu podzielono na trzy osobne sprawy karne, z których indywidualna dotyczyła jedynie Mikołaja Karelina. Wyjaśnić to można tym, że według narodowości i statusu społecznego różnił się on od pozostałych mieszkańców siola.

Mikołaj Karelin urodził się w 1878 roku we wsi Batakam we wschodniej Syberii w rodzinie chłopskiej. W 1901 roku ukończył seminarium nauczycielskie w Czycie, a potem pracował jako nauczyciel w swojej wsi rodzinnej. W 1909 roku został członkiem misyjnego towarzystwa prawosławnego, a w 1913 roku został wyświęcony przez biskupa Metodego na kapłana prawosławnego. Następnie został skierowany jako przewodnik duchowy do szkoły misyjnej w miasteczku Irgen w okręgu Czyta. W szkole tej uczyły się sieroty różnej narodowości, a ojciec Mikołaj nauczał ich podstaw wiary prawosławnej.

Po nadejściu władzy sowieckiej szkoła zmieniła swe przeznaczenie, ale ojciec Mikołaj nadal służył ludziom i Bogu: w latach 1922–1928 był kapłanem w jednej z wiejskich parafii w swoich stronach rodzinnych. W tych czasach została zrobiona jedyna fotografia, która ocalała w aktach Karelina. Ojciec Mikołaj jest na niej sfotografowany w cerkiewnej riasie w otoczeniu grupy ludzi, w gronie krewnych i przyjaciół. Przy postaci duchownego ręka nieznanego czekisty dopisała tłusty fioletowy krzyżyk. Z pewnością ten krzyż na fotografii został postawiony przy jego aresztowaniu, w czasie przeszukania 13 sierpnia 1937 roku, ale krzyż na jego losie władza sowiecka postawiła dużo wcześniej.

W 1928 roku Karelin został aresztowany przez okręgowy oddział OGP-u w Czycie, z oskarżenia o kontrrewolucyjną działalność, jednak z powodu braku dowodów w ciągu dwóch miesięcy został zwolniony. Nie mając moż-

ności dalszego prowadzenia pracy duszpasterskiej, zajął się uprawą roli. W 1931 roku został ponownie aresztowany i osądzony przez sąd okręgowy w Czycie za „zorganizowanie sabotażu obowiązkowych dostaw zboża dla państwa” na półtora roku pozbawienia wolności i trzy lata zsyłki w Narym. W takich okolicznościach ojciec Mikołaj trafił z Syberii na Syberię – do naszego regionu.

Mieszkając w Białymstoku od 1932 roku na zesłaniu, razem z żoną Agafią, niczym się nie wyróżniał pośród innych. O tym, że był księdzem nikomu nie wspominał, także miejscowej władzy znany był jako zesłany kulać. Żeby przeżyć, z wielkim trudem udało mu się zatrudnić w wiejskiej szkole na stanowisku kierownika administracyjnego. Był sumiennym i rzetelnym pracownikiem.

To, że Karelin był w przeszłości prawosławnym duchownym oraz zesłanym kulaćmi posłużyło jako pretekst do jego aresztu i kolejnego osądzenia w roku 1937. Funkcjonariusze NKWD zaliczyli go do członków, jakoby działającej na Syberii, podziemnej organizacji kontrrewolucyjnej o charakterze eserowsko-monarchistycznym, pracującej na zlecenie wywiadu japońskiego i zagranicznej organizacji białogwardyjskiej pod nazwą ROWS („Rosyjski Powszechny Związek Wojskowy”). Według informacji NKWD, jeszcze w 1935 roku jeden z przywódców tej organizacji, były generał Eskin, nawiązał w Nowosybirsku kontakty z ludźmi stojącymi na czele organizacji eserowskich w zachodniej Syberii. Dalej dokumenty te mówią, że „od 1931 roku do 1937 przez członków wojskowego powstańczego sztabu Michajłowa, Eskina, Dołgorukowa i Pirockiego w okręgu narymskim została zorganizowana dywizja powstańcza, w skład której wchodziły regularne oddziały wojskowe i oddzielne małe grupy bojowe, dowodzone przez oficerów carskiej białej armii”.

W czasie pierwszego przesłuchania 15 sierpnia 1937 roku Karelin powiedział pracownikowi NKWD Merinowowi, że znajomość we wsi podtrzymywał jedynie z nauczycielem ze szkoły, gdzie pracował, Mozrzerinem oraz jednym z mieszkańców wsi, Polakiem Stanisławem Prońskim. W jaki sposób przesłuchiowano Karelina, tego nie wiemy, jednak na kolejnym protokole przesłuchania z 14 września, widnieje jego podpis pod dokumentem, gdzie stwierdza się, że do kontrrewolucyjnej organizacji eserowsko-monarchistycznej został zwervowany w marcu 1937 roku przez byłego białego bandytę i posterunkowego z Kamieńca Podolskiego, a obecnie fryzjera z Kriwoszeina L. Czernobaja. Ten jego jakoby poznał z komendantem podziemnego powstańczego pułku, organizującego się w rejonie kriwoszeińskim, byłym pułkownikiem carskiej i kołczakowskiej armii Timoszenką. Ten, z kolei, nazначzył Karelina kapelanem polowym pułku powstańczego i dał mu rozkaz prowadzenia werbunku oraz tworzenia organizacji, składającej się z wrogo nasta-

wionych do władzy sowieckiej ludzi. Tu Karelin „przyznał”, że wypełniając to polecenie, zwerbował do organizacji kolegę z pracy Mozrzerina, w przeszłości kulaka, który posiadał długi wobec państwa. Protokół przesłuchania z 15 września był bardzo krótki i stwierdzał jedynie potwierdzenie win Karelina.

Kończące oskarżenie również nie było zbyt obszerne i zawierało jedynie trzy punkty:

1. Był aktywnym członkiem kontrrewolucyjnej eserowsko-monarchistycznej organizacji.

2. Zgodził się walczyć z bronią w rękę przeciwko władzy sowieckiej.

3. Wypełniając zadanie, zwerbował Prońskiego i Mozrzerina, a także nabył broń myśliwską, którą chciał wykorzystać w czasie walk powstańczych.

Postanowieniem sądu tzw. „trojki” NKWD z 22 września 1937 roku Mikołaj Karelin został skazany na rozstrzelanie, wyrok wykonano 21 października 1937 roku. Jego sprawa została rozpatrzona ponownie 22 czerwca 1960 roku i oddalona, czyli nie uznano go za godnego rehabilitacji.

Przeciwko aresztowanym we wsi 13 sierpnia 1937 roku dyrektorowi szkoły P. Czerwonemu, nauczycielowi P. Borysowcowi, weterynarzowi F. Michni, byłemu członkowi kołchozu „Czerwony Sztandar” F. Joczowi i jeszcze pięciu Polakom, mieszkającym na terenie okręgu narymskiego, sporządzona została jedna sprawa opatrzona numerem 7138. Na samym jej początku jako dowód materialny dołączony jest schemat tzw. szpiegowsko-dywersyjnej grupy kontrrewolucyjnej „POW”, utworzonej na terenie rejonu kriwoszeińskiego przez zbiega z Polski Piotra Czerwonego. Na odwrotnej stronie schematu widnieje krótka informacja, że dokument ten został znaleziony przy rewizji, ale nie napisano u kogo.

U Piotra Czerwonego rolę dowodu materialnego w jego podejrzanym przeszłości odegrał dokument, podpisany przez naczelnika narymskiego okręgowego oddziału NKWD Martona, o tym że Czerwony jest zbiegiem z Polski. Inne materialne dowody jego winy to zabrane przy rewizji dwie strzelby i małokalibrowa wintówka z zapasem prochu i patronów, korespondencja składająca się z czterdziestu ośmiu listów, paszport wydany 12 sierpnia 1937 roku (jeden dzień przed aresztowaniem).

Jako dowody materialne przynależności do „antysowieckiego elementu” u F. Jocz posłużyły, zabrane także przy rewizji, cztery egzemplarze literatury religijnej, moneta carskiego tłoczenia o wartości jednego rubla i siedemnaście listów korespondencji i dokumentów. Jeden z dokumentów został wykorzystany w oskarżeniu. Był to wypis z postanowienia prezydium komitetu rejonowego w Kriwoszeinie z 13 lutego 1936 roku w sprawie zażalenia Jocz,

który skarżył się na nieprawne wykluczenie go spośród członków kołchozu w początku stycznia 1936 roku. W dokumencie stwierdza się, że kriwoszeiński organ władzy sowieckiej uznał wykluczenie Jocz z kołchozu za prawidłowe dlatego, że „Jocz przystąpił do kołchozu w celu uniknięcia państwowych obowiązków, a także, żeby wewnątrz kołchozu prowadzić demoralizującą działalność. Przed wstąpieniem do kołchozu sabotował przeprowadzenie wiosennej kampanii siewnej 1935 roku, za co został skazany przez radę wiejską karą pięciuset pięćdziesięciu rubli. Oprócz tego, kategorycznie odmówił wypełnienia ustanowionych dla niego obowiązków nasiennych i furazowych, choć posiadał wszystkie możliwości dla ich zrealizowania”. Oprócz tych wszystkich „dowodów” w sprawie Jocz, znaleziono u niego także mapę ruchu powstańczego, jednak w materiałach archiwalnych jej nie ma.

Jeśli chodzi o weterynarza F. Michnię, to jako dowód posłużyła zabrana przy aresztowaniu myśliwska berdanka i zrobiona w dzień pozbawienia wolności charakterystyka, podpisana przez przewodniczącego rady wiejskiej Tatkiną. W tej charakterystyce stwierdza się, że „w kołchozie Michnia pracował nad szkodniczym rozprzestrzenianiem choroby koni, a zarazem jako weterynarz nie zajmował się wypełnieniem postanowienia prezydium rejonowego komitetu partii o walce z zarazą świń”.

W protokole rewizji zrobionej w mieszkaniu nauczyciela P. Borysowca stwierdzono dwie strzelby myśliwskie, przy czym jedna była niezdatna do użycia. Oprócz broni były jeszcze paszport, bilet wojskowy i dwadzieścia listów. W charakterystyce, podpisanej przez przewodniczącego rady wiejskiej, stwierdza się, że Borysowiec przybył w te okolice w 1932 roku i pracował jako nauczyciel w wozniesieńskiej szkole. I dalej – „w 1934 roku został przewieziony przez NKWD do komendantury mogoczyńskiej jako kułak. Wrócił stamtąd w 1936 roku i ponownie zaczął pracować jako nauczyciel w białostockiej szkole”.

P. Czerwonego przesłuchiwał naczelnik kriwoszeińskiego NKWD Kiperwas (ten sam, który często zatrzymywał się u rodziny Czerwonych, przyjeżdżając do Białegostoku, stąd dobrze znał całą rodzinę), a Jocz, Michnię i Borysowca – sierżant NKWD Baranow.

Po trzech, czterech przesłuchaniach śledczy doszli do przekonania o aktywnym uczestnictwie oskarżonych w kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej organizacji o nazwie „Polska Organizacja Wojskowa”. Oskarżeni jakoby zwerbowali do tej organizacji szereg osób, przechowywali broń myśliwską po to, żeby wykorzystać ją przy wybuchu powstania. Czerwony przyznał się, że został zwerbowany do POW przez ks. Żukowskiego i był komendantem grupy w rejonie kriwoszeińskim, a także dowódcą oddziału powstańczego.

Podpis Feliksa Michni widnieje pod dokumentem przyznającym się do tego, że on już od 1931 roku był szpiegiem polskiego wywiadu, a niedługo przed aresztowaniem przygotowywał otrucie koni i bydła rogatego w kolchozie „Czerwony Sztandar”. Feliks Jocz przyznał się, że jakoby przygotowywał podpalenie magazynów kriwoszeińskiego „Zagotzerna”, dokonał podpalenia chlewu w kolchozie „Czerwony Sztandar”, który został uratowany dzięki wysiłkom przybyłych biegiem kolchoźników”. Rzecz w tym, że chlewu w kolchozie nigdy nie było. Wydumane były także wszystkie inne oskarżenia.

18 października 1937 roku wszystkie dziewięć osób, postanowieniem Komisji NKWD i prokuratora ZSRR, zostało skazanych na karę śmierci i rozstrzelanych 5 listopada 1937 roku. Zostali zrehabilitowani 28 marca 1958 roku.

Spośród aresztowanych białostoczan w dniu 13 sierpnia, przewodniczący kolchozu W. Daszczuk, został „przypisany” do drugiej grupy Polaków uwięzionych w rejonie kriwoszeińskim. Z dwudziestu sześciu ludzi, sądzonych wraz z nim, znajomym mógł być tylko Konstanty Chwalko, wykładowca kriwoszeińskiej szkoły średniej, a wcześniej dyrektor szkoły w Białymstoku. Na przesłuchaniach 21 września, Wasyl Daszczuk od razu „przyznał się” do stawianych mu zarzutów, głównym dokumentem go oskarżającym była charakterystyka napisana przez przewodniczącego rady wiejskiej Tatkina. W tym donosie na jednego ze swoich współpracowników, lider władzy sowieckiej we wsi napisał m. in., że Daszczuk „28 kwietnia w czasie polskiej Wielkanocy upił działacza partyjnego i potem poszedł z nim do polskiego kościoła, tym samym go dyskredytując. Politycznie niebezpieczny. W zbiorach zboża w kolchozie przejawiał postawę sabotującą”.

Aresztowany 22 września w Kriwoszeinie K. Chwalko, był przesłuchiwany przez śledczych Laczenko i Smirnowa i na wszystkich protokołach przesłuchań widnieje jego podpis. Podpisy pod przyznaniem się do winy odnaleźć można na protokołach i innych aresztowanych. Ich prawdziwości nikt nie sprawdzał i trudno się w tym względzie wypowiadać. Postanowieniem Komisji NKWD i prokuratora ZSRR 18 października wszyscy aresztowani w liczbie dwudziestu sześciu zostali skazani na rozstrzelanie. W dokumencie o wykonaniu wyroku napisano, że W. Daszczuk i K. Chwalko zostali rozstrzelani 4-5 listopada 1937 roku. Do wykonania wyroku obaj przebywali w tomskim więzieniu. Zrehabilitowani zostali 20 sierpnia 1957 roku orzeczeniem Wojennego Trybunału syberyjskiego okręgu wojskowego.

Aresztowani w październiku 1937 roku mieszkańcy Białegostoku J. Nazaruk, J. Luty, W. Smolicz, B. Gryk i mieszkaniec Wozniesienki I. Kisiel, tak

jak jeszcze dwudziestu Polaków z posiołków Nowokijówka, Maliczówka, Progres i innych wsi rejonu, znaleźli się w sprawie nr 7138, tej samej, w której oskarżony był P. Czerwony.

W pierwszym i jedynym protokole przesłuchania J. Nazaruka z 14 listopada można przeczytać, że śledczy NKWD Czernych domagał się wymienienia wszystkich bliskich i znajomych Polaków i Białorusinów, a także znajomych spośród zesłańców, żyjących w okolicach rejonu kriwoszeińskiego. Oprócz tych kwestii śledczego interesowały okoliczności przyjazdu rodziny Nazaruka na Syberię, założenie gospodarki, więzi rodzinne. Przewodniczący rady wiejskiej Tatkin w charakterystyce swojego pomocnika, członka prezydium rady i pierwszego przewodniczącego kołchozu, napisał, że ten w 1935 roku wstąpił do kołchozu jakoby tylko dlatego, żeby pokazać się jako aktywista oraz aby wywalczyć sobie autorytet przed władzą. Niedługo potem opuścił kołchoz i potajemnie prowadził działalność skierowaną przeciwko niemu. Dodał jeszcze, że w 1936 roku „wcisnął się jako sprzedawca do sklepu gminnego, ale jednocześnie prowadził działalność skierowaną przeciwko gminnej spółdzielni”.

Aresztowany Jan Luty na przesłuchaniu 17 listopada oprócz zeznań „przyznających się” do przynależności do kontrrewolucyjnej organizacji POW dodał, że jeszcze w 1935 roku był sądzony z 58 artykułu za prowadzenie antysowieckiej agitacji wśród miejscowych rolników przeciwko ich wstępowaniu do kołchozu. Działalność ta polegała na tym, że Luty wziął od Feliksa Jocz list, który ten jakoby otrzymał z Włoch od księdza Grońskiego i czytał go wśród chłopów białostockich. List, oczywiście, zawierał kontrrewolucyjne oszczerstwa skierowane przeciwko władzy sowieckiej. „Przyznał się” także do tego, że kiedy „zapoznał się z kułacką częścią wsi – Adamem Maziukiem, Michałem Bielskim, Ludwikiem Karpiszem, Feliksem Joczem, organizował polską nacjonalistyczną grupę kontrrewolucyjną i prowadził agitację opowiadającą się za wyjazdem z Narymia do Polski.

Jak prowadzono tę agitację? Przytaczano przykłady z otrzymywanych od rodzin z Polski listów, że „tam żyje się dobrze, nie ma żadnej przemocy wobec robotników czy chłopów. A tu władza sowiecka gwałtem zmusza do kołchozu, rozkułacza Polaków i wysyła ich dalej na północ Syberii...”. Dalej w zeznaniach J. Lutego zapisano, że z jego inicjatywy jeszcze w 1932 roku wyżej wymieniona grupa postanowiła wysłać do Moskwy, do polskiego konsulatu Feliksa Michnię w celu uzyskania pozwolenia na wyjazd z Rosji do Polski.

Aresztowanego W. Śmolicza „obrabiano” na przesłuchaniach dwukrotnie. W czasie ostatniego przesłuchania „przyznał się” do tego, że nielegalnie wyjechali do Polski jego syn Witold i brat Adam. Wskazał, że z listu syna do-

wiedział się, że jego brat „jeździł z przedstawicielami polskich władz do środowisk robotniczych i opowiadał im o ciężkim życiu w Związku Radzieckim, i za te oszczerstwa kierowane przeciwko władzy sowieckiej został przez robotników zamordowany”. W rzeczywistości żadnego brata Adama Wincenty Smolicz nie miał, jak również syn nigdy nie wyjechał do Polski.

Obwiniające oskarżenie, przesądzające o losie aresztowanych – Nazaruka, Smolicza, Gryka, Lutego, Kisiela i pozostałych, zostało sporządzone 21 listopada przez oficera NKWD Karpowa. Postanowieniem OSO NKWD i prokuratora ZSRR z 14 grudnia 1937 roku wszyscy oskarżeni, cała siedemnastka, zostali skazani na rozstrzelanie. 8 stycznia 1938 roku wyrok wykonano. Zrehabilitowano ich 10 lutego 1959 roku.

Aresztowany w Białymstoku nauczyciel Wasyl Mozrzeryn, jako jedyny Rosjanin wśród „zabranych” w październiku 1937 roku mieszkańców wsi, został zaliczony przez śledczego do tzw. eserowsko-monarchistycznej organizacji, gdzie został jakoby zwербowany przez kierownika szkoły Karelina. Mozrzeryn z kolei „zeznał”, że zwербował do tej organizacji Polaka, samodzielnego gospodarza – kufaka Adama Artymowicza. W ankiecie W. Mozrzeryna napisano, że od 1907 roku do rewolucji służył w carskiej armii, a w 1914 roku, będąc sanitariuszem w wojsku, trafił do niewoli, gdzie przebywał do 1923 roku. Z tej samej ankiety wynika, że w Białymstoku mieszkał z żoną Marią, córką Katarzyną i wnukiem Georgijem. W protokole przesłuchania zapisano, że Wasyl Mozrzeryn wyjechał ze wsi Ordyńska w zachodniej części Syberii, gdzie pracował jako stolarz. Wyjechał stamtąd, jakoby z powodu lęku przed odkryciem jego kontrrewolucyjnej działalności, ale nie przerwał jej także w Białymstoku. Do momentu swojego aresztowania miał prowadzić we wsi agitację kontrrewolucyjną przeciwko kołchoźnikom i rzucać oszczerstwa na władzę sowiecką i jej przywództwo. Twierdził jakoby, że w rejonie ordyńskim komuniści zmuszali wszystkich chłopów do wstępowania do kołchozu, odebrali im cały chleb, kołchoźnicy umierają z głodu i jedzą padłe konie”.

Postanowieniem OSO NKWD z 1 grudnia 1937 roku W. Mozrzeryna i jeszcze jedenastu ludzi, sądzonych razem z nim w procesie karnym, skazanych zostało na rozstrzelanie. Wyrok został wykonany w ciągu siedmiu dni. Mozrzeryn został zrehabilitowany 14 listopada 1957 roku przez prezydium okręgowego sądu w Tomsku pod przewodnictwem sędziego Skrabina. (Z sędzią Skriabinem udało się mi w początku lat dziewięćdziesiątych spotkać w Tomsku i nagrać jego wspomnienia o pracy organów sądowych w okresie od lat trzydziestych do sześćdziesiątych. O swoim udziale w rozpatrzeniu sprawy W. Mozrzeryna on niczego nie mógł powiedzieć – dla niego była to jedna z wielu spraw, której nie miał prawa zapamiętać).

Podobnie jak Nazaruk, zostali osądzeni przez „trójkę” sędziowską 1 grudnia i rozstrzelani 8 grudnia 1937 roku mieszkańcy Wozniesienki T. Kniaziuk i I. Poturemski, aresztowani 12 października i oskarżeni o przynależność do eserowsko-monarchistycznej organizacji. Na przesłuchaniach śledczy Okorokow zmusił ich do przyznania się, że jeszcze w 1920 roku byli aktywnymi uczestnikami kułackich wystąpień, w niektórych siołach nowoaleksandrowskiego powiatu i wspieranie koływańskiego powstania.

Główną winą T. Kniaziuka było to, że od trzech lat, do chwili aresztowania, uchylał się od płatności wobec państwa, ukrywając się przed władzami w tajdze. Żył z tego, co w oddali od posesji udało mu się wyhodować, zebrane zboże zakopywał w jamy, a zimą je wyjmował i „przywoził nocami do domu, gdzie miał w swoim ręcznym młynie”. Ponadto oskarżano go, że z poczucia nienawiści za wyprzedaż jego gospodarki przygotowywał się do zabójstwa przewodniczącego rady wiejskiej Tatkina i jego zastępcy Tołkaczewa. Pośmiertnie zostali zrehabilitowani 31 grudnia 1958 roku – zarówno Rosjanin Kniaziuk, jak i Białorusin Poturemski.

Kolejną partię „wrogów ludu” z Białegostoku, a konkretnie S. Prońskiego, A. Jocz, T. Szymańskiego i F. Maziuka aresztowano 14 stycznia 1938 roku. Dom Stanisława Prońskiego był nawet dwukrotnie przeszukiwany. Powtórna rewizja odbyła się nazajutrz po aresztowaniu gospodarza. W donosie na A. Jocz, mówi się o tym, że pracując w kolchozie „Czerwony sztandar” poruczoną mu pracę zawsze wykonywał źle, prowadził agitację obliczoną na rozpad kolchozu, za co jakoby 2 stycznia 1938 roku został z tego kolchozu wykluczony. (Trzeba w tym miejscu podkreślić, że Aleksander Jocz, jeden z pierwszych założycieli Białegostoku, miał wówczas siedemdziesiąt pięć lat, a jednak nadal pracował w kolchozie. Jak się okazuje, źle pracował).

W podobnym dokumencie odnośnie brygadiera kolchozu Franciszka Maziuka powiedziano, że doprowadził do upadku dyscypliny w swojej brygadzie, a ponadto 1 stycznia 1938 roku podpalił słomę około składu kolchozowego zboża z celem jego zniszczenia.

Te sformułowania z drobnych spraw słowo w słowo wejdą do protokołów przesłuchań, obrosną nowymi szczegółami, a śledczy zatwierdzą je jako główne punkty wyroku.

Ważkim dowodem przyznania się do kontrrewolucyjnej działalności starca Szymańskiego posłużyło to, że w latach 1901–1907 mieszkał w Ameryce u swojego brata Józefa, gdzie pracował w fabryce. Stanisław Proński z kolei w czasie przesłuchania przyznał się, że „jest aktywnym działaczem Kościoła katolickiego, byłym oficerem armii generała Kołczaka. Przyznał się, że przez cały 1937 rok prowadził aktywną pracę werbunkową do POW, w wyniku

czego przyciągnął do tej kontrrewolucyjnej organizacji około dwudziestu ludzi”.

Końcowe oskarżenie w sprawie śledczej nr 7138, w której sądzeni byli S. Proński, A. Jocz, inni mieszkańcy Białegostoku i jeszcze ośmiu innych Polaków, mieszkających w rejonie kriwoszeińskim, zostało sporządzone 24 stycznia 1938 roku. Postanowieniem organów NKWD z 10 lutego 1938 roku jedenastu z dwunastki osób sądzonych w tej sprawie, skazanych zostało na rozstrzelanie. Wyrok wykonano 1 kwietnia 1938 roku.

Jedynym z tego tuzina skazanych, który nie otrzymał „najwyższego wymiaru kary”, okazał się mój siedemdziesięcioletni pradziadek Aleksander Jocz. Nie, jego nie uniewinniono i nie osądzono: w wypisie z postanowienia OSO prokuratora ZSRR i komisarza NKWD z 10 lutego 1938 roku pod numerem 927 w długim spisie skazanych, przy nazwisku pradziadka Aleksandra napisano: „przeprowadzić dodatkowe śledztwo”. Kto i dlaczego z wyższych dowódców NKWD w Moskwie podarował mu szczęśliwą możliwość śmierci nie od kuli siepacza, a na rękach synów Konstantego i Jana, z głodu i od wszy w więziennym baraku koło Kołpaszewa, tego nigdy się nie dowiemy.

18 kwietnia 1958 roku jedenastu rozstrzelanych zostało zrehabilitowanych. Pradziadka Aleksandra nie było w tym zestawieniu, ponieważ jemu nie zdążono wydać wyroku i skazać na rozstrzelanie – wszystko pomieszała „zwykła” śmierć.

O losie aresztowanych ciemną nocą z 11 na 12 lutego 1938 roku opowiadały dwa nieduże archiwalne tomy śledczych spraw pod numerem 2635. Za ośmuset osiemnastoma stronicami tych dwóch tomów, nie licząc trzeciego z materiałami rehabilitacji, przez długie lata ukrywały się okoliczności aresztowania i dalszych losów przytłaczającej części moich ziomków, uprowadzonych mroźnego wczesnego ranka pod eskortą w nieznane.

W dokumencie aresztowania, podpisanego przez funkcjonariusza NKWD Kalinina 10 lutego 1938 roku i potwierdzonego przez nowego naczelnika narymskiego oddziału NKWD Uljanowa (N. Surow, wykonujący obowiązki naczelnika oddziału NKWD został aresztowany 21 czerwca 1938 roku i tego dnia rozstrzelany) znajduje się dziewięćdziesięciu siedmiu Polaków. Sankcjonujący ten stan rzeczy podpis okręgowego prokuratora Starikowa na tym dokumencie znalazł się dopiero 17 lutego, tzn. pięć dni po aresztowaniu ludzi wymienionych w tym dokumencie. Spośród nich sześćdziesięciu jeden ludzi to mieszkańcy Białegostoku, pozostali pochodzili ze wsi Pietrowka i siół Krasny Jar, Mogoczino, Kriwoszeino.

W protokołach rewizji aresztowanych wymienione są nazwiska pracowników NKWD, którzy wzięli na siebie „ciężar pracy przy aresztowaniu aktyw-

nych członków kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej powstańczej organizacji POW". Oto nazwiska NKWD-zistów, którzy przeprowadzali areszty w Białymstoku: Maksimoczkin, Anaszuk, Łarionow, Kalczew, Sobolew, Kowaliow, Korszow, Szaruch, Żirnow, Leonienko, Korietow, Portnow, Lipiczun, Sielawski, Smokotin.

Bardzo możliwe, że nie jest to pełny spis specjalistów od aresztów, a jedynie tylko tych, którzy zostawili swoje ślady w protokołach rewizji. Przy tym nie znamy nawet ich imion, za wyjątkiem Szaruchy, urodzonego w sąsiedniej wsi Wozniesienka. Prócz funkcjonariuszy NKWD, w przeprowadzaniu aresztowań wykorzystani byli liczni miejscowi aktywiści. Po zakończeniu „operacji” polscy aktywiści także zostali aresztowani i podzielili los swoich krajan. Podobnie było z wykorzystaniem aktywistów nie tylko w Białymstoku, ale i w innych miejscach Kraju Narymskiego.

Spośród dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi, ujętych w spisie aresztowanych, jedynie w odniesieniu do sześćdziesięciu pięciu wskazano karne sprawy. Przy pozostałych nie ma żadnych dokumentów. Całkiem możliwe, że niektórzy w ogóle nie byli aresztowani z powodu naturalnej śmierci (spisy sporządzane były wcześniej), inni być może uniknęli aresztu wyjechawszy z rodzinnych stron, część była aresztowana wcześniej i skazana została w odrębnych sprawach, ktoś inny wreszcie szybko wrócił do domu „bez żadnych następstw”. Z Białegostoku takimi szczęśliwcami było dwanaście osób, które do samej śmierci nie uroniły ani jednego słowa o dniach spędzonych w kołpaszewskim więzieniu.

Wszystkich sześćdziesiąt pięć osób, sądzonych w tej sprawie, szybko i bez zbędnych formalności „obrobiła” w dwa dni, 20 i 21 lutego, brygada śledczych NKWD: Smirnow, Merinow, Docenko, Karpow, Worobjew, Gorbunow, Kiperwas. Szczególnie nie zmęczyli się w tej pracy, ponieważ na każdego aresztowanego były już napisane charakterystyki rękoma przewodniczącego rady wiejskiej Iwana Tatkina i sekretarza Michaiła Wołosacza – były to swoiste „ściągawki – podpowiedzi” dla śledczych. Z materiałów śledczych widać, że wszyscy oskarżeni, co do jednego, na pierwszym i jedynym przesłuchaniu podpisali lub z powodu analfabetyzmu potwierdzili odciskiem palca „dowody przyznania się” do swojej aktywnej działalności w kontrrewolucyjnej organizacji POW.

W oskarżycielskim podsumowaniu, zestawionym 26 lutego 1938 roku, po niedużym ogólnym wstępie na temat wrogiej działalności POW na terenie rejonu kriwoszeińskiego, wyliczone są liczne zasługi każdego z oskarżonych w ogólną „sprawę kontrrewolucyjną”.

I tak, jeden z moich dziadków, Biernat Pilewicz, otrzymał następujące punkty winy:

1 – jest aktywnym uczestnikiem kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej organizacji POW, do której został zwerbowany w maju 1935 r. przez Bolesława Artisza;

2 – osobiście zwerbował do tej organizacji Adama Szumskiego (A. Szumski został zwolniony z więzienia Kołpaszewo i wrócił bez postawienia go w stan oskarżenia – przyp. W. H)

3 – prowadził systematyczną kontrrewolucyjną agitację wśród polskiej społeczności, wykorzystywał religijne uczucia oraz swój autorytet jako członka rady kościelnej, prowadził religijną propagandę w celach kontrrewolucyjnych, dążył do niepowodzeń w pracy polowej i masowego występowania z kołchozu

4 – zbierał informacje o nastrojach politycznych społeczeństwa i przekazywał je Bolesławowi Artiszowi

W odniesieniu do drugiego dziadka, Wasyła Haniewicza, oskarżenie posiadało następujące punkty:

1 – był członkiem POW, do której został zwerbowany w 1936 r. przez Polaka K. Jocz

2 – osobiście zwerbował do POW F. Krzywdę, któremu dał zadanie przyłączania do organizacji nowych osób

3 – w roku 1937 razem z członkiem POW K. Joczem zmarnował sto trzydzieści kwintali kołchozowego chleba

4 – w 1938 r. przygotowywał akt terrorystyczny wobec przewodniczącego kołchozu

5 – systematycznie zajmował się nacjonalistyczną agitacją, wychwalał faszyzm

Pradziadek Roman Michnia, oprócz tradycyjnych dla wszystkich obwinionych punktów, miał i takie zarzuty:

3 – „w 1935 r. razem z członkami organizacji kontrrewolucyjnej podpalił szopę z maszynami rolniczymi, w pożarze zniszczone zostały siewnik, żniwiarka i kosiarka;

4 – osobiście, a także przez zwerbowanego Gawrilenkę zajmował się zbieraniem szpiegowskich informacji, które przekazywał Józefowi Michnie

5 – wyraził zgodę w momencie powstania na walkę z orężem w rękach przeciwko władzy sowieckiej”

I jeśli nawet w wiarygodność przedstawionych oskarżeń wobec Romana Michnia, przy wielkiej chęci można by uwierzyć, uwzględniając politykę masowego terroru w kraju i ogromny rozmach szpiegomanii, to punkty od 3 do 5 jego oskarżenia wyglądają zwyczajnie śmiesznie. Przy niewiele bardziej uważnym podejściu nawet stalinowska praworządność już wtedy mogłaby

odnotować niewielki nieporządek. Rzecz w tym, że mój pradziadek Roman Michnia nie mógł absolutnie mieć nic do czynienia z podpaleniem czy walczyć z bronią w ręku przeciwko władzy sowieckiej. I nie dlatego, że považał tę władzę, i nie dlatego, że nie posiadał u siebie w domu broni. On nie mógł wziąć broni do ręki z tego powodu, że nie miał obu rąk.

Nie, właściwie ręce miał, same palce natomiast miał odmrożone, jeszcze w początku lat dwudziestych. Od tego czasu, nie tylko nie mógł utrzymać broni w rękach, co nawet samodzielnie nie mógł zapalić papierosa i zapiąć guzika. Podobne absurdalne oskarżenia były skierowane praktycznie przeciwko wszystkim aresztowanym i nikt ich nie podważał, nikt nie robił bezpośrednich konfrontacji, a protestów nikt nie rozpatrywał.

Los białostoczan rozpatrywało w Moskwie najwyższe kierownictwo w osobach prokuratora ZSRR Andrieja Wyszyńskiego i komisarza krajowego NKWD Ławrentija Berii, a także ich pierwsi zastępcy. W wypisie z protokołu nr 1080 z 9 kwietnia 1938 roku stwierdza się: „rozpoznano: materiały na obwinionych przedstawione przez NKWD z obwodu nowosybirskiego według rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 roku. Postanowiono: rozstrzelać – Adama Artymowicza, ur. 1912 w Białymstoku”. I dalej to samo w alfabetycznym porządku w odniesieniu do wszystkich sześćdziesięciu pięciu ludzi za wykluczeniem jednego. Data rozstrzelania wszystkich sześćdziesięciu czterech osób jedna i ta sama – 14 maja 1938 roku.

Uratował się jedynie młodszy brat babci Gabrieli – Jan Jocz, który otrzymał od OSO wyrok: „dziesięć lat łagrów”. Widocznie nie sądzone mu było dzielenie losu swojego brata Konstantego, ojca i innych mieszkańców wsi, nie sądzone mu także było umrzeć w gułagu w ciągu dziesięciu lat przebywania w łagrze w Magadanie.

Udało mu się i w 1949 r. po zakończeniu odsiadki wyroku. Z pewnością nie wiedział wtedy, że był o włos od powtórnego wyroku, jeśli jego sprawa trafiłaby do powtórnego rozpatrzenia do człowieka obojętnego na los uwięzionych. Widocznie jednak starszy pełnomocnik MGB w Magadanie starszy lejtnant Palij nie był takim bezdusznym człowiekiem.

W sierpniu 1949 roku do niego właśnie trafiły dokumenty Jana Jocz, który zakończył odbywanie kary. Zapoznawszy się z jego sprawą i sprawami innych mieszkańców Białegostoku, stwierdził jedynie prawomocność wyroku z 1938 roku. W swoim dokumencie napisał, że J. Jocz nie podlega aresztowaniu i jego sprawę należy zdać do archiwum”. Trzeba przyznać, że w tym czasie było to odważne posunięcie.

W ten sposób Jan Jocz uniknął powtórnego aresztu za stare winy, których i tak przecież nie popełnił. Jego rehabilitacja i pozostałych zamordowanych

nastąpiła dopiero w 1955 r. Komisja sądowa do spraw karnych Najwyższego Sądu ZSRR na swoim posiedzeniu 7 września 1955 roku postanowiła oskarżenia w odniesieniu do J. Jocz i pozostałych sześćdziesięciu czterech rozstrzelanych oddalić „z powodu niewystarczających dowodów winy”.

Nieco inaczej potoczył się los jednego z białostoczan, aresztowanego w tę fatalną noc 11 lutego. Rzeczą dotyczy Nikodema Primaki, urodzonego w 1901 roku, kierownika wiejskiej masłarni. Z narodowości był Łotyszem, po wysłaniu etapu do Kołpaszewa został przydzielony do dużej grupy aresztowanych w tych dniach Łotyszy i Latgalców, mieszkających w siołach Maliczówka, Malinówka, Pietropawłówka. Wszystkich stu dwudziestu pięciu aresztowanych Łotyszy skierowano do jednej sprawy, tzw. „nacionalistycznej łotewskiej kontrrewolucyjnej dywersyjno-powstańczej organizacji o nazwie Partia Świętych”. Wszyscy postanowieniem NKWD z 12 kwietnia 1938 roku zostali skazani na rozstrzelanie, wyrok wykonano 22 maja 1938 roku. Zrehabilitowani zostali 21 marca 1957 roku.

Jak pokazują poznane materiały ze spraw śledczych, w lutowe dni 1938 r. aresztowania następowały w rejonie nie tylko w siołach z polskimi lub łotewskimi mieszkańcami. Rejonowe NKWD, pomimo masowych aresztów i obław było w stanie prowadzić jeszcze areszty indywidualne w wielu innych wsiach rejonu. Tak, przykładowo, w tych dniach aresztowani byli mieszkańcy Iwanówki Michał Labik, ur. 1870 r. i Efrem Gospodaryk, ur. 1890 r., obwinieni o przynależność do religijnej wspólnoty baptystów.

Razem z nimi zaliczono do jednej sprawy, jako członków eserowsko-monarchistycznej organizacji, jeszcze wiele osób. Byli to Tatarzy Abram Gajnułin ze wsi Nurkaj i przewodniczący kołchozu Safin Latyp z Nowo-Islabula, Ukrainiec Piotr Sokolik z posesiadka Ukrainka, były protojerej Cerkwi prawosławnej Mikołaj Tichomirow, mieszkający w siole Nowoaleksandrówka, Ostiak Maksym Atepkow ze wsi Tungusowo i inni, łącznie trzydzieści dziewięć osób.

Los ich był taki jak mieszkańców Białegostoku: postanowieniem „trojki” NKWD z 12 marca 1938 roku wszyscy zostali skazani na rozstrzelanie. Wyrok wykonano 31 marca tego roku. Jedynie sześćdziesięcioośmioletni chałupnik z Tungusowa, Mikołaj Odinkow zmarł w więzieniu dwa dni przed ogłoszeniem wyroku. Powróćmy jednak do moich rodaków – Polaków.

Ostatnie uderzenie represyjnego koła zamachowego na białostoczan i innych narymskich Polaków nadeszło 16 lutego 1938 roku. Przyjechawszy wczesnym rankiem do Białegostoku, funkcjonariusze NKWD Czernych i Kranakow razem z pomocnikami – znanymi już wcześniej, Tatkinem i Własowem, bez większych problemów aresztowali ostatnich pozostałych we wsi

piętnastu mężczyzn. Następnego dnia ten sam kwartet zaaresztował czterech mieszkańców Wozniesienki, a 20 lutego – mieszkańca Nowoandriejewki Wincentego Szymańskiego.

Dalsze losy aresztowanych poznałem z dokumentu oznaczonego numerem 2642. W nim zebrane są materiały na jeszcze stu dwudziestu dwóch kolejnych ludzi „aktywnych członków POW” z całego ogromnego okręgu narymskiego. I w tym zestawie przytłaczającą większość stanowili aresztowani Polacy z rejonu kriwoszeińskiego, wsi Pietrówka, Połozów, Pietropawłówka. W sześciu postanowieniach o areszcie przytoczone są sto dwadzieścia dwa nazwiska ludzi, ale w odniesieniu do dwudziestu dwóch spośród nich danych o dalszym postępowaniu nie ma. Całkiem możliwe, że oni byli już aresztowani wcześniej i do spisów aresztowanych trafili po raz drugi z pośpiechu lub że jakimś sposobem, uniknęli aresztowania. Jednak ogólna cyfra stu dwudziestu dwóch ludzi już się pojawiła i ją należało w tej sytuacji „uzupełnić”. Zrobiono to lekko i bardzo prosto – aresztowano brakujących dwudziestu dwóch ludzi, nawet bez sankcji prokuratora na areszt. W liczbie tych uzupełniających „wrogów ludu” byli Józef Lewko i Wasyl Bembel, mieszkańcy Wozniesienki, aresztowani odpowiednio 26 i 28 lutego 1938 roku.

Przeprowadzeniem przesłuchań tej partii aresztowanych Polaków, oprócz już wcześniej wymienionych funkcjonariuszy NKWD, zajmowali się także pracownicy Narymskiego oddziału NKWD – Łukiczew, Bykow, Wiesielow, a także Jakowlew i Polakow. W dniach 3–5 marca potrzebne „przyznania się do winy” zostały zebrane na wszystkich aresztowanych. Największą gorliwość w tej pracy wykazali NKWD-ziści – Karpow – dwiętnastu ludzi przesłuchanych i Merinow – szesnastu przesłuchanych. Należy dodać, że nie był to rekord ich pracy. Obecnie wiadomo, że wówczas normą dla śledczych NKWD było w jeden dzień „przemaglować” nie mniej niż dziesięciu aresztowanych. Najbardziej kłopotliwe było zestawienie końcowego oskarżenia. W tym wypadku grupowe oskarżenie zestawiał 10 marca młodszy kapitan Kiperwas.

Tym sposobem, potrzebowano dwudziestu trzech dni, od chwili aresztowania do postawienia oskarżenia na całą grupę stu dwudziestu dwóch ludzi, po czym skleconą naprędce sprawę skierowano do Nowosybirsk. W drugiej połowie maja do Kołpaszewa przyszedł zaszyfrowany telegram, że 21 kwietnia 1938 roku OSO wszystkich bez wyjątku postawionych w stan oskarżenia, skazało na najwyższą karę – rozstrzelanie. Wyrok wykonano 22 maja. Ta grupa narymskich Polaków zrehabilitowana została 20 września 1957 r. przez Trybunał odeskiego okręgu wojskowego. Dlaczego rehabilitacją zajmował się sąd w Odessie? Według pracowników Urzędu Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) Federacji Rosyjskiej stało się tak dlatego, że miejscowe organy,

zajmujące się w latach pięćdziesiątych rehabilitacją, nie były w stanie, z powodu dużej liczby spraw podołać temu zadaniu, dlatego poprosili o pomoc swoich towarzyszy z Odessy.

Na tym represyjna kronika w odniesieniu do mojego Białegostoku zakończyła się – odnosiła się tylko i wyłącznie do mężczyzn. Sprawiedliwie trzeba powiedzieć, że represje nie dotknęły kobiet z Białegostoku. Żadna z nich nie została osądzona według politycznego artykułu 58 KK, choć takie wypadki w okręgu narymskim miały miejsce.

Dla moich krajan represje się nie skończyły, przybrały jedynie inne formy. Kobietom i dzieciom przyszło jeszcze przez długie lata nieść ciężkie brzemie żon i dzieci „wrogów ludu”, ze wszystkimi wynikającymi z tego następstwami. Podrostki jeszcze musiały nieco podrosnąć, żeby posłużyć jako kontygent dla łagrów, a także innych miejsc socjalistycznego kształtowania. To wszystko jeszcze nastąpi, ale teraz należy podsumować przytoczoną powyżej kronikę represji.

Poznane sprawy śledcze z lat trzydziestych w odniesieniu do mieszkańców sióła Białystok pokazują, że od 13 sierpnia 1937 roku do 16 lutego roku następnego NKWD aresztowało osiemdziesięciu ośmiu ludzi. Liczba ta robi wrażenie, jeśli wiemy, że we wsi na podstawie spisu z 1937 roku mieszkało stu dwudziestu siedmiu mężczyzn od osiemnastu lat do późnej starości. Dodać należy, że już po dokonany spisie część osób z różnych przyczyn (wyjazdy, śmierć) została wykreślona ze spisu mieszkańców, obniżając tym samym ten statystyczny wskaźnik. Sześćdziesięciu ośmiu ludzi spośród wszystkich aresztowanych w tym czasie było represjonowanych bezpodstawnie. I tylko jednemu z nich udało się pozostać wśród żywych. Oprócz tego, do przytoczonej cyfry rozstrzelanych i osądzonych białostoczian należy dodać jeszcze ponad dwudziestu stwierdzonych z nazwiska mieszkańców wsi, którzy wyjechali w nowe miejsca zamieszkania i zabranych przez NKWD już z nowego miejsca osiedlenia. Jeśli dodać także siedem osób, osądzonych w 1935 roku przy kolektywizacji i w 1937 roku już „siedzących”, to okaże się, że ogólna liczba białostockich „wrogów ludu” zbliży się do setki.

Jednak i ta liczba nie jest jeszcze ostateczna. Tak, jeszcze dzisiaj nie jest do końca potwierdzony fakt represji w odniesieniu do kilku mieszkańców sióła, według wspomnień starszych osób aresztowanych w latach trzydziestych. Czy były to areszty przeprowadzane przez NKWD, czy przez funkcjonariuszy milicji, tego staruszkowie nie pamiętają. No tak, ale przecież i wówczas nikt z mieszkańców nie wiedział, kto został aresztowany i za co. Żadne dokumenty nie były okazywane, a funkcjonariusze nie podawali swoich nazwisk. Tak więc przytoczona przeze mnie powyżej statystyka może będzie w przyszłości jeszcze skorygowana i podwyższona.

Poniżej przytaczam nazwiska tych, których losy Czytelnicy już dość dobrze poznali:

Artisz Antoni – ur. 1915 r. w Białymstoku. Sądzony 18 października 1937 r. Rozstrzelany (data śmierci nieznana).

Artisz Bolesław – ur. 1907 r. w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Artisz Jan – ur. 1905 r. w Wozniesience, rolnik indywidualny. Aresztowany 12 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Artisz Józef – ur. 1903 r. w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Artymowicz Adam – ur. 1912 r. w Białymstoku, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Bach Paweł – ur. 1904 r. w Białymstoku, rachmistrz. Przed aresztowaniem mieszkał w Tomsku. Aresztowany 10 lutego 1938 r. Rozstrzelany 2 czerwca 1938 r.

Bach Stanisław – ur. 1900 r. w Białymstoku, księgowy, organista w kościołach Białegostoku, Tomsku i Nowosybirsku. W 1931 r. skazany w Nowosybirsku na trzy lata łagrów. Powtórnie aresztowany 9 lutego 1938 r. we wsi Tatjanówka. Rozstrzelany 8 maja 1938 r.

Bek Aleksy – ur. 1884 r. w Warszawie, nauczyciel języka niemieckiego. Przed aresztowaniem mieszkał w Kołpaszewie. Aresztowany w 1937 r. Rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Bielawski Antoni – ur. 1912 w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Bielawski Wasyl – ur. 1908 r. w Białymstoku, brygadzysta kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany (data śmierci nieustalona).

Bielski Michał – ur. 1883 r. w Przewalce w guberni grodzieńskiej, rolnik indywidualny. Aresztowany 2 lutego 1935 r. Skazany na dziesięć lat łagrów. Zwolniony w 1943 r.

Borysowiec Paweł – ur. 1911 r. w Baranowie w rejonie słuckim na Białorusi. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 5 października 1937 r.

Bujewicz Wincenty – ur. 1902 r. w powiecie lepelskim, guberni witebskiej na Białorusi, członek kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Burzemowski Włodzimierz – ur. 1905 r. w Wilnie, zbieg z Polski, rolnik indywidualny. Przed aresztowaniem mieszkał we wsi Wozniesienka. Aresztowany 24 kwietnia 1937 r. Rozstrzelany 28 sierpnia 1937 r.

Cerpento Hieronim – ur. 1878 r. w Krzywiczach w guberni wileńskiej, ksiądz katolicki parafii w Białymstoku, Tomsku, Aczyńsku, Krasnojarsku.

Aresztowany 2 czerwca 1935 r. 24 czerwca 1936 r. skazany na dziesięć lat łagru. W 1937 r. w miejscu uwięzienia ponownie osądzony i 4 stycznia 1938 roku skazany na karę śmierci. Rozstrzelany 18 stycznia 1938 r.

Chwalko Konstanty – ur. 1898 r. w Nowosiółkach w guberni wileńskiej. Uciekinier z Polski, nauczyciel. Przed aresztowaniem mieszkał w Krasnym Jarze w rejonie kriwoszeińskim, gdzie był dyrektorem szkoły. Aresztowany 22 września 1937 r. Rozstrzelany 4(5) listopada 1937 r.

Czerwony Piotr – ur. 1905 r. w Nowogródku. Uciekinier z Polski. Dyrektor szkoły. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. rozstrzelany 5 października 1937 r.

Daszczuk Piotr – ur. 1869 r. w Horodyszczu w guberni siedleckiej, przewodniczący komisji rewizyjnej kolchozu. Przed aresztowaniem mieszkał w siole Topki w rejonie kożewnickim. Aresztowany 12 lutego 1938 r. Rozstrzelany 28 maja 1938 r.

Daszczuk Wasyl – ur. 1902 r. w stancy Dołgoderewieńskiej w obwodzie czelabińskim, przewodniczący kolchozu. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 4(5) listopada 1937 r.

Dudczenko Jan – ur. 1915 r. w Szarówce w guberni tobołskiej, nauczyciel. Przed aresztowaniem mieszkał we wsi Koływań w zachodniej Syberii. Aresztowany 10 stycznia 1938 r. Rozstrzelany 3 marca 1938 r.

Duliniec Hipolit – ur. 1892 r. w Dulinie w guberni wileńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Gawrilenko Jan – ur. 1883 r. w Swietliszczu w powiecie połockim, guberni witebskiej, kowal w kolchozie. Aresztowany 12 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Gielbutowski Marian – ur. 1899 r. w Michajłowie w powiecie tomskim. Przed aresztowaniem mieszkał w Pikówce w rejonie kołpaszewskim, pracował jako kierownik oddziału handlu drewnem. Aresztowany 15 marca 1938 r. Rozstrzelany 23 maja 1938 r.

Gryk Błażej – ur. 1872 r. w Uzbierze w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 20 października 1937 r. Rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Gryk Józef (ojciec) – ur. 1889 r. w Grodnie, rolnik indywidualny. Przed aresztowaniem mieszkał we wsi Nikiforówka w rejonie kożewnickim. Aresztowany 5 lipca 1938 r. Skazany na osiem lat łagrów. Zwolniony w 1943 r.

Gryk Józef (syn) – ur. 1912 r. w Białymstoku, monter. Przed aresztowaniem mieszkał w Woronowie w rejonie kożewnickim. Aresztowany 20 stycznia 1938 r. Rozstrzelany 9 marca 1938 r.

Haniewicz Hipolit – ur. 1886 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Haniewicz Kosma – ur. 1892 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Haniewicz Wasyl – ur. 1907 r. w Białymstoku, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Januszko Mojżesz – ur. 1870 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, stróż w olejarni. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Jocz Aleksander – ur. 1863 r. w Jutewcach w powiecie lidzkim guberni wileńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 14 stycznia 1938 r. Zmarł w więzieniu berezowskim w rejonie Kołpaszewa 20 kwietnia 1938 r., zanim został rozstrzelany zgodnie z wyrokiem.

Jocz Antoni – ur. 1895 r. w Jutewcach w powiecie lidzkim guberni wileńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Jocz Jan (syn Aleksandra) – ur. 1918 r. w Białymstoku, pracownik kołchozu. Aresztowany 12 lutego 1938 r. skazany na dziesięć lat łagru. Zwolniony w 1948 r.

Jocz Jan (syn Stanisława) – ur. 1912 w Białymstoku, pracownik kołchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Jocz Konstanty – ur. 1904 r. w Białymstoku, członek kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Jocz Kosma – ur. 1893 r. w Jutewcach w powiecie lidzkim guberni wileńskiej, rolnik indywidualny. Przed aresztowaniem mieszkał w Kriwoszeinie. Aresztowany 10 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Jocz Edward – ur. 1893 r. w Jutewcach w powiecie lidzkim guberni wileńskiej, stolarz. Przed aresztowaniem mieszkał w Kriwoszeinie. Aresztowany 10 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Jocz Feliks – ur. 1864 r. w Jutewcach w powiecie lidzkim guberni wileńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 4(5) listopada 1937 r.

Jocz Józef – ur. 1910 w Białymstoku, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Kaczan Józef – ur. 1914 w Nowoandriejewce, rolnik indywidualny. 5 kwietnia 1935 r. skazany na 5 lat łagru. Data zwolnienia nieznana.

Karelin Mikołaj – ur. 1878 r. we wsi Batakon we wschodniej Syberii, kapłan Cerkwi prawosławnej. W 1928 r. aresztowany przez OGPU w Czycie, w 1931 r. został skazany na półtora roku pozbawienia wolności i trzy lata zsyłki do Narymskiego Kraju. Zsyłkę odbywał w Białymstoku, przed aresztowaniem pracował jako kierownik administracyjny w szkole. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 21 października 1937 r.

Karpisz Ludwik – ur. 1889 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, rolnik indywidualny. Aresztowany 1 lutego 1935 r. skazany na dziesięć lat łagru.

W trakcie odbywania kary w łagrze w 1938 r. został ponownie aresztowany. Rozstrzelany 5-10 maja 1938 r.

Kisiel Paweł – ur. 1873 r. w Lichaczach w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Kondracki Stanisław – ur. 1907 r. w Białymstoku, rolnik indywidualny. Aresztowany 3 lutego 1935 r. 5 kwietnia 1935 r. skazany na sześć lat łagru. Zwolniony w 1947 r. 20 sierpnia 1956 r. ponownie osądzony na 2 lata pozbawienia wolności. Zwolniony 17 lipca 1957 r.

Krzywda Franciszek – ur. 1909 r. w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Krzywda Michał – ur. 1871 r. w guberni siedleckiej, górnik. Przed aresztowaniem mieszkał w Szachtach w obwodzie rostowskim. Aresztowany w lutym 1938 r. Rozstrzelany (data śmierci nieustalona).

Luty Franciszek – ur. 1917 w Białymstoku, monter łączności. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Luty Jan – ur. 1887 r. w Majdanie Górnym guberni lubelskiej, rolnik indywidualny. 5 kwietnia 1935 r. skazany na trzy lata łagru. Zwolniony w 1937 r. ponownie aresztowany 21 października 1937 r. rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Luty Piotr – ur. 1885 r. w Majdanie Górnym guberni lubelskiej, rolnik indywidualny. 5 kwietnia 1935 r. skazany na osiem lat łagru. Zmarł 19 kwietnia 1942 r. w czasie odbywania kary w łagrze.

Markisz Maciej – ur. 1878 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 12 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Markisz Nikodem – ur. 1899 r. w Białymstoku, brygadzysta kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Markisz Piotr (syn Macieja) – ur. 1905 r. w Białymstoku, pracownik firmy drogowej. Aresztowany 5 maja 1937 r. 13 września 1937 r. skazany na dziesięć lat łagru. W czasie odbywania kary skazany ponownie 22 października 1938 roku. Rozstrzelany 21 listopada 1938 roku.

Markisz Piotr (syn Tadeusza) – ur. 1883 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, strażnik poczty. Aresztowany w 1938 r. rozstrzelany (data śmierci nieustalona).

Markisz Wincenty – ur. 1909 r. w Białymstoku, rolnik indywidualny. Aresztowany 6 maja 1937 r. skazany na osiem lat łagru i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. W miejscu uwięzienia w listopadzie 1938 r. ponownie skazany na kolejne osiem lat. Zwolniony w 1945 r.

Maziuk Adam – ur. 1897 r. w Sałacie guberni grodzieńskiej, rolnik indywidualny. W 1933 r. skazany na dwa lata łagru. Powtórnie aresztowany 3 lutego 1935 r. i skazany na dziesięć lat łagru. Wyrok odbywał w łagrach obwodu kemerowskiego w Kraju Chabarowskim. Zwolniony w 1945 r.

Maziuk Antoni (syn Michała) – ur. 1897 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 8 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Antoni (syn Stanisława) – ur. 1904 r. w Białymstoku, koniuch w kołchozie. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Franciszek – ur. 1910 r. w Białymstoku, brygadzysta kołchozu. Aresztowany 14 stycznia 1938 r. Rozstrzelany 1 kwietnia 1938 r.

Maziuk Hipolit – ur. 1884 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Michał – ur. 1910 w Białymstoku, pracownik kołchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Maziuk Paweł – ur. 1887 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Stanisław (syn Ludwika) – ur. 1870 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Stanisław (syn Pawła) – ur. 1887 r. w Sałacie w guberni grodzieńskiej, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Maziuk Szymon – ur. 1907 r. w Białymstoku, pomocnik księgowego w firmie Wojenstroj. Przed aresztowaniem mieszkał w Tomsku. Aresztowany 13 czerwca 1938 r. Rozstrzelany 25 października 1938 r.

Michasionek Mikołaj – ur. 1888 r. w Lisowskiej w powiecie rzeczyckim, w guberni witebskiej, ksiądz katolicki, proboszcz parafii Białystok, Tomsk i Nowosybirsk. Przed aresztowaniem mieszkał w Nowosybirsku. Aresztowany 4 kwietnia 1927 r. 25 października 1927 r. skazany na trzy lata łagru bez prawa do amnestii. Po odbyciu kary w łagrach sołowieckich zesłany wyrokiem kolegium GPU 28 kwietnia 1930 r. do Kraju Północnego na trzy lata. Znajdując się na zesłaniu w mieście Wielki Uściug, zmarł (nie później niż 8 maja 1933 r.).

Michnia Antoni – ur. 1892 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, górnik. Przed aresztowaniem mieszkał w miejscowości Komintern w obwodzie rostowskim. Aresztowany 26 lutego 1938 r. rozstrzelany 14 września 1938 r.

Michnia Feliks – ur. 1902 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, sanitariusz weterynaryjny. Aresztowany 13 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 5 października 1937 r.

Michnia Józef – ur. 1888 r. we wsi Pijanda w guberni siedleckiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Michnia Roman – ur. 1884 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, pracownik kołchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Michnia Stanisław – ur. 1896 r. w Jabłoni w guberni siedleckiej, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Michnia Wincenty – ur. 1883 r. w miejscowości Kudryj w guberni siedleckiej, górnik. Przed aresztowaniem mieszkał w Kominternie w obwodzie rostowskim. Aresztowany 26 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 września 1938 r.

Mozrzeryn Wasyl – ur. 1885 r. w Ordyńsku w zachodniej części Syberii, stolarz. Aresztowany 20 października 1937 r. Rozstrzelany 8 grudnia 1937 r.

Nazaruk Jan – ur. 1899 (1900) r. w guberni siedleckiej, rolnik indywidualny. Przed aresztowaniem mieszkał w Kraju Azowsko – Czarnomorskim. Aresztowany w 1938 r. Rozstrzelany (data śmierci nie ustalona).

Nazaruk Józef – ur. 1908 r. w Paszence w guberni siedleckiej, sprzedawca w sklepie. Aresztowany 21 października 1937 r. Rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Nazaruk Wiktor – ur. 1903 r. w guberni siedleckiej, rolnik indywidualny. Aresztowany w 1938 r. Rozstrzelany (data śmierci nie ustalona).

Pilewicz Biernat – ur. 1914 r. w Białymstoku, zarządzający stadniną końską w kolchozie. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Pilewicz Bolesław – ur. 1895 r. w Sterchowie w powiecie oszmiańskim, w guberni witebskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Pilatow Antoni – ur. 1892 r. w Sołonoj w guberni kurlandzkiej, koniuch w kolchozie. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Popow Trofim – ur. 1888 r. w Wilnie, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Proński Stanisław – ur. 1883 r. w Mikielowszczyźnie w guberni grodzieńskiej, stolarz. Aresztowany 14 stycznia 1938 r. Rozstrzelany 1 kwietnia 1938 r.

Proński Zygmunt – ur. 1881 r. w Mikielowszczyźnie w grodzieńskiej guberni, rolnik indywidualny. Aresztowany w kwietniu 1931 roku zwolniony w marcu 1932 r. Powtórnie aresztowany w 1937 r. w Tomsku. Przed aresztowaniem pracował jako stróż w poradni kostno-gruźliczej. Rozstrzelany 22 października 1937 r.

Prymak Mikołaj – ur. 1901 r. w Białymstoku, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 22 maja 1938 r.

Radziuk Jan – ur. 1914 r. w Białymstoku, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Rodziejewicz Elias – ur. 1879 r. we wsi Guran w guberni grodzieńskiej, rolnik indywidualny. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Rudkowski Antoni – ur. 1912 w powiecie dryśnieńskim guberni witebskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Sieńko Wincenty – ur. 1876 r. w Bogdanowcach w powiecie lidzkim, w guberni wileńskiej, rolnik indywidualny. W 1933 r. skazany na dwa lata łagru. Powtórnie aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Sierko Rafał – ur. 1886 r. w Iwaszewcach w powiecie lidzkim, w wileńskiej guberni, rolnik indywidualny. W 1932 r. skazany na dwa lata łagru. 27 marca 1936 r. skazany ponownie na dwa lata pobytu w łagrze. 2 września 1937 r. kolejny dwuletni wyrok. Zmarł w miejscu uwięzienia 30 kwietnia 1938 r.

Smolicz Wincenty – ur. 1866 r. we wsi Uznoga w powiecie słuckim, w guberni mińskiej, pracownik kolchozu. W 1929 r. rozkułaczony i skazany na zsyłkę wraz z rodziną do Narymskiego Kraju. Powtórnie aresztowany 20 października 1937 r. Rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Smolicz Witold – ur. 1909 r. w Bogoroszczynie w guberni mińskiej, księgowy. Przed aresztowaniem mieszkał w Krasnokamsku w obwodzie permskim. Aresztowany 7 sierpnia 1937 r. Rozstrzelany 20 września 1937 r.

Surgieło Napoleon – ur. 1902 r. w Awizansach w wileńskiej guberni, rolnik indywidualny. Uciekinier z Polski. 5 kwietnia 1935 r. skazany na cztery lata łagru. Dane o zwolnieniu nie stwierdzone.

Szparkowicz Alfons – ur. 1879 r. w guberni wileńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Szparkowicz Stanisław – ur. 1875 r. w Podworońcach w guberni wileńskiej, pracownik kolchozu. Aresztowany 10 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Szuć Antoni – ur. 1915 r. w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Szumski Elias – ur. 1909 r. w Białymstoku, pracownik kolchozu. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Szumski Konstanty – ur. 1899 r. we wsi Kackeli w powiecie oszmiańskim, guberni wileńskiej, cieśla w kolchozie. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Szwedko Paweł – ur. 1912 r. w Białymstoku, traktorzysta kolchozu „Borec” w Jerogowie w rejonie kriwoszeińskim. Aresztowany 16 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Szwedko Stanisław – ur. 1904 r. w Białymstoku, koiniuch w kolchozie. Aresztowany 11 lutego 1938 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Szymanowski Wincenty – ur. 1889 r. w Porzeczu w guberni grodzieńskiej, pracownik kolchozu. Przed aresztowaniem mieszkał w Nowo-Andriejewce. Aresztowany 20 lutego 1938 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Jeśli chodzi o inne wsie należące do rady wiejskiej Białegostoku, to ich statystyka represji wygląda następująco:

Wieś Wozniesienka:

Bembel Wasyl – ur. 1909 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Burzemowski Włodzimierz – ur. 1905 r. Rozstrzelany 28 sierpnia 1937 r.

Kisiel Jan – ur. 1878 r. Rozstrzelany 8 stycznia 1938 r.

Kniaziuk Tymoteusz – ur. 1887 r. Rozstrzelany 8 grudnia 1937 r.

Lajko Adam – ur. 1906 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Lajko Ludwik – ur. 1888 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Lewko Gabriel – ur. 1902 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Lewko Józef – ur. 1897 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Masiuk Dominik – ur. 1895 r. Rozstrzelany 14 maja 1938 r.

Marchel Ignacy – ur. 1883 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Sioło Georgiczewskij

Wieś Iwanówka:

Gospodaryk Efrem – ur. 1890 r. Rozstrzelany 31 marca 1938 r.

Korobkin Włodzimierz – ur. 1907 r. Rozstrzelany 12 maja 1938 r.

Labik Michał – ur. 1870 r. Rozstrzelany 31 marca 1938 r.

Wieś Nowo – Andriejewka:

Wutyn Piotr – ur. 1910 r. Rozstrzelany 22 maja 1938 r.

Jedynie wśród mieszkańców znajdującej się w pobliżu Białegostoku wsi Wierchbrowki NKWD nie odnalazła „wrogów ludu” – to bardzo unikalna sytuacja dla wsi narymskich! Możliwe, że zdarzyło się tak, bo w niej nie mieszkali „podejrzani” Polacy, Łotysze lub Niemcy oraz że nie znalazł się miejscowy Pawlik Morozow, skłonny donieść na swoich bliskich i sąsiadów.

A może zdarzyło się tak, że poprzez narymskich Polaków i innych cudzoziemców został wypełniony plan organów NKWD co do liczby „wrogów ludu” i w innych miejscach było mniej pracy. Jak jednak widać, wobec represji skierowanych przeciw Polakom, żadnego klarownego planu nie było, a jedynie funkcjonowało stachanowskie hasło: „czym więcej, tym lepiej”. Praktycznie nie było w tych latach na Syberii ani jednej polskiej rodziny, której nie dotknąłby potok represji. Ile było takich rodzin, obecnie nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Stalinowska maszyna represji nie zatrzymała się na latach trzydziestych, tym bardziej w stosunku do Polaków. W przyszłości zdarzy się jeszcze las katyński, masowe deportacje Polaków na Syberię w końcu lat trzydziestych i na początku czterdziestych z tak zwanych ziem przyłączonych, czyli Kresów Wschodnich II RP. I ponownie masowe zsyłki z tych ziem po wyzwoleniu

ich spod okupacji hitlerowskiej. Wyzwalano naród polski od „brunatnej” tyranii faszystowskiej, ale zamiast długooczekiwanej swobody wprowadzano w to miejsce swój „czerwony” komunistyczny porządek. Według badań polskich historyków we wszystkich latach przedwojennych, wojennych i pierwszych latach po zakończeniu wojny, na Syberię i do Kazachstanu wywieziono nie mniej niż półtora miliona Polaków, spośród których wielu na zawsze pozostało w syberyjskiej ziemi.

W 1940 r. z terenów Lwowszczyzny i Białostocczyzny wywieziono przymusowo w rejon naszego Okręgu Narymskiego wiele setek polskich rodzin. Tu im przyszło się do woli nalykać syberyjskiej gościnności partyjnych i czekistowskich towarzyszy, wielu z nich nie było w stanie znieść głodu, chłodu i męki rozstania z bliskimi.

Nieznana pozostaje liczba zesłanych do Kraju Narymskiego polskich obywateli. Wielkie zadanie wziął na siebie mieszkaniec Wrocławia Czesław Bazan, w przeszłości jeden z zesłańców do tego rejonu, aby policzyć i zbadać zsyłkę Polaków na te tereny. Jego wysiłkiem zostały ujawnione dane ponad dwóch tysięcy rodaków, którzy znaleźli się w czasie wojny na terytorium Okręgu Narymskiego. A przecież było wielu zesłanych Polaków w inne rejonu obwodu tomskiego, ich los czeka na swojego badacza.

Jednym słowem, po sporządzeniu listy rozstrzelanych w latach 1937–1938 pozostanie jeszcze niemało „białych plam” w stosunkach polsko-sowieckich, o których przez długie lata władze sowieckie nie chciały wspominać. Ale to temat na osobną opowieść.

Teraz ponownie należy powrócić do losów moich krajan i przypatrzeć się niektórym z nich szczegółowo. Każdy z nich miał swoje życie, swoje marzenia, swoje wyobrażenia o sensie ludzkiego bytu. I wszyscy oni, w swoim czasie, zostali oddani na pastwę systemu niszczącego człowieka.

Ich tragiczne losy

Jak baranek na rzeź prowadzony.

Izajasz 53.7

Ksiądz Michasionek

Ksiądz Mikołaj Michasionek należał do liczby tych nielicznych księży katolickich z Syberii, którzy doświadczyli początku „sowieckiego eksperymentu”, nieodłącznym rysem którego było barbarzyństwo wojującego ateizmu. Duchowni stali się jego pierwszymi ofiarami.

Urodził się Mikołaj Michasionek w rodzinie łotewskiego chłopca na Więbszczyźnie. Ziemia nie ciągnęła go do siebie. W 1911 r. w wieku dwudziestu trzech lat został wyświęcony na kapłana. W dwa lata po ukończeniu Akademii Duchownej w Petersburgu przyjechał do Tomsku. Pełnił obowiązki wikariusza parafii tomskiej, sporo jeździł w sprawach duszpasterskich po ogromnym terenie guberni. Jednym z często odwiedzanych miejsc jego pasterskiej służby była wieś Białystok, gdzie pracował jako proboszcz tutejszej parafii.

Jego działalność jako katolickiego kapłana była tradycyjna i stara tak jak całe chrześcijaństwo: chrzczył dzieci, odprowadzał do wieczności zmarłych, łączył pary małżeńskie, udzielał Komunii świętej i spowiadał. Ksiądz w tych latach nie był tylko księdzem, ale i dobrym doradcą w sprawach ziemskich, obrońcą i sędzią. Ludzie płacili za tę usługę miłością i oddaniem, a przedstawiciele nowej władzy sowieckiej nienawidzili i zarazem bali się. Nienawidzili jako człowieka „starego” świata i wyznawcę kultu religijnego. Bali się jednak go ruszać, widząc gotowość parafian do jego obrony od agresji władzy.

Jednak w 1923 r., nie wytrzymał prowokacji ze strony działaczy partyjnych, kiedy stracił budynek kościelny, zarekwirowany na budynek szkoły,

ksiądz Michasionek zmuszony był opuścić Białystok. Miejscowi staruszkowie opowiadali, że kapłan uciekł z siola, bojąc się aresztowania. O jego dalszych losach niczego nie wiedzieli i dopiero zaznajomienie się z jego aktami śledczymi, założonymi na niego przez organy OGPU z Nowosybirsk w 1927 roku, pozwoliło prześledzić jego dalsze losy życiowe.

Do Nowosybirsk ksiądz przyjechał w 1925 roku, z Tomsk, na prośbę miejscowej wspólnoty katolickiej, żeby odprawiać Msze święte w tutejszym kościele. Jednak radość parafian była niedługa. 4 kwietnia 1927 roku, niedługo przed świętem Wielkanocy, ksiądz został aresztowany, co wywołało wśród parafian wzburzenie. Nie widząc jawnej winy i jakichkolwiek naruszeń prawa sowieckiego, powiązali aresztowanie z życzeniem władz, aby pozbawić katolików Mszy świętej w święta wielkanocne, a następnie zamknąć kościół.

Członkowie komitetu kościelnego napisali pismo do nowosybirskiego OGPU z prośbą o uwolnienie ich księdza, żeby w czasie świąt Paschy Wielkanocnej mógł odprawić nabożeństwa. Czekałi pozostali głusi na te prośby, informując, że ksiądz został aresztowany za bardzo poważne przestępstwa o charakterze kontrrewolucyjnym i nie może być zwolniony z więzienia nawet na pewien czas za poręczeniem parafian.

Podstawowa lista „przestępstw” była zebrana w tak zwanym memorandum materiałów, w którym prezentowano, że ksiądz Michasionek wielokrotnie w czasie prowadzenia religijnych obrzędów w kościołach Tomsk i Nowosybirsk wygłaszał homilie o charakterze antysowieckim, przejawiał „wielki wpływ na słabo uświadomionych katolików, którzy pod jego wpływem przenikali fanatyczną nienawiścią do wszystkiego, co sowieckie...”.

Innym punktem przedstawionego oskarżenia było to, że ks. Michasionek jakoby jeszcze w 1924 roku chciał zbiec do Polski na podstawie fałszywych dokumentów, jednak dokumentów tych nie zdobył. Obwiniano go i o to, że w roku 1925 po aresztowaniu księdza Bugienisa z parafii w Omsku, chciał go oswobodzić za pomocą łapówki i dla tego celu otrzymał z zagranicy tysiąc rubli, czym „poderwał autorytet organów władzy sowieckiej przed zagranicznymi przedstawicielami katolickiego duchowieństwa”.

Poprzez takie oskarżenia próbowali „zmiękczyć” Michasionka śledczy nowosybirskiego OGPU Bielecki, Bogorodickij, Bebrekarle i inni, jednak ksiądz „zmiękczyć” się nie dawał, odrzucając wszystkie oskarżenia. W odniesieniu do sześciuset rubli, zabranych u niego przy rewizji, wyjaśnił, że rzeczywiście, do roku 1927 otrzymywał od biskupa Piotrowskiego z Harbina nieduże sumy pieniędzy na swoje utrzymanie i część z nich chciał przeznaczyć na pomoc dla księdza Bugienisa, ale nie w celu przekupienia władz.

Planował przekazać te pieniądze księdzu Bugienisowi przy wysyłce jego na zesłanie. Czekał na sposobny moment, zebranych pieniędzy nie naruszał, choć sam ledwo wiązał koniec z końcem. Ksiądz Mikołaj był biedny jak mysz kościelna: przy aresztowaniu zabrano mu pusty skórzany portfel i miedziany krzyżyk, przeznaczony do noszenia na piersi, na srebrnym łańcuszku.

Ciężko powiedzieć, jak często i jakimi metodami przesłuchiwało go w ciągu miesiąca, tak jak w jego aktach zapisano, oprócz trzech protokołów przesłuchań, zachowało się jedynie kilka strzępków papieru, napisanych drogą ręką księdza Mikołaja. Kiedy, w jakim fizycznym i duchowym stanie je napisał, można się tylko domyslać. Na jednym z nich napisano, że jeśli on zetknąłby się z oskarżeniami parafian wobec rządu, to jako katolicki kapłan i tak nie doniósłby o tym władzom. Na innym strzępku papieru jego ręką napisano wszystkiego dwa zdania: „Mam takie marzenie, żeby ludzie na całym świecie byli wierzący. Więcej napisać niczego nie mogę”.

Nie zdobywszy „przyznania się do winy” od samego księdza, śledczy zaczęli obrabiać świadków, ale i ci nie dawali przeciwko niemu oczekiwanych oskarżeń. Antoni Żykiewierin, jeden z miejscowych Polaków komunistów, na przesłuchaniu 7 kwietnia wypowiedział pogląd, że ze sprawą księdza „trzeba postępować, jak tylko można ostrożnie”. Po przesłuchaniu wielu osób 27 maja 1927 roku pomocnik naczelnika kontrwywiadu OGPU na Syberii Bebrekarle stwierdził, że sprawa została dostatecznie wyjaśniona i postawił księdzu oskarżenie z dwóch „kontrrewolucyjnych” paragrafów” KK: 58 – 14 (antysowiecka agitacja z wykorzystaniem religijnych uprzedzeń mas) i 58 – 18 (dyskredytacja władzy sowieckiej przez rozprzestrzenianie o niej kłamliwych informacji).

Ale i tu czekałsi rozumieć, że zebranych materiałów nie wystarczy, aby przekazać sprawę do rozpatrzenia przez syberyjski sąd regionalny. W tej sytuacji odprawiono sprawę księdza Michasionka do rozpatrzenia w trybie pilnym przez OSO. Z takim stanowiskiem z jakiegoś powodu nie zgodził się pomocnik regionalnego prokuratora Reichbaum. Jednak organy OGPU w tych czasach nie przejmowały się tak bardzo prokuratorami, uważając ich za „piąte koło” swojej niszczącej maszynierii. Sprawę wysłano do Moskwy do wewnętrznego rozpatrzenia bez sankcji prokuratora, jednak i tu sprawy księdza nie chciano rozpatrywać, wróciła zatem na „poprawkę w formie”.

Ale i za drugim razem pomocnik prokuratora Reichbaum nie złożył swego podpisu pod oskarżycielskim dokumentem i powtórnie nakazał zwolnić księdza z więzienia. Czekiści jednak nie ustępowali: sprawę jeszcze raz wysłano do Moskwy, a razem z nią pismo przewodnie z podpisami Zakowskiego i Baka o następującej treści:

„...jak widać ze sprawy, prokurator nie zgadza się ze skierowaniem jej do OSO. Przyczyna w tym, że nasze zdanie w odniesieniu do Michasionka jemu

jest nieznane. Nie możemy uzupełnić sprawy jeszcze dodatkowymi zeznaniami świadków. Wychodzi na to, że materiały agenturalne na Michasionka powinny być w pełni wystarczające, co najważniejsze, opracowanie ich rezultatów nie jednak nie dało i OGPU uważa za konieczne zesłanie Michasionka".

W tym wypadku kierownictwo OGPU uznało dowody syberyjskich towarzyszy i postanowieniem OSO z 25 listopada zesłano ks. Mikołaja Michasionka, rok 1888 urodzenia, z artykułu 58-6 KK do łagru na trzy lata bez prawa amnestii.

Dla odbycia kary uwięzienia skierowano go na słynne Solowki. Po odsiedzeniu całego wyroku postanowieniem tego samego OSO z 28 kwietnia 1930 r. skierowano księdza do Kraju Północnego jeszcze na trzy lata zsyłki. Dokumentów, co dalej działo się z kapłanem w „sprawie” nie ma, ale nie trudno i bez nich domyślić się, co się wydarzyło: nadeszły jeszcze gorsze czasy, kiedy miejsce duchownych wszystkich religii, a także licznych innych dobrych ludzi Rosji było tylko za kolczastym drutem.

Postscriptum

Kiedy już został napisany ten rozdział o ks. Mikołaju Michasionku, jeszcze nie był znany jego dalszy los w Kraju Północnym. Wysłane zapytanie do archiwum obwodu archangielskiego potwierdziło przypuszczenia o jego tragicznym końcu. Z otrzymanej odpowiedzi wynika, że ks. Mikołaj zmarł w początku maja 1933 roku w mieście Wielki Ustiug, znajdując się na kolejnej zsyłce.

Sybirak Bach

Los nie przyniósł syberyjskiemu Bachowi takiej sławy, jak jego słynnemu niemieckiemu familiantowi. Powiem więcej, nic o nim nie wiedzą nawet współcześni mieszkańcy jego rodzinnej wsi Białystok. A przecież urodził się i mieszkał w tej syberyjsko-polskiej miejscowości, gdzie był muzykiem, organistą kościelnym, dokładnie tak jak słynny Jan Sebastian Bach.

Pierwszy raz o tym swoim ziomku z takiej słynnej rodziny dowiedziałem się ze wspomnień swojej babci ciotecznej Filomeny, która opowiadała, że jeszcze w latach dwudziestych, przed zamknięciem kościoła, na wszystkich uroczystych liturgiach na organach grał Stanisław Bach. Grał tak dobrze i wzruszająco, że ludzie płakali, zachwycając się jego grą.

Co potem stało się z wiejskim organistą, tego nie wiedziała, podobnie nie o nim nie wiedzieli inni starsi mieszkańcy. Wypełnić tę lukę w historii siola pomogły archiwa KGB. Poznając los księży z parafii w Tomsku, a od 1926 r. administratora Kościoła katolickiego na całej Syberii, Juliana Grońskiego, aresztowanego w 1931 roku, wśród materiałów udało odnaleźć się kopię wyroku na siedmiu Polaków, aresztowanych i osądzonych w Nowosybirsku w jednym czasie z ks. Grońskim.

Wśród nich był mieszkaniec Białegostoku, Stanisław Bach, w chwili aresztowania mieszkający w Nowosybirsku i pracujący jako organista w miejscowym kościele. W odniesieniu do wszystkich siedmiu oskarżonych mówiło się o tym, że jakoby od chwili ustanowienia władzy sowieckiej na Syberii „wokół rzymskokatolickiego kościoła w Nowosybirsku grupowały się elementy kontrrewolucyjne, pochodzące spośród bogatych kupców, kamieniczników i innych osób, żyjących z łatwego dochodu, którzy pod okiem gorliwych parafian utworzyli z kościoła centrum działalności antysowieckiej, na przestrzeni kilku lat źle wpływali na całe polskie skupisko w Nowosybirsku.

Będąc przez cały czas blisko związana z wcześniej pracującymi w Nowosybirsku księżmi Żukowskim i Michasionkiem, obecnie skazanymi za szpiegostwo, a w ostatnim czasie z obecnie aresztowanym księdzem administratorem Grońskim, grupa ta prowadziła różne dyskusje kontrrewolucyjne, inspirowane przez wyżej wymienionych kapłanów i szeroko posługiwała się nimi w celach kontrrewolucyjnych”. Stanisław Bach, dodatkowo, nie donosił OGPU na księży, z którymi się spotykał. Inaczej mówiąc, obwiniony był również o to, że nie donosił na swoich ojców duchownych i przewodników.

W zakończeniu oskarżenia w odniesieniu do Bacha i jego sześciu współskazanców mówiło się, że ich sprawa karna będzie rozpatrzona przez kolegium OGPU. Jakie przyjęto rozwiązanie w stosunku do syberyjskiego Bacha, co się z nim stało, dalszych świadectw nie ma.

Możliwe, że dalsze losy życiowe organisty Bacha pozostałyby nieznane, gdyby nie księga „Ludzki ból”. W 1991 r. pracownicy KGB obwodu tomskiego wydali pierwszy tom książki pamięci tomszczan, represjonowanych w latach od trzydziestych do pięćdziesiątych na terytorium obwodu z artykułu 58 KK. Księga składa się z imiennego spisu wszystkich osądzonych z tej kontrrewolucyjnego artykułu. W tym spisie znalazł się też Stanisław Bach, rok urodzenia 1900, mieszkający przed aresztowaniem we wsi Tatianówka w rejonie szegarskim i zatrudniony jako księgowy obwodowego domu inwalidów. W książce przytoczone są tylko dwa słowa: „aresztowany w 1938 r., rozstrzelany”.

Oto trzymam w rękach sprawę karną przeciwko Bachowi, z której wychodzi tragedia człowieka, zniszczonego, ale nie złamanego przez organy władzy.

W protokole jest zawarte, że w 1931 roku został skazany przez GPU na trzy lata pozbawienia wolności, karę odbywał w łagrze bielomorsko-bałtyckim. Wyrok zakończył w roku 1933. W latach 1933–1937 pracował w rejonie ordyńskim na zachodzie Syberii jako księgowy w jednym z oddziałów związku zawodowego, w tym czasie razem z żoną wychowywał córki Janinę i Tamarę. W 1938 r. przeniósł się do rejonu szegarskiego i zaczął pracować w obwodowym domu inwalidów. Został aresztowany 9 lutego przez NKWD razem z sześciu innymi pracownikami wspomnianego domu inwalidów, dawnych kułaków i zesłańców do okręgu narymskiego, a wcześniej mieszkańców zachodniej Białorusi i Estonii.

Wszystkich razem połączono w jedną kontrrewolucyjną szpiegowsko-dywersyjną grupę polskich kułaków, działających w domu inwalidów. W ciągu kilku dni przesłuchań cała szóstka „przyznała się” do udziału w wyżej wymienionej grupie, nawzajem siebie oskarżając i swoich towarzyszy niewoli.

Jedynie Stanisław Bach obstawał przy swoim, z uporem odrzucając wszystkie skierowane przeciw niemu oskarżenia i „fakty” antysowieckiej agitacji. Owe „fakty” zostały zaczerpnięte z przesłuchań kierownictwa domu inwalidów, głównie od Makarowa i Filimonienki.

Ten ostatni o Bachu napisał: „Bach jest wrogo nastawiony do władzy sowieckiej i od chwili przybycia do domu inwalidów zaczął aktywnie prowadzić wśród pracowników agitację kontrrewolucyjną. I tak, w początku lutego 1938 roku na jednym ze spotkań mówił, że władza sowiecka funkcjonuje od dwudziestu lat i przez ten czas wysłała niemało krwi narodu, zajmując się grabieżą i rozbojem. Nigdy jej nie zaspokoisz, choćbyś nie wiem jak wiele pracował, a w razie czego zawsze będziesz winny. (...) A w styczniu mówił tak: „Co to jest sowiecka konstytucja? To po prostu paplanina i zostanie jedynie paplaniną. Ona niczego nie daje – staje się to jasne od samego początku jej adaptowania do życia. Ona w żadnym stopniu nie chroni interesów robotników, mówi się w niej jedno, a czyni drugie...”. Dodawał jeszcze: „Mówi się, że przez dwadzieścia lat władzy sowieckiej wiele budowano i zbudowano, ale przecież ciągle niczego nie ma, a jedyne co jest, to zbudowali więźniowie...”.

Całkiem możliwe, że Stanisław Bach naprawdę tak myślał, bo doświadczenie budowniczego Bielomorkanału otworzyło mu na wiele spraw oczy, ale żeby takie rzeczy opowiadać mało znanym osobom, a tym bardziej, członkowi partii i komsomołu, nie wydaje się możliwe.

Śledczych NKWD, co oczywiste, interesowały także związki rodzinne Bacha, z których chcieli wydobyć nie tylko polskie pochodzenie, ale i niemieckie jego rodziny, ale w tym punkcie ich rozczarował. W czasie przesłuchania

17 lutego śledczemu Piesockiemu powiedział, że nie zna pochodzenia swojej rodziny, a sam urodził się na Syberii. Do rewolucji jego rodzina zajmowała się rolnictwem, obrabiając wszystkiego osiem dziesięcin ziemi, z dobytku posiadając jedynie dwie krowy, dwa konie i drewniany pług.

On sam uczył się w latach 1922-1925 w szkole muzycznej w Tomsku. Był organistą w kościołach Nowosybirsk, Tomsk i rodzinnej wsi Białystok. Spośród krewnych wymienił tylko matkę, żyjącą w Tomsku i swojego brata Pawła, pracującego jako rachunkowiec.

Śledztwo w sprawie Stanisława Bacha, nie patrząc na jego uporczywe uchylanie się od przyznania się do winy i obciążanie innych, mimo kategorycznego sprzeciwu do potwierdzenia oskarżeń skierowanych przeciw niemu przez innych pracowników domu inwalidów, szło nadal swoim biegiem.

W akcie oskarżycielskim w sprawie S. Bacha, potwierdzonym przez naczelnika miejskiego oddziału NKWD w Tomsku Owczynnikowa, stwierdza się, że w prowadzonym śledztwie dowiedziono, że Bach był aktywnym uczestnikiem kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej powstańczej organizacji, do której został zwербowany przez syna ziemianina Rybincowa. Razem z nim przygotowywał plan wykonania zamachu terrorystycznego wobec miejscowych robotników na początku wojny, zebrał szereg dokumentów o charakterze szpiegowskim i przekazał je Rybincowowi, aktywnie prowadził faszystowską, kontrrewolucyjną propagandę, pobudzał nastroje defetystyczne, propagował oczerniające kłamstwa skierowane przeciwko władzy sowieckiej i partii".

Jednym słowem, standardowe obwinienie, jakich w tych czasach napisano miliony. Typowy był też wyrok – rozstrzelanie z postanowienia OSO NKWD z 9 kwietnia 1938 r. Wyrok wykonano 8 maja 1938 roku w Tomsku.

Nie uniknął losu Stanisława Bacha także jego brat Paweł, rozstrzelany w Tomsku 2 czerwca 1938 roku, który, w odróżnieniu od niego, do „wszystkiego się przyznał”. W tym momencie można postawić kropkę przy opisywaniu losu muzyka ze światowej sławy nazwiskiem. Zwykły los tego czasu.

Postscriptum

Pierwsza wersja tego tekstu została opublikowana w gazecie „Narodnaja Trybuna” 2 grudnia 1992 r. Nie znając losów jego żony i córek, w końcu tekstu poprosiłem o odzew tych czytelników, którzy mogli o tym cokolwiek wiedzieć. Nieoczekiwanie dla mnie list z odpowiedzią z Nowosybirsk przysłała jedna z córek Bacha, Janina. Niedługo potem spotkalismy się w Tomsku. Janina Bach przywiozła ze sobą zachowane fotografie rodzinne, opowiedziała o sobie i swojej siostrze Tamarze, mieszkającej w Magnitogorsku.

Ich osobiste losy w niczym nie odbiegały od losów wielu córek i synów „wrogów ludu”, okazując się na wiele lat odszczepieńcami w swojej ojczyźnie. Ale pani Janina, podzieliła się ze mną także swoimi małymi radościami rodzinnymi. Opowiedziała, że w swoim czasie chciała zostać muzykiem, jak jej ojciec, ale się nie udało. Ale teraz, wiele nadziei wzbudza jej wnuk, już kolejny raz występujący na muzycznych wieczorach i koncertach w nowosybirskim konserwatorium. Niezrealizowane muzyczne zdolności Stanisława Bacha znalazły swoje przedłużenie w prawnuku.

Sama pani Janina jest parafianką Kościoła katolickiego w Nowosybirsku, gdzie zdarza się jej słuchać gry miejscowego organisty, wykonującego znajome z dzieciństwa utwory. Niekiedy w takich chwilach wydaje się jej, że to gra jej ojciec.

Polski zbieg Burzemowski

Poczynając od wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, dla wielu Polaków, którzy kolejną losu znaleźli się na terytorium Sowieckiej Rosji, głównym celem było dążenie do wyrwania się z „socjalistycznego raju” do niepodległej Polski.

Jednak byli i tacy, którzy dobrowolnie przechodzili granicę w odwrotnym kierunku. Takich ludzi w ZSRR nazywano „polskimi zbiegami”.

Różni to byli ludzie... Nielegalnie przedzierali się do socjalistycznej Rosji polscy komuniści, obawiając się represji ze strony rządów „pańskiej” Polski za ich działalność. Przechodzili granicę ludzie otumanieni, którzy uwierzyli bolszewickiej propagandzie o wielkich możliwościach ludzi pracy w Sowietach. Uciekali na sowiecką stronę kryminaliści i dezterterzy z polskiej armii, obawiający się polskiego prawodawstwa.

Wszystkich ich, nie patrząc na zróżnicowane położenie socjalne i przynależność do różnych formacji komunistycznych, w końcu spotkało jedno i to samo – skrupulatna kontrola z punktu widzenia sowieckiej prawomyślności, filtracja i segregacja, a w końcu lata życia pod stałą kontrolą organów OGPU – NKWD aż do roku 1937, roku ich aresztowania jako polskich szpiegów.

Mieszkali „polscy zbiegowie” także i w moim rodzinnym Białymstoku. W 1933 roku dyrektorem białostockiej szkoły był Konstanty Chwalko. Do przejścia granicy działał jako członek partii komunistycznej zachodniej Białorusi i był dobrym przyjacielem Wasyla Szarangowicza, sekretarza tej partii. Po Chwałce dyrektorem szkoły do 1937 roku był Piotr Czerwony, który

w 1925 roku przeszedł sowiecko-polską granicę w celu otrzymania w ZSRR wyższego wykształcenia.

Przez pewien czas mieszkał we wsi Włodzimierz Burzemowski, kolejny polski uciekinier. Z jego losem zapoznałem się, studiując archiwalne akta śledcze, przygotowane na niego w 1937 roku.

Burzemowski pojawił się w Białymstoku w 1935 roku razem z trzema innymi towarzyszami. Żyli z wiercenia studni, a także okazjnie wykonywali wiele innych prac. Niedługo potem Włodzimierz ożenił się z dziewczyną z sąsiedniej wsi Wozniesienki i osiedlił się tam na stałe. W tym miejscu urodziła się jego córka Walusia. Rodzina zakupiła niewielkie gospodarstwo, do kolchozu nie zgodził się jednak wstąpić. Dorabiał sobie, zajmując się myślistwem.

Jak wykazują dokumenty archiwalne, od dnia przejścia granicy w 1927 roku jako zbieg znajdował się w specjalnej ewidencji OGPU – NKWD. W 1932 roku był podejrzany przez OGPU w sprawie o podpalenie składów „Zagotlen” w centrum rejonowym, ale wówczas udało mu się wykazać swoją niewinność.

1 kwietnia 1937 roku w rejonowym oddziale NKWD wypisano na niego postanowienie o aresztowaniu o nr 44, jednak aresztowano Burzemowskiego dopiero po dwudziestu trzech dniach od tej daty. Przedstawiono mu zarzuty uczestnictwa w grupie kontrrewolucyjnej działającej w Kriwoszeino, składającej się z zesłańców, razem z którymi, obok innych „wrogich działań” planował podpalenie państwowych magazynów kolchozowych.

Jak wynika z materiałów sprawy, los Burzemowskiego dzierżyli w rękach dwaj śledczy NKWD: w Kołpaszewie – Koch, w Kriwoszeinie – Kiperwas. Podstawą aresztowania Burzemowskiego były zeznania aresztowanego i osądzanego w początku 1937 roku Timofieja Gnutikowa. Na przesłuchaniu 12 kwietnia zeznał, że w czasie żniw Burzemowski okazał pomoc Timofiejowi Kniaziukowi w ukryciu zboża przed oddaniem państwu. Donosił, że Burzemowski groził śmiercią przewodniczącemu rady wiejskiej, a w mieszkaniu Jana Kisiela, czytając gazetę i zobaczywszy w niej fotografię członków władzy sowieckiej, miał powiedzieć: „gdyby tak tutaj cisnąć bombę, wtedy od razu zachwiałaby się władza sowiecka”.

Oprócz donosów Gnutikowa, przeciwko Burzemowskiemu zgromadzono zeznania współmieszkańców wsi, w tym w szczególności, kolchoźnika Fiedota Kriuczkowa, który stwierdził na przesłuchaniu, że Burzemowski niejednokrotnie mówiąc o kolchozie obrażał go różnymi słowami. A pewnego razu, jadąc na koniu, chlasnął batem w niego i Iwana Kolbeka, krzycząc: „Z drogi kolchoźnicy”.

Po aresztowaniu Burzemowskiego zbiórka materiałów przeciwko niemu zaczęła się z nową siłą. Do Wozniesienki wysłano funkcjonariusza NKWD Chudiakowa po zdobycie nowych dowodów.

Burzemowski w czasie pierwszego przesłuchania przyznał się do tego, że sporządził fikcyjne dokumenty, żeby otrzymać paszporty na prośbę krewnych żony i potwierdził owe dokumenty fałszywą pieczęcią białostockiej rady wiejskiej, która znajdowała się u braci Dymba. Swoją udział w podrobieniu dokumentów Burzemowski wyjaśnił tym, że chciał pomóc ludziom w otrzymaniu paszportu do wyjazdu ze wsi. Do innych zarzutów o charakterze kontrrewolucyjnym z uporem się nie przyznawał. Tego z kolei z uporem domagał się od niego czekista Kiperwas, prowadząc przesłuchanie za przesłuchaniem.

Śledczy Koch, kończąc sprawę wobec grupy zesłańców, w odniesieniu do Burzemowskiego stwierdził, że „podtrzymywał on bliskie związki z członkami grupy, jednak przestępstwa dokonywał nie z tymi ludźmi”.

Sprawa Burzemowskiego została ostatecznie przekwalifikowana na „czysto kryminalną”. Dla zakończenia śledztwa jego ponownie skierowano z Kołpaszewa do Kriwoszeina, do dyspozycji tamtejszego naczelnika NKWD.

Gdyby nie „czekistowska gorliwość i partyjna czujność” naczelnika NKWD Kiperwasa, być może Burzemowski otrzymałby nieduży wyrok. Tak się jednak nie stało. Naczelnik NKWD bardzo chciał wykazać się i ujawnić w swoim rejonie nieco więcej niż inni antysowiecystów, szpiegów czy innych „niedobitków”. Tym bardziej, że kierownictwo okręgowe NKWD okazało swoje niezadowolenie z powodu słabego tempa prac w rejonie, gdy chodzi o ujawnienie wrogów w tej właśnie kategorii.

Ponownie Kiperwas skierował swojego pracownika Chudiakowa do Wozniesienki, żeby przesłuchiwał grupę kolchoźników. Niezbędne przesłuchania śledcze przeciwko Burzemowskiemu zostały zebrane.

Należy zauważyć, że w tym okresie śledztwa z powodu „polskiego zbiega” przesłuchano jedenastu ludzi i wszyscy, w ten czy inny sposób, przekazali niezbędne przeciwko niemu świadectwa. Jedynie księgowy kolchozu Mama-jew w czasie przesłuchania 7 czerwca krótko stwierdził, że żadnych antysowieckich wystąpień w swoim domu od Burzemowskiego nie słyszał. Jednak to Kiperwasa już nie interesowało, skoro tego dnia postanowił rozszerzyć zarzuty wobec Burzemowskiego o polityczny artykuł 58-10.

Ponownie rozpoczęły się dla oskarżonego przesłuchania dążące do przyznania się przez niego do politycznych wykroczeń. Obwiniony stał jednak na swoim, z uporem odrzucając wszystkie przedstawiane mu „fakty” antysowieckiej agitacji. 16 i 23 czerwca 1937 roku Kiperwas osobiście prowadził kon-

frontacje z udziałem świadków (w innych przypadkach takich praktyk nie stosowano). Jednak i w ich trakcie Burzemowski odmawiał przyznania się do winy odnośnie paragrafu 58, dobrze rozumiejąc, że z tym „przyznaniem” jego wyrok będzie o wiele surowszy. W trakcie jednego z przesłuchań 16 czerwca na pytanie śledczego, czy miałby życzenie wrócić do Polski, szczerze zeznał, że nie miałby nic przeciwko wyjazdowi do Polski, żeby spotkać się z ojcem.

Jeszcze w trakcie pierwszego przesłuchania Włodzimierz Burzemowski nie uciekł od pytania o motyw przejścia granicy i dość dokładnie na nie odpowiedział. Stwierdził, że pracując jeszcze jako parobek w Wilnie, zapragnął uciec z Polski do Sowieckiej Rosji żeby móc zdobyć wykształcenie, bo nie miał do tego możliwości i środków. Okoliczność nadarzyła się dopiero w 1927 roku wraz z poborem do polskiej armii. Po zmobilizowaniu w dwa tygodnie został skierowany do szkoły podoficerskiej w Mołodecznie. Stamtąd sowiecka granica była już na wyciągnięcie ręki.

Tym sposobem dezerterski Burzemowski przesłużył w polskim wojsku wszystkiego jeden miesiąc i osiem dni, ale tego było wystarczająco dużo, aby w oskarżeniu pojawił się niebagatelny dla wyroku zapis. Zapis o tym, że był byłym kursantem szkoły podoficerskiej 86 pułku piechoty WP, a nie byłym wieśniakiem – parobkiem, posiadającym wszystkiego trzy klasy wykształcenia w wiejskiej szkole.

W czasie przesłuchania 23 czerwca Burzemowski nie wytrzymał czekistowskiego naporu Kiperwasa i po części przyznał się do winy antysowieckiej agitacji, wspominając, że „wypiwszy, mogło się zdarzyć, że coś tam powiedział”.

Wszystko. Czekista Kiperwas był zadowolony. Jeszcze tego samego dnia naczelnik oddziału NKWD własnoręcznie podpisał oskarżenie wobec osłabłego od przesłuchań Burzemowskiego, zaliczając do jego przewinień i to, przed czym Włodzimierz do końca się bronił i nie przyznawał. Napisał, że obwiniony prowadził systematyczną kontrrewolucyjną agitację wśród chłopstwa, szkalował prowadzone we wsi przedsięwzięcia partii i władzy sowieckiej, wspierał faszystowską działalność trockistów, wykazywał terrorystyczne zamiary wobec członków władzy sowieckiej i wiejskiemu aktywowi.

Sprawa była gotowa, została więc skierowana przez narymski oddział NKWD do kolegium specjalnego Sądu zachodniej Syberii, a sam obwiniony etapowany do więzienia tomskiego. Ostatecznie o losie Burzemowskiego postanowiło nie specjalne kolegium, a nabierająca coraz groźniejszego wydźwięku siła o nazwie „trojka”. O jej postanowieniu świadczy dokument – wypis z protokołu:

„Włodzimierz Burzemowski, urodzony w 1905 roku w Wilnie, polski zbieg. Prowadził wśród kołchoźników kontrrewolucyjną propagandę skierowaną

przeciwko władzy sowieckiej, popierał kontrrewolucyjną działalność trockistów, zwiąawszy się z kryminalistami, zaopatrywał ich w fikcyjne dokumenty.

Postanowiono: Włodzimierza Burzemowskiego – rozstrzelać. Należący do niego majątek osobisty należy przekazać do archiwum.

Rozstrzelano Burzemowskiego 28 sierpnia 1937 roku. Był pierwszym „wrogiem ludu” odnalezionym przez sowieckie służby specjalne wśród moich krajan w 1937 roku. Następni czekali w kolejce. Burzemowski został zrehabilitowany 27 lipca 1989 r.

„Zamożny gospodarz”

W naszej wsi Białystok gospodarstwo rolnicze Józefa Gryka, nawet w czasach indywidualnej gospodarki, uważane było za jedno z zamożniejszych. Przyjechawszy na Syberię jako jedenastoletni chłopak, razem ze swoim ojcem, spod Grodna, razem z dorosłymi wziął udział w zagospodarowywaniu się w nowym miejscu. Karczował, orał, siał, żął. Przyszedł czas – ożenił się, usamodzielniał od ojca, poszedł na swoje. Własnymi rękami zbudował dwupoziomowy dom. Stopniowo, dzięki wieloletniej pracy, od wschodu do zachodu dnia, życie wstępowało w normalne łożysko. Opoką w starości miało stać się potomstwo: siedmiu synów i córka.

Jednak pewien niepokój był obecny w duszy Józefa: z wszystkich stron władza dusiła podatkami, kontygentem zboża, niektórzy z wiejskich aktywistów męczyli, żeby odprowadzać osobiste podatki, zbliżała się kolektywizacja...

W jeden z wieczorów przebywający u nich w domu przewodniczący rady wiejskiej „po przyjacielsku” poradził Józefowi, żeby wyjechał ze wsi, inaczej zostanie rozkułaczony i zesłany, „gdzie pieprz rośnie”. Nie pozostało nic innego, jak sprzedać za bezcen zdobyte przez lata dobro i wyjechać z rodzinnych stron. Nie on jeden wówczas pozbywał się zdobytych własnym potem dóbr i wyjeżdżał tam, gdzie wydawało się, będzie spokojniej. W ten sposób Józef Gryk znalazł się w 1932 roku w rejonie kożewnikowskim w zachodniej Syberii. Osiedlił się w niewielkiej wiosce Nikiforówce i ponownie zaczął uprawiać matkę – karmicielkę ziemię. Szczęśliwie, że ziemia była w tym rejonie bardzo urodzajna. Po niedługim czasie odżył w nowym miejscu. Jednak i tu władza była taka sama, jak gdzie indziej w Sowietach: dostawy zboża, podatki, kolektywizacja.

Podatki płacił regularnie, jednak odmawiał kategorycznie wstąpienia do kołchozu. W ten sposób postępowali również jego sąsiedzi, tacy sami rolnicy jak on, dodatkowo Polacy z narodowości. W ten sposób kołchoz nie powstał w polskiej wsi Nikiforówce aż do roku 1938. Wtedy zaczęła się inna kampania.

20 stycznia 1938 roku i do tej wsi, zapomnianej przez Boga, przyjechali po polskich mężczyzn funkcjonariusze NKWD. Zaszli także do domu Józefa Gryka, jednak nie zastali go w domu. Ponad pół roku ukrywał się przed aresztowaniem, jednak koniec końców został wysledzony przez przewodniczącego rady wiejskiej i aresztowany.

Co się z nim stało później, udało się ustalić z materiałów śledczych, przechowywanych w archiwach tomskiego KGB. O okolicznościach swojego aresztowania Józef napisał sam w skardze do przewodniczącego Sądu Najwyższego ZSRR w maju 1940 r., z miejsca uwięzienia.

„5 czerwca 1938 roku aresztował mnie przewodniczący osinowskiej rady wiejskiej i skierował do rejonowej izolátky śledczej, gdzie przebywałem przez dwa dni. Potem wysłano mnie do tomskiego więzienia, gdzie przesiedziałem kolejne sześć dni. Tam wzywano mnie, żebym podpisał materiały odnoszące się do mnie, ale prosiłem, żeby najpierw mi je odczytano. Jednak nie przeczytano ich, a kazano jedynie je podpisać. Zmuszony byłem to zrobić. Po złożeniu podpisu ponownie osadzono mnie w więzieniu, gdzie przesiedziałem siedem miesięcy do 6 lutego 1939 roku. Potem odprawiono mnie w etap, nim to się stało, odczytano mi wyrok ośmiu lat pozbawienia wolności. (...) Według mojej opinii zostałem pozbawiony wolności jako nacjonalista, ponieważ moi rodzice mieszkali w Polsce”.

Na czym w rzeczywistości polegała wina Gryka i kto „sklecił” jego sprawę? Odpowiedź odnajdujemy w jego materiałach śledczych. Postanowienie o aresztowaniu wystawił porucznik bezpieczeństwa Romanow, czasowo spełniający funkcję naczelnika tomskiego oddziału NKWD, potwierdził ją major Malcew, wniósł oskarżenie podporucznik Gorbienko, a całą wstępną pracę (prowadzenie przesłuchań, przygotowanie oskarżenia) wykonał sierżant Iwanow. Są dwa protokoły przesłuchań: z 6 lipca, gdzie są zapisane dane aresztowanego, i z 16 lipca, w którym napisano, że oskarżony przyznał się do bycia członkiem szpiegowsko-dywersyjnej nacjonalistycznej grupy, która jakoby jawiła się jako jedna z rezydentur organizacji działającej na terenie całej zachodniej Syberii.

Do przywódców grupy zaliczono dwóch ludzi (latem 1939 r. z Polaków mężczyzn nikt na wolności się już nie znajdował): Adama Zgórskiego, rok urodzenia 1891, ślusarza z Kożewnik, zesłanego w 1933 roku na pięć lat na

Syberię z Mińska i Józefa Gryka. Jednak jeszcze wcześniej przed przesłuchaniami, naczelnik Gorbienko w postanowieniu o postawieniu zarzutów winy napisał, że obywatel Gryk, urodzony w Polsce, nielegalnie przekroczył granicę. Dalej w tym dokumencie mówi się, że koźwennikowskie NKWD dysponuje danymi o tym, że Gryk i Zgórski szerzą kontrrewolucyjne wymysły o rychłym nadejściu wojny państw faszystowskich przeciwko ZSRR i nieuchronnym upadku władzy sowieckiej. Jakoby oczerniają przywódców partii i władzy, prowadzą kontrrewolucyjną agitację wśród kolchoźników za występowaniem z kolchozu, prowadzą korespondencję z krewnymi mieszkającymi za granicą i wychwalają życie w faszystowskich, kapitalistycznych krajach".

Za to wszystko Józef Gryk i Adam Zgórski otrzymali od „trojki” 19 października 1939 r. po osiem lat łagrów. Udało się im. Jeśliby to posiedzenie „trojki” rozpatrywało ich sprawę kilka miesięcy wcześniej – nie uniknęliby rozstrzelania. A tak – trafił się im łagier.

Napisawszy w 1940 r. skargę do NKWD, Józef Gryk prosił, żeby jego sprawę rozpatrzyć ponownie. Nie przyznawał się do winy.

Rzecz niewiarygodna, jego skarga doszła do wysokich instancji i zostało wyznaczone nowe rozpatrzenie jego sprawy. 19 lutego 1941 roku zostały przesłuchane dawne krajanki Gryka – Malwina Lekarzewicz i Helena Gawicka. Obydwie kobiety, nie zważając na strach (obaż mężowie byli aresztowani przez NKWD), scharakteryzowały Józefa Gryka jako dobrego współmieszkańca wsi i posłusznego prawu obywatela, zawsze w terminie wypełniającego wszystkie finansowe i naturalne płatności wobec państwa. Stwierdziły także, że nigdy żadnych kontrrewolucyjnych stwierdzeń od niego nie słyszały. Jednak ich świadectwa nie zostały włączone do sprawy, innych działań śledczych nie podjęto i żadnego postanowienia w tej sprawie nie przyjęto.

Jak wiadomo, życie łagierne to nie miód. Każdy dzień mógł być dniem ostatnim życia „zwykłego sowieckiego aresztanta”. W ten sposób mijał dzień za dniem. Jeden rok odsiadki zmieniał kolejny i nie było widać końca kary. Jak potem opowiadał Józef swoim krajanom, w łagrze zajmował się pleceniem łapci dla więźniów, stracił wszystkie zęby i poważnie obawiał się, że nie zostanie już długo wśród żywych.

O tym, że nie uznawano go za żywego już na tym świecie, mówi postanowienie kierownictwa łagru z 5 lutego 1943 roku o skierowaniu go na komisję i przedterminowym zwolnieniu. Zgodnie z dyrektywą komisariatu prawa i prokuratora ZSRR z 23 października 1942 roku, kierownictwa łagrów powinny przedterminowo zwalniać wszystkie tzw. beznadziejne przypadki, nie rokujące na przeżycie, żeby ci ludzie umierali w domu. Gryce się „udało”, a dzielący jego los Adam Zgórski, nie wytrzymał trudów łagiernego życia i 15 stycznia 1945 r. zmarł.

Gryk został zwolniony z łagru, żeby umrzeć w domu. Jego odwołanie, napisane jeszcze w 1940 r., o ponowne rozpatrzenie sprawy, przeleżało na biurokratycznej taśmie typowo sowieckiego przeciągania spraw. Dopiero 13 września 1945 r. (pięć lat od napisania prośby) skarga Gryka trafiła do przedstawiciela nowego powojennego pokolenia organów CzK – OGPU – NKWD – MGB, do śledczej MGB w obwodzie tomskim Elizawiety Babikowej.

Czekistka Babikowa wychowana w najlepszych tradycjach „sławnych czekistów” lat trzydziestych, rozpatrując skargę oskarżonych Gryka i Zgórskiego, doszła do przekonania, że oni zostali osądzeni absolutnie prawidłowo. W swoim postanowieniu napisała, że do udowodnionych „przestępstw” oskarżeni się przyznali, „zdemaskowani zostali zeznaniami dwóch ludzi, a także, że Gryk został zwolniony z łagru w związku ciężką chorobą”. Postanowiła staranie się Gryka o rozpatrzenie sprawy zostawić bez zadośćuczynienia. Jednym słowem, tak jak dawniej Józef Gryk był nadal wrogiem ludu, pozbawionym wszystkich praw i środków do przeżycia.

Nie udało mi się poznać Józefa Gryka, ale Elizawietę Babikową owszem tak. Przez osiem lat, do 1985 roku, miałem okazję ją regularnie spotykać, pracując w Instytucie Inżynieryjno-Budowlanym w Tomsku. Zatrudniony byłem wówczas w katedrze ekonomii politycznej, a ona była docentem sąsiedniej katedry historii Komunistycznej Partii SRS. Była w tym czasie człowiekiem znanym i poważanym – starszy doświadczony pedagog, wychowawca młodzieży, weteran pracy i partii, w święta często w odświętym stroju siedziała w prezydium, otrzymując liczne rządowe nagrody.

Nie domyślałem się w tym czasie jej czekistowskiej przeszłości. Dopiero w 1989 r. ze wspomnień byłego śledczego KGB Spragowskiego i byłego więźnia Gułagu Aleksieja Kropoczki wynikało, że Babikowa po wojnie uczestniczyła w fałszowaniu wielu spraw karnych. Na froncie nigdy nie była, a swoje wojenne nagrody zarabiała na czekistowskiej niwie.

Jak ona przesłuchiwała podsądnych nie wiem, ale widziałem, wiele lat potem, jak egzaminowała z historii KPZR swoje studentki. Proszę wyobrazić sobie taki obrazek: siedzi poważna docent Babikowa za stołem, z papierosem Biełomor w ustach i beczynnie słucha, jak wdychając dym papierosowy, coś tam szepcze młoda studentka o „twórczej i kierowniczej roli partii”. Jak tu nie przypomnieć słów, że przyzwyczajenie jest drugą naturą. Jednak, Bóg z nią, z Babikową. Koniec końców, nie ona sfalsyfikowała sprawę Józefa Gryka i nie o niej jest ta opowieść.

Wróćmy do losu Józefa Gryka. Wbrew prognozom strażników łagiernych on nie umarł w domu. Chłopska odporność, przyzwoite jedzenie pozwoliły

mu przeżyć i powrócić do tego świata. Po zwolnieniu z łagru ponownie zamieszkał w miejscu swojej młodości.

Najpierw mieszkał w Kriwoszeinie, potem przeprowadził się do Białego-stoku, czyli tam, gdzie przeszła większość jego życia, gdzie byli pochowani krewni i bliscy. Marzył o tym, żeby ponownie stanąć na nogi, zaczął hodować bydło, trzodę chlewną, inną żywołę. Nawet paraliż żony Stefanii nie odsunął go od tej odwiecznej powinności gospodarza. Mieszkał we wsi cicho i niepostrzeżenie, starając się w niczym nie przypominać „organom”, że on jeszcze jest na tym świecie: tak, aby ponownie nie odprawili go, żeby dokończył swój wyrok.

Dopiero w 1959 roku postanowił napisać pismo do obwodowego KGB z prośbą o wystawienie mu dokumentu o „nie uczestniczeniu w jakimkolwiek przestępstwie”, zaznaczając, że dokument taki jest mu potrzebny dla ustanowienia stażu pracy. Ponad siedem miesięcy czekał na odpowiedź i jej nie otrzymał, więc 28 listopada 1959 roku ponownie skierował pismo, tym razem do prokuratora obwodu. Teraz dopiero sprawie nadano bieg.

Po wnikliwym rozpatrzeniu jego sprawy karnej Trybunał Syberyjskiego Okręgu Wojskowego z 25 stycznia 1960 roku postanowienie „trojki” NKWD z października 1938 roku w sprawie Gryka i Zgórskiego postanowił zaliczyć do „nie posiadających cech przestępstwa”.

Jednak z bezcennym dokumentem o rehabilitacji Józefowi Grykowi nie przyszło długo żyć jako pełnoprawnemu obywatelowi. Pewnego razu trafił on na „gorącą rękę” jednego z kołchozowych aktywistów i został bezkarnie pobity do tego stopnia (głowa została poważnie uszkodzona), że 8 marca 1961 roku po wylewie krwi do mózgu i paraliżu zmarł.

Nic obecnie nie przypomina we wsi zamożnego chłopca Józefa Gryka. Jedynie o zbocz, gdzie niegdyś stał jego dwupiętrowy dom, staruszkowie powiadają jak dawniej „Grykowa Góra”.

Bracia – „kryminaliści”

O braciach Wincentym i Piotrze Markiszach słyszałem w dzieciństwie od swojej babci jako o miejscowych kryminalistach, którzy jeszcze w początku lat trzydziestych popełnili morderstwo z grabieżą na jakimś przejeżdżnym chłopaku. W czasie długich zimowych wieczorów babcia Gabriela, ustępując naszym natarczywym młodzieńczym prośbom, opowiadała o dawniejszym

życiu we wsi. Wśród innych była także opowieść o dwóch braciach, którzy za konia i pieniądze dopuścili się zabójstwa człowieka.

Przez długie lata o tym przestępstwie, popełnionym przez Wincuka i Pietruka (tak ich nazywano we wsi), wśród staruszków panowało ugruntowane przekonanie jako o niemal jedynym wyroku sprawiedliwym wydanym przez sowieckie prawodawstwo w odniesieniu do mieszkańców wsi. Mało tego, niektóre kobiety mówiły, że Markiszowie dostali za zabójstwo po dziesięć lat więzienia, a ich małżonki po prostu tak, z nieznanego im paragrafu politycznego, zaginęły nie wiadomo gdzie.

Prawdziwych informacji o losie braci – kryminalistów we wsi nikt nie znał. Chodziły jedynie słuchy, że w jakimś łagrze jeden z nich został jakoby rozrywany przez psy w czasie próby ucieczki, a drugi odsiedział swoją karę i wrócił. Przez jakiś czas mieszkał w stolicy rejonu, a potem wyjechał gdzieś i ślad po nim zaginął. Możliwe, że tak by ta legenda o kryminalnej przeszłości moich dwóch krajan pozostała, gdyby nie nowa fala rehabilitacji z początku lat dziewięćdziesiątych i opublikowanie spisów osób rehabilitowanych.

Nieoczekiwanie w tych spisach znalazłem świadectwa o braciach Markisz, aresztowanych i osądzonych za czysto kryminalne przestępstwo. Wyjaśnić metamorfozę ich losu pomogły archiwalia śledcze, sprawa nr 8776, założona przeciw nim już w miejscu aresztowania i przechowywana do obecnego czasu w archiwum KGB.

Oto o czym się dowiedziałem z kilku dziesiątków pożółkłych stron, zszytych w jeden nieduży tom.

Piotr Markisz, pracujący do aresztowania jako dziesiętnik w budownictwie drogowym, ojciec sześciu dzieci, oraz jego młodszy brat, już żonaty, Wincenty, zostali aresztowani 5 i 6 maja 1937 roku przez milicję rejonową z podejrzeniem o morderstwo. Sąd rejonowy 13 września uznał ich winnymi i skazał z artykułu 166 na: Piotra – dziesięć lat łagrów, Wincentego – na osiem lat, z pozbawieniem obu na pięć lat praw obywatelskich.

Jakichkolwiek innych oficjalnych świadectw o motywach i okolicznościach popełnionego przez braci morderstwa, w tych dokumentach nie ma, ale za to szczegółowo opisany jest dalszy los braci – kryminalistów, nieoczekiwanie dla siebie, szybko zaliczonych do więźniów „politycznych”.

Znajdując się w łagrze, bracia bez widomego powodu w marcu 1938 roku zostali aresztowani i przewiezieni do tomskiego więzienia, gdzie ich drogi rozeszły się na pewien czas: każdemu pisany był inny los. W styczniu 1939 roku Wincenty Markisz dowiedział się, że obecnie uważa się go nie za kryminalistę, a „kontrrewolucjonistę”, osądzonego przez „trojkę” NKWD z artykułu 58-6 (szpiegostwo) na osiem lat łagru.

Zmiana „socjalnego statusu” w łagrze go nie urzędzała i dlatego Wincenty Markisz z łagru w lipcu 1939 roku napisał skargę do prokuratora ZSRR z prośbą o ponowne rozpatrzenie jego sprawy, twierdząc, że został nieprawidłowo skazany nie z tego co trzeba paragrafu. W swoim piśmie napisał, że jakiegokolwiek śledztwa i „jawnego” sądu w sprawie artykułu 58 nie było. O co jest oskarżony, on nie wie, i tutaj naiwnie dodaje:

„Czy tylko to, że jestem z narodowości Polakiem, może świadczyć o moim szpiegostwie? Kim ja jestem? Urodziłem się w 1909 roku w rodzinie chłopca, w Polsce nigdy nie byłem. Od najmłodszych lat pracowałem jako najemnik u innych. W ostatnich latach pracowałem w Tomsku jako ładowacz”.

Zakończył skargę prośbą o zwolnienie z łagru, ponieważ jego niewinność „jasno można udowodnić przez zapoznanie się ze sprawą”. Skardze nadano bieg i sprawa Wincentego Markisza została rozpatrzona, ale wyrok „trojki” został pozostawiony bez zmiany.

W dokumentach śledczych znajdują się protokoły przesłuchań z przyznaniem się do winy Wincentego, jak i jego brata Piotra, jak również dwóch braci Gawiłowskich, Polaków z rejonu tiazińskiego z Zachodniej Syberii. Gawiłowscy, podobnie jak bracia Markiszowie, skazani zostali w 1937 roku z paragrafów kryminalnych na osiem i pięć lat. Jeden z nich pracował jako księgowy, a drugi jako kierownik magazynu. Przesłuchania wszystkich czterech oskarżonych prowadzone były przez sierżanta Kryсова. Jeśli Wincenty mógłby osobiście zaznajomić się ze swoją sprawą, to w odniesieniu do siebie i pozostałych oskarżonych przeczytałby:

„W trzeciej części dokumentów w sprawie P. Markisza, W. Markisza, I. Gawiłowskiego i P. Gawiłowskiego znalazły się materiały o tym, że oni w łagrze zajmowali się wrogą szpiegowską robotą. W śledztwie prowadzonym w tej sprawie ustalono, że wyżej wymienieni więźniowie zorganizowali kontrrewolucyjną grupę pod bezpośrednim przywództwem Piotra Markisza. Prowadzili na terenie łagru szpiegowską wywrotową działalność. Kontrrewolucyjna szpiegowsko-powstańcza dywersyjna grupa prowadziła prace przygotowawcze do zbrojnego powstania w łagrze w celu uwolnienia uwięzionych. Obok tego prowadziła wywrotową szpiegowską działalność, a także rozgłaszała wśród więźniów oszczerstwa i antysowiecką agitację o charakterze defetystycznym, wychwalała m.in. faszystowskie kraje kapitalistyczne. Przesłuchani obwinieni przyznali się do zarzucanych im czynów. Na podstawie tego skazano ich z paragrafu 58 KK. Obwinieni przebywają w więzieniu w Tomsku. Podpisano – sierżant NKWD Kryсов, 30 marca 1938 r.

Jak się spodziewano, wynik śledczego wysiłku sierżanta Kryсова, bez jakiegokolwiek wątpliwości potwierdził jego szef, naczelnik 3 oddziału miejsc

odosobnienia, młodszy porucznik Parfionow, który skierował sprawę do „trojki”. „Trojka” na swym posiedzeniu w dniu 2 listopada 1938 roku postanowiła o losie braci w następujący sposób: Piotr Markisz i Piotr Gawiłowski zostali skazani na rozstrzelanie, a ich braciom pozostawiła stary wyrok uwięzienia, czyli pięć i osiem lat łagru. 21 listopada pierwsi zostali rozstrzelani, a drudzy skierowani ponownie do poznawania archipelagu Gułag.

Los, rzec można, był bardzo miłosierny dla Wincentego Markisza w porównaniu z losem jego brata, także w przyszłości. Wincenty nie odsiedział całego wyroku ośmiu lat łagru. W 1945 roku został zwolniony i powrócił do rejonu kriwoszeińskiego. W 1951 roku, w odróżnieniu od wielu innych zeków, w stosunku do niego nie została zastosowana dyrektywa MGB i Prokuratury ZSRR nr 66/241, zgodnie z którą zwolnieni na wolność więźniowie polityczni ponownie podlegali aresztowaniu i ponownemu osądzeniu.

Rozpatrujący jego sprawę pracownicy 2 oddziału MGB porucznik Niechoroszew i podpułkownik Kalentjew postanowili wspomnianej dyrektywy nie stosować z powodu „niedostatku materiałów”. Wychodzi na to, że jeszcze do rehabilitacji powątpiewano w jego winę.

Mieszkał Markisz cicho i niezauważenie, pracował jako koniuch w rejonowej ochotniczej straży pożarnej. O losie swojego starszego brata nic nie wiedział, o własną rehabilitację się nie dopominał. Z mieszkańcami wsi rozmawiał niewiele i bez ochoty, a i ci jego bardzo nie żalowali. Dla nich nadal był kryminalistą.

Ponownie wrócono do jego sprawy gdzieś w początku 1963 roku, kiedy do „organów władzy” zwróciła się z zapytaniem żona Piotra Markisza Akulina, mieszkająca w Nowosybirsku. Prosiła o wyjaśnienie losu jej męża, jeśli był on niewinny – prosiła odesłać jej dokument z takim zaświadczeniem, żeby mogła dostać rentę po nim. 6 marca 1963 roku na adres naczelnika KGB w obwodzie nowosybirskim pułkownika Sitnowa, trafiło pismo od starszego pomocnika prokuratora wojskowego, pułkownika Cichańskiego, w którym on zgodnie z postanowieniem o wznowieniu rozpatrzenia sprawy Markiszów w wyniku skargi żony jednego z nich, zwraca się z prośbą o przeprowadzenie uzupełniającego śledztwa. I dalej w konkretnych pięciu punktach wyłożył swoją prośbę. Oto dwa najistotniejsze spośród nich:

4 – „proszę o ustanowienie obecnego miejsca pobytu Markisza i Gawiłowskiego i przesłuchanie ich w sprawie postawionych im w 1938 roku oskarżeń. Jeśli tych oskarżeń nie potwierdzą, to należy wyjaśnić, z jakich przyczyn oni swoje przyznanie się z 1938 roku obecnie odrzucają.

5 – proszę o potwierdzenie obecności kompromitujących materiałów na osoby, które prowadziły śledztwo w tej sprawie w 1938 roku. Chodzi o sier-

żanta Kryсова i porucznika Parfionowa, w części naruszenia prawa przy prowadzeniu spraw kryminalnych w latach 1937–1938. Jeśli Markisz i Gawilowski na przesłuchaniach dadzą świadectwo o zastosowaniu wobec nich pozaprawnych metod i sposobów śledztwa, to trzeba będzie uzyskać wyjaśnienia od Kryсова i Parfionowa”.

Dla wypełnienia przez funkcjonariuszy KGB tego polecenia wykonane zostały niezbędne kroki: zrobiono zapytania do odpowiednich archiwów o fakty dotyczące udziału Markiszów i Gawilowskich w agenturze obcych wywiadów, przeprowadzono przesłuchanie pozostałych przy życiu obwinionych i ich byłych śledczych. Jan Gawilowski w wyniku poszukiwań nie został odnaleziony, a Wincentego Markisza znaleziono i przesłuchano 8 kwietnia 1963 roku.

W wyniku przesłuchania potwierdził powód swej skargi, napisanej jeszcze w 1939 roku i przekazał śledczemu swoją relację o metodach przesłuchania przez sierżanta Kryсова. W szczególności zmuszony został do podpisania protokołu przesłuchania na skutek tego, że przez wiele dni był głodzony.

„W gabinecie przesłuchań, na poczesnym miejscu – pisał w swoich wyjaśnieniach Markisz – w koszyku znajdowały się bułeczki, kielbasy, wódka. Zanim zaczęto nas przesłuchiwać, powiedziano nam, że powinniśmy podpisać protokoły przesłuchań, tak jak tego potrzebuje partia i rząd. Nasz los bowiem nie zależy od tego, czy my się przyznamy do winy czy też nie. Tak czy inaczej otrzymamy wyrok, a jeśli podpiszemy przyznanie się do winy, to wówczas dadzą nam dobry obiad. Przy nas śledczy niczego nie zapisywał i ja żadnych wyjaśnień nie udzielałem”.

Charakterystyczne, że to samo w swojej skardze pisał Jan Gawilowski. Poruszone były także oskarżenia wobec funkcjonariuszy NKWD, którzy sfabrykowali w swoim czasie oskarżenia wobec Markiszów i Gawilowskich. Naczelnik 3 Oddziału Miejsc Uwięzienia Wasyl Parfionow, pracował na tym stanowisku od lutego 1938 roku do marca 1940. Potem został przeniesiony na stanowisko naczelnika nowosybirskiego oddziału zarządu łagrów poprawczych, skąd został zwolniony 15 listopada 1940 roku.

Nie udało się go odnaleźć, ale drugiego śledczego, byłego sierżanta Kryсова znaleziono i stwierdzono: Aleksander Kryсов (1904 r. urodzenia, członek KPZR, emeryt) mieszka w Tomsku na ulicy Daniłowskiej 10/4.

Naczelnik oddziału śledczego tomskiego KGB pułkownik Jonow 3 maja 1963 r. osobiście przesłuchał Kryсова. Poniżej krótki „dialog” byłego czekisty i śledczego KGB, interesujący w wielu szczegółach.

Śledczy: „Jak długo pracowaliście w organach NKWD?”

Odp.: „W latach 1935–1947 byłem operacyjnym pełnomocnikiem 3 oddziału Łagrów Syberyjskich NKWD”.

Pyt.: „Czy w latach 1937–38 prowadziliście śledztwo wobec osób, oskarżonych o prowadzenie kontrrewolucyjnej działalności?”

Odp.: „Tak, prowadziłem”.

Pyt.: „Jakich naruszeń prawa wówczas się dopuszczaliście?”

Odp.: „Żadnych naruszeń prawa w śledztwie się nie dopuszczałem”.

Pyt.: „Pamiętacie śledztwo w sprawie braci Markiszów i Gawiłowskich?”

Odp.: „Śledztwa w różnych sprawach prowadziłem i dlatego obecnie nie pamiętam, czy prowadziłem sprawę Gawiłowskich i Markiszów”.

Pyt.: „Przedstawia się wam dla przejrzenia sprawę o oskarżenie braci Gawiłowskich i Markiszów. Powiedźcie, na jakiej podstawie zostali aresztowani?”

Odp.: „Zaznajomiwszy się z przedstawioną sprawą, oświadczam, że nie pamiętam, jakie w tym czasie posiadałem materiały na Markiszów i Gawiłowskich. Ale myślę, że jakieś dane, możliwe że tajne, były i dlatego ich nie włączyłem do sprawy”.

Pyt.: „Przestawiony wam został protokół przesłuchania Wincentego Markisza z 8 kwietnia 1963 r. Co teraz powiecie?”

Odp.: „Obecnie nie pamiętam, według jakiego porządku prowadziłem śledztwo w tej sprawie”.

Pyt.: „Markisz zeznał, że protokół przesłuchania wy sami spreparowaliście i drogą kłamstwa zmusiliście go podpisać. Z zawartością protokołu wy go nie zaznajomiliście. Czy tak wyglądał wasz porządek śledztwa wówczas?”

Odp.: „Jeszcze raz powtarzam, że autentycznie nie pamiętam Gawiłowskich i Markiszów, nie pamiętam według jakiego porządku prowadziłem sprawę o ich oskarżenie, ale potwierdzam, że w czasie mojej pracy w łagrach nie zajmowałem się fałszowaniem dokumentów śledczych”.

Podejrzewam, że śledczy Jonow miał jasny obraz tej sytuacji i bez tego przesłuchania, skoro następnego dnia podpisał zakończenie sprawy represjonowanych braci. W swoim podsumowaniu materiałów śledztwa uzupełniającego stwierdził, że wysunięte wobec braci oskarżenia nie potwierdzają się i sugerował, żeby postanowienie „trojki” NKWD w odniesieniu do nich zmienić z powodu niemożności stwierdzenia przestępstwa, co zostało przeprowadzone 24 maja 1963 r.

„Wojskowi”

Szymon Maziuk, w przeszłości jeden z mieszkańców Białegostoku, nigdy nie był w wojsku: na początku I wojny światowej miał wszystkiego siedem lat, do II wojny światowej nie udało mu się dożyć.

A jednak miał swoje relacje z wojskowymi, co prawda pośrednie – pracował bowiem jako pomocnik księgowego w wojskowej firmie budowlanej Syberyjskiego Okręgu Wojskowego, a także mieszkał z żoną w jednym z baraków miasteczka wojskowego. Tam został aresztowany 13 czerwca 1938 r.

Jak zaświadczały dokumenty śledcze jego sprawy, został aresztowany jako jeden z członków jakoby działającej w Tomsku grupy szpiegowsko-dywersyjnej, składającej się z Polaków pracujących w zakładach wojskowych miasta. Oprócz Maziuka, robotnika niewykwalifikowanego Igora Zarzeckiego, w grupie tej znajdowali się ludzie naprawdę zatrudnieni w wojsku i znani w swoich kręgach.

Byli to – Daniel Potrebo, urodzony w 1895 roku, major Armii Czerwonej, członek partii bolszewickiej od 1920 roku, wykładowca tomskich kursów doskonalenia dowództwa. Józef Dobrzański, urodzony w 1904 roku, kapitan Armii Czerwonej, członek partii bolszewickiej, wykładowca wojskowy tomskiej uczelni artyleryjskiej. Paweł Łukaszuk, rok urodzenia 1894, do 1934 roku naczelnik pododdziału wojsk OGPU do ochrony tomskich dróg kolejowych, 27 lutego 1934 r. kontrolą komisji partyjnej wykluczony z partii „za rozprzężenie dyscypliny wojskowej i ukrycie swojej służby w armii kołczakowskiej”. Z tego też powodu zwolniony ze służby wojskowej. Przed aresztowaniem pracował jako komendant technikum ewidencyjno – kredytowego.

Jeśli u Łukaszuka była „niejasna przeszłość”, do której uczepliły się organy NKWD, to w biografiach Potrebo i Dobrzańskiego wydawało się, że niczego nie można znaleźć, co zagrażałoby ich przyszłości. Dobrzański urodził się w rodzinie chłopskiej pod Mińskiem, po ukończeniu technikum pedagogicznego pracował jako nauczyciel, w końcu lat dwudziestych wstąpił do moskiewskiej akademii im. N. Krupskiej. Po jej ukończeniu został skierowany do dyspozycji Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, a stamtąd do szkoły artyleryjskiej w Tomsku jako wykładowca historii ZSRR.

Jak wynika z dokumentów, także w szkole artyleryjskiej Dobrzański nie był na ostatnim miejscu. W charakterystyce wydanej mu pół roku przed aresztowaniem przez naczelnika szkoły, pułkownika Pańtiuchina i komisarza

batalionowego Lebiediewa, wyliczone były jego liczne zalety zawodowe i polityczne. W szczególności, stwierdzono, że Dobrzański jako członek partii od 1927 roku „ideologicznie jest stabilny, rozwinięty politycznie i przygotowany, aktywny w pracy partyjnej, jest członkiem biura partyjnego na uczelni i członkiem komisji partyjnej, (...) niekiedy w pracy przejawia zbytnią gorliwość, ale jako członek partii i wykładowca żadnych zastrzeżeń nie budzi”.

Podobne pozytywne charakterystyki, do 1937 roku, znajdują się w wykazie przebiegu służby Daniela Potrebo. Zostawszy w wieku ośmiu lat sierotą, został swojej wsi oddany „na wyżywienie”: wiosną i latem pasł bydło, a zimą uczył się. W 1909 roku wyjechał do stolicy i zatrudnił się w pracowni krawieckiej jako goniec, gdzie pracował do początku wojny. W 1915 roku został zmobilizowany do odbycia służby wojskowej, wojował na froncie, a w latach rewolucji lutowej został wybrany do komitetu bateryjnego. Do Armii Czerwonej wstąpił w 1918 roku, ukończył kursy artyleryjskie i otrzymał tytuł czerwonego komendanta, uczestniczył w bojach przeciwko armii generała Denikina, tłumił powstanie w rejonie armawirskim, w sierpniu 1921 roku brał udział w kampanii wojennej przeciwko wojskom admirała Wrangla. W latach 1932–1937 Potrebo służył w 78 pułku artyleryjskim w Tomsku, w rangach od naczelnika sztabu do komendanta pułku. Rewolucyjno-czekistowska była także biografia jego braci, o których tak pisał w 1936 roku w swojej autobiografii:

„Było nas pięciu braci. Obecnie, za granicą w Polsce, powinni żyć trzej bracia: Michał, Grzegorz i Stefan. Do 1928 roku nie wiedziałem, czy oni żyją czy nie. Ale wtedy właśnie w Leningradzie od brata bliźniaka dowiedziałem się, że starszy brat Michał w czasie przewrotu październikowego dowodził rotą i ochraniał Smolny, a kiedy mu pozwolono – wyjechał do ojczyzny. Młodszy brat Stefan należał do oddziału białoruskiego, został osądzony, a jego majątek został spalony przez Polaków. Brat Jan był przewodniczącym CzK w Ordżonikidze, ale z powodu oskarżenia przez OGPU (zabił w swoim gabinecie w czasie przesłuchania księcia) został skazany na rozstrzelanie. Wyrok został zawieszony i posłano go na studia do moskiewskiego Instytutu im. Plechanowa. Po jego ukończeniu pracował w Centrum Kołchozowym. W Instytucie w czasie dyskusji partyjnej opowiedział się po stronie Trockiego, ale po wyjaśnieniu przez Komitet Centralny odstąpił od opozycji. Po mobilizacji wyjechał z Moskwy do Turkiestanu, obecnego jego miejsca pobytu nie znam”.

Te fragmenty z biografii braci mieszkających w Polsce i brata – trockisty stały się końcem tej nici, za którą uchwyciło się bezduszne NKWD. Jednak,

przede wszystkim, chwyciło się za ten wątek miejscowe biuro partyjne, postanowieniem którego 28 listopada 1937 roku Daniel Potrebo został wykluczony z szeregów partii za „ukrycie swoich związków z bratem – trockistą oraz braćmi w Polsce i jako nie budzący politycznego zaufania”.

W ślad za postanowieniem dywizyjnego biura partyjnego w czerwcu 1938 roku nadszedł rozkaz komendanta 73 dywizji strzeleckiej kombryga Sielezniowa o zwolnieniu go z armii. Według logiki, w ślad za zwolnieniem należało oczekiwać aresztowania.

Aresztowany został Potrebo 13 lipca 1938 roku przez funkcjonariusza NKWD Szczerbinowa. Ten sam sierżant bezpieczeństwa aresztował i innych współoskarżonych razem z Potrebo, przesłuchiwał ich i stawiał im zarzuty. W rezultacie „wywiadowczej” pracy sierżanta Szczerbinowa i jego naczelnika Gorbienko, w odniesieniu do Potrebo i innych pojawiło się oskarżenie, które m. in. stwierdzało:

„Grupa ta była jedną z rezydentur rozwiniętej sieci polskiego wywiadu na terytorium zachodniej Syberii, która postawiła przed sobą zadanie aktywnej dywersji, szpiegostwa i obalenia potęgi Armii Czerwonej na tyłach kraju w momencie wojny państw faszystowskich przeciwko ZSRR. (...) Kierownikiem szpiegowsko-dywersyjnej grupy, składającej się z wojskowych, był polski agent Daniel Potrebo. On w 1927 roku został zwerbowany przez polski wywiad i według jego instrukcji prowadził na terytorium ZSRR kontrrewolucyjną i szpiegowsko-dywersyjną pracę przeciwko władzy sowieckiej”. Dalej wykazywano, że w 1931 roku Potrebo, jakoby na zlecenie polskiego agenta Stryde przyjechał do Tomsku i „związał się z polskim agentem Dobrzańskim, z którym założył nacjonalistyczną grupę, do której wciągnęli komendanta rezerwy, w ostatnim czasie pracującego w technikum Pawła Łukaszuka, wykładowcę tomskich kursów doskonalenia rezerwy W. Raczkowskiego i S. Gruzdiewa, oficera armii carskiej, wykluczonego z szeregów partii”.

„Józef Dobrzański został zwerbowany w 1932 roku w Moskwie przez polskiego agenta E. Adamowicza, na zlecenie którego dwa lata później wstąpił do Armii Czerwonej i w tym roku wyjechał do Tomsku, gdzie pracował jako wojskowy wykładowca w uczelni artyleryjskiej. Pracując na uczelni, w 1937 roku związał się z polskim agentem wywiadu Potrebo i wspólnie z nim założył na uczelni szpiegowsko-nacjonalistyczną grupę, do której zwerbowano wykładowcę K. Guriewa i kierującego warsztatem rymarskim W. Rudko. W 1935 roku przekazał materiały szpiegowskie o planach nowego uzbrojenia wojsk artyleryjskich, o nastrojach politycznych i sytuacji ekonomicznej kursantów, o sytuacji przepustek w uczelni artyleryjskiej. W czasie prowadzenia zajęć z kursantami przemycił kontrrewolucyjne, trockistowskie

idee i wypowiedzi, a także dopuszczał defetystyczne poglądy przy omawianiu historii partii bolszewickiej, łamał polityczną masową propagandę w szkole i nie reagował na fakty moralnego rozkładu i nastrojów antysowieckich poszczególnych komunistów i komsomolców”.

„Paweł Łukaszuk został zwerbowany do agentury polskiego wywiadu przez Potrebę i pracował według jego instrukcji, wprowadzając do tego wywiadu S. Maziuka, E. Zarzeckiego i A. Sawicza. Osobiście i poprzez zwerbowanych w latach 1937–1938 agentów zbierał materiały szpiegowskie o budownictwie wojskowym i planach przewidzianych na rok 1939, jeśli chodzi o tomski garnizon, o nastrojach politycznych i sytuacji ekonomicznej robotników, pracujących w wojskowej firmie budowlanej”.

„Szymon Maziuk pracujący w tej firmie budowlanej, regularnie zajmował się szkodniczą działalnością, gmatwał sprawozdawczość księgowości, tym samym dawał możliwość rozkradania materiałów budowlanych, prowadził kontrrewolucyjną, faszystowską agitację wśród tu mieszkających Polaków, wśród których wzbudzał nastroje emigracyjne, wrogość i nienawiść w odniesieniu do partii i rządu. Igor Zarzecki prowadził antysowiecką, nacjonalistyczną agitację i wychwalał warunki życia robotników w faszystowskiej Polsce w opozycji do warunków panujących w ZSRR”.

25 października 1938 r. Potrebo, Dobrzański, Łukaszuk i Maziuk w zgodzie z postanowieniem „trojki” NKWD z 19 października tego roku, zostali rozstrzelani. Zarzecki został skazany na dziesięć lat łagrów.

Do wiadomości krewnych, zgodnie z przyjętymi regułami, to postanowienie „trojki” nie zostało wysłane. Jak napisała w swoich wspomnieniach córka Łukaszuka Nika, po aresztowaniu męża jej matka nosiła paczki do budynku NKWD, znajdującego się na placu Lenina, ale ich nie brano, mówiąc, że nie są potrzebne.

Nika napisała i o tym, że jej matka bardzo bała się, że i ją aresztują, a w tej sytuacji jej ośmioletnia córka zostałaby sama, dlatego bała się czynić jakiegokolwiek zapytania odnośnie losu męża.

W kwietniu 1940 roku żona Dobrzańskiego złożyła skargę do prokuratora z prośbą o ponowne rozpatrzenie sprawy męża. Rozpatrujący odwołanie pomocnik prokuratora wojskowego Januszewski odpisał o bezpodstawności skargi. W 1957 roku do władz napisał syn Dobrzańskiego, a także jego wówczas stuipięcioletni ojciec. Tę skargę rozpatrywał śledczy KGB Spragowski. W rezultacie jego pracy zostało stwierdzone, że D. Potrebo i inni skazani w jego sprawie, zostali oskarżeni bezpodstawnie i postanowieniem Trybunału Syberyjskiego Okręgu Wojskowego z 24 października tego roku zrehabilitowani.

W 1989 roku przy osobistym spotkaniu Anatol Spragowski nie pamiętał dokładnych okoliczności swojej pracy przy rehabilitacji mojego krajana S. Maziuka i innych wyżej wymienionych Polaków. Wspomniał jedynie, że rozpatrywał bardzo wiele spraw Polaków, w sposób nieuzasadniony osądzonych w latach trzydziestych.

Opowiedział, że w toku przeglądu archiwalnych śledczych spraw stwierdzono, że w odniesieniu do Polaków represje prowadzone były w następujący sposób: według cech terytorium i specjalności zawodowej sporządzone były spisy Polaków – mężczyzn w wieku siedemnastu lat i starszych. Jednak do tych czarnych list trafiały także kobiety. Według tych przygotowanych wcześniej przez funkcjonariuszy NKWD i innych służb kadrowych list, były prowadzone aresztowania niczego nie podejrzewających ludzi. Wszystkim aresztowanym, niezależnie od statusu społecznego, przynależności partyjnej czy ich pełnej apolityczności stawiano standardowe oskarżenie – uczestnictwo w kontrrewolucyjnej POW, szpiegostwo, terroryzm. A tzw. „działalność praktyczna” sprowadzała się do tego, kto, jakie miejsce zajmował w społeczeństwie sowieckim do chwili aresztowania. Tak było w każdej sprawie, tak pojedynczej, jak i zbiorowej.

Szymon Maziuk nigdy nie był wojskowym, ale z woli NKWD został „szpiegiem wojskowym”, do którego obowiązków należało gmatwanie sprawozdań księgowych w przedsiębiorstwie budowlanym i opóźnianie wypłat robotnikom. Ciekawe, co byłoby napisane w jego oskarżeniu, gdyby pracował przed aresztowaniem w innym miejscu? Nie spodziewam się, żeby cokolwiek innego napisano.

Polski Komitet Syberyjski

„Śledztwo w sprawie ujawnionej i zlikwidowanej kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej powstańczej organizacji POW wykazało, że w działalności tej organizacji udział brali...”

Takie słowa z postanowieniem aresztowania były wpisane w sprawy wielu tysięcy Polaków, represjonowanych w latach 1937–1938 nie tylko na terytorium Syberii, ale także w Moskwie, Piatigorsku, Rostowie, Kazachstanie i wielu innych dużych oraz małych miejscowościach całego Związku Sowieckiego. Praktycznie wszystkich sowieckich Polaków obwiniano wówczas o zorganizowane porozumienie skierowane przeciwko władzy sowieckiej.

Zorganizowaną formą tego porozumienia, według opinii funkcjonariuszy NKWD, powinna być pewna podziemna kontrrewolucyjna organizacja, pod bezpośrednim przywództwem której powinni działać „wrogowie ludu” z polskimi nazwiskami i imionami. I zupełnie nieważne, że taka organizacja naprawdę w przyrodzie nie występowała, istotne jest to, że ona pojawiła się w umysłach funkcjonariuszy NKWD.

Staraniami tych pracowników została stworzona potężna nacjonalistyczna organizacja POW, jakoby posiadająca swoje organizacyjne centrum w Moskwie oraz stosowne komitety i centra we wszystkich regionach Związku Sowieckiego. One to powinny były, według przekonania czekistów, na miejscu zajmować się formowaniem legionów powstańczych spośród ludzi polskiego pochodzenia, zbierać szpiegowskie dokumenty poprzez swoich podwładnych i przekazywać je zleceńodawcy – czyli polskiej „Dwójce”, a także bezpośrednio prowadzić przygotowania do powszechnego powstania przeciw Sowietaom w konkretny dzień i o konkretnej godzinie.

I może nie przeszkadzałoby mówić o tych mitycznych centrach i komitetach nie istniejącej POW, gdyby za tym nie stały realne ludzkie losy. Losy ludzi z różnymi przekonaniami, poglądami, przeżyciami, ale jednym zakończeniem życia – w piwnicach NKWD i kulą w tył głowy.

Według opinii czekistów całą kontrrewolucyjną pracą na Syberii powinien kierować tzw. „Polski Komitet Syberyjski” organizacji POW, składający się z autorytetów i znanych ludzi wśród Polaków. I takich właśnie znaleziono.

Do tego komitetu zostali zaliczeni: znany w Narymskim Kraju polski komunista, jeszcze z przedrewolucyjnym stażem Filipowicz – Kęszczynski, były kadrowy oficer wojska Kołczaka oraz armii polskiej Sosenko, przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia w Nowosybirsku, emigrant polityczny Plebanek, księża z kościołów w Tomsku i Nowosybirsku, Groński i Żukowski, były komendant pododdziału wojsk CzK na kolei Łukaszuk, zawiadujący oddziałem mniejszości narodowych Syberyjskiego Rejonowego Komitetu Wykonawczego Ekżmijewski.

Dla funkcjonariuszy NKWD było całkiem nieważne, że niektórzy z „członków” tego „komitetu” nie znali się nawzajem, byli ludźmi o zupełnie innych poglądach, a niekiedy nawet byli wrogami. To kompletnie nie niepokoiło ludzi z „chłodną głową”, zaprawionych w marksistowsko-stalinowskiej dyalektyce – przeciwstawne siły zbliżają się, jeśli one są nastawione przeciwko... władzy sowieckiej.

Ze sprawami śledczymi niektórych „członków” wyżej wspomnianego komitetu udało mi się zapoznać i tym samym bardziej szczegółowo prześledzić historie ich życia.

Władysław Filipowicz, urodzony w polskim mieście Pabianice, już do przewrotu październikowego w Rosji posiadał bogatą rewolucyjną biografię. Zacząć trzeba od tego, dlaczego do rewolucji posiadał inne nazwisko i imię. Prawdziwe brzmiało – Bogumił Kęszczyński. Urodził się w 1888 roku, pracował jako tkacz w Łodzi. Do 1907 roku mieszkał razem z rodzicami i braćmi w tym robotniczym mieście. Kiedy miał siedemnaście lat, zbliżył się do socjalistycznej organizacji PPS, uczestniczył w wydarzeniach rewolucyjnych 1905 roku, brał udział w walkach na barykadach. Z polecenia swojej partyjnej komórki dwa lata później uczestniczył w szeregu aktów terrorystycznych przeciwko carskim żandarmom, a także razem z towarzyszami ze swojej partii przeprowadzał szereg akcji ekspropriacyjnych na rzecz organizacji. Ukrywając się przed policją, żeby uniknąć aresztowania, przyjął fałszywe dokumenty na nazwisko Władysław Filipowicz.

W 1907 roku Filipowicz-Kęszczyński został aresztowany i jako członek PPS w trybie administracyjnym (o tym, że był członkiem bojówki PPS władze carskie nie wiedziały) został zesłany na Syberię na trzy lata. Trzy lata przeciągnęły się na całe życie. W Narymju zbliżył się do zesłanych bolszewików. Utwierdzał ich dążenia do rewolucji socjalistycznej w Rosji. W czasach walk z armią Kołczaka aktywnie uczestniczył w czerwonej partyzancie w Kraju Narymskim. Od 1920 roku, po ustanowieniu władzy sowieckiej w kraju reprezentował Trybunał Rewolucyjny i miejscowe biuro polityczne (poprzednika słynnych „trojek”), twardą ręką rozprawiając się tak z jawnymi, jak i mniemanymi wrogami bolszewików, w szeregi których oficjalnie wstąpił w tym właśnie roku.

W następnych latach Filipowicz pracował tam, gdzie posyłała go partia: w CzK, na stanowiskach partyjnych czy rządowych. Ostatnim miejscem jego pracy przed aresztowaniem w dniu 1 września 1937 roku było kierownictwo Narymskiego Okręgowego Związku Leśnego.

Od razu po aresztowaniu Filipowicza w Kołpaszewie, z polecenia naczelnika NKWD zachodniej Syberii odprawiono go pod specjalnym konwojem do Nowosybirska, do dyspozycji naczelnika 3 oddziału Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego porucznika Gołubczika, a jego sprawę „prowadził” nieoficjalnie naczelnik 3 oddziału NKWD porucznik Konnow.

W dokumentach sprawy Filipowicza w związku z jego oskarżeniem znajdują się jedynie dwa protokoły przesłuchań – z 8 i 9 września. W pierwszym znajduje się odzwierciedlenie opowieści aresztowanego o jego rewolucyjnej przeszłości, w drugim śledczy NKWD przyłapał go na oszustwie wobec partii i, w związku z tym, w pełni zmusił do uniknięcia wypierania się winy.

Przy aresztowaniu Filipowicza w jego mieszkaniu zarekwirowano solidne, prywatne archiwum: listy, rozliczne mandaty wyborcze, blankiety, legitymacje,

wspomnienia o minionych latach zawarte w wydanych książkach. Wśród zabranych pism były mandat i bilet deputowanego uczestnika zjazdu Polaków w Moskwie z 1929 roku, zaproszenie na zjazd od szefostwa Komunistycznej Partii Polski, a także prywatne partyjne sprawy członka partii bolszewickiej, pozostałe u niego po partyjnej czystce z lat 1922 i 1928. W nich ręką Filipowicza zapisano, że w 1907 roku był przez carski sąd skazany na prace katorżnicze na okres ośmiu lat za zabójstwo rotmistrza żandarmerii. W protokole z przesłuchania stwierdził, że został zesłany na Sybir wyrokiem administracyjnym, opiewającym jedynie na trzy lata. Pojawiła się zatem niezgodność faktów.

Po wykazaniu niekonsekwencji zeznań Filipowicza pomiędzy pierwszym przesłuchaniem a jego starymi danymi z ankiet personalnych, śledczy zmusił go do zeznania, że nie znalazł się na katordze, a jedynie zmienił swoją biografię z celem „przypisania sobie rewolucyjnych zasług”.

Dalej Filipowicz nie zapierał się i 12 września 1937 roku własnoręcznie napisał pismo do śledczego, że dobrze przemyślał skierowane przeciwko niemu fakty i doszedł do przekonania, że brnięcie w nieprawdę jest bezcelowe.

Napisał, że rzeczywiście był uczestnikiem działającej na terenie Syberii POW i pełnił w niej jedną z ról przywódczych, konkretnie funkcję pełnomocnika moskiewskiego centrum POW na Syberii. W szeregi kontrrewolucyjnej organizacji jakoby był zwerbowany jeszcze w 1929 roku w czasie zjazdu Polaków w Moskwie, przez szefów POW Tomasza Dąbala i Bolesława Przybylszewskiego (jak widać przydały się śledczemu zabrane przy rewizji blanki i zapiski z podpisami partyjnych towarzyszy z Moskwy).

W końcu swego oświadczenia stary rewolucjonista stwierdził, że szczegółowe zeznania o działalności POW na Syberii i własnym jego udziale przekaże dodatkowo – ale tych zeznań w sprawie nie ma.

Można jedynie domyślać się i czynić przypuszczenia, co działo się z nim do 21 stycznia 1938 roku. Tego dnia postanowieniem sądu NKWD został skazany na rozstrzelanie. Wyrok wykonano bez zwłoki tego samego dnia. Całą sprawę przeprowadzono jedynie w ciągu trzech miesięcy.

A oto los innego członka syberyjskiego komitetu POW Aleksandra Soszenko. Los przygotował temu synowi szlachecka karierę wojskową jeszcze przed jego urodzeniem. W wojsku służyli zarówno jego dziad, jak i ojciec. Sam Aleksander na służbie rosyjskiemu carowi doszedł do rangi pułkownika, po przejściu do rezerwy mieszkał w Zamościu, w guberni lubelskiej. Po linii matki, Heleny, z domu Czernieckiej, w rodzinie byli także wojskowi. Trzej bracia Aleksandra – Jan, Konstanty i Eugeniusz, walczyli na frontach I wojny

światowej jako oficerowie i ochotnicy. Jeden z nich, Konstanty, zginął. Dwie siostry wyszły za mąż także za wojskowych.

Na początku pierwszej wojny światowej Aleksander Sosenko skończył osiemnaście lat. Widział siebie na polu walki, marzył, żeby umrzeć bohaterską śmiercią za ojczyznę, za wolność Polski. Otrzymawszy błogosławieństwo rodziców, wstąpił jako ochotnik do 99 Iwanogorodzkiego pułku piechoty i został wysłany na front do Prus Wschodnich. Tam został ranny. Po wyzdrowieniu w grudniu 1915 roku wstąpił do szkoły chorążych w Gatczynie. Skończywszy ją został oficerem, jesienią 1916 roku ponownie został wysłany na front w składzie 50 syberyjskiego pułku strzeleckiego. Kolejna rana i kontuzja. Szpital, powrót na front. W drodze, nie dojechawszy do okopów frontowych, zachorował na tyfus plamisty. W szpitalnym baraku długo trwała walka ze śmiercią, a potem powolne powracanie do zdrowia.

W tym czasie w Rosji dokonywały się polityczne okropności, imperium upadało. Rząd Tymczasowy Republiki Rosyjskiej poinformował o przyznaniu narodowi polskiemu prawa do niezależnego demokratycznego państwa, odwiecznego marzenia wielu pokoleń Polaków. Pełni entuzjazmu i nadziei na wskrzeszenie swojej państwowości Polacy zaczęli tworzyć polską armię, powstawały liczne polskie towarzystwa i organizacje.

Opuściwszy szpital Sosenko, udał się do polskiego przedstawicielstwa, gdzie otrzymał dokumenty obywatela Polski, skąd skierował się na Syberię do miejsca formowania się polskiej armii. Latem 1918 roku przybył do Nowonikołajewska (obecnie Nowosybirsk), do dyspozycji 5 Polskiej Dywizji Syberyjskiej, gdzie objął dowództwo nad batalionem strzeleckim. Razem z wieloma polskimi żołnierzami i oficerami przeżył radość zwycięstw w wielu potyczkach z Armią Czerwoną i gorycz totalnego odwrotu na Wschód. Na przełomie 1919 i 1920 roku dostał się do niewoli bolszewickiej. W liczbie dwustu polskich oficerów został odprawiony do łagru koncentracyjnego, który znajdował się w Krasnojarsku.

Po dwudziestu dniach udało mu się zbiec z łagru, wykorzystując gapiostwo konwojentów. W następstwie razem z żoną dostał się do polskiej ambasady w Moskwie, a potem ewakuował jako polski obywatel w granice odrodzonej Polski. W ojczyźnie Aleksander Sosenko podjął służbę w polskiej armii, rozlokowanej w Baranowiczach i Brześciu, jednak wcześniejsze kontuzje i rany przypominały o sobie. W 1923 roku został zdemobilizowany z armii. Żona Lidia, Rosjanka z pochodzenia, nieustannie tęskniła za bliskimi, pozostałymi w czerwonej Rosji. Po długich wahaniach obydwójce postanowili wrócić do Rosji, do krewnych żony.

Przy przejściu granicy Sosenko został aresztowany i za nielegalne jej przekroczenie skazany przez komitet OGPU na trzy lata łagru. Po odbyciu wy-

roku na Sołowkach, w 1927 roku został skierowany na zesłanie do Narymskiego Kraju. Początkowo mieszkał w posiołku Kargasok, a od 1932 roku w mieście Kołpaszewo. Pracował jako mechanik w elektrowni miejskiej uczelni pedagogicznej.

Aresztował go 11 sierpnia 1937 roku funkcjonariusz NKWD Smirnow. Po wstępnych przesłuchaniach w Kołpaszewie skierowano go do Nowosybirska. Dokładnie „obrobiony” przez śledczych Gorbacza i Konnowa, Sosenko przyznał się do tego, że w 1924 roku został nielegalnie wysłany do ZSRR ze specjalnymi zadaniami polskiego wywiadu.

Konkretnie miało to wyrażać się tym, że Sosenko powinien był zjednoczyć wszystkie rozproszone grupy POW, działające na terenie Syberii, w jedną, silną scentralizowaną organizację. I to jemu się jakoby udało. Zeznał, że pod jego przywództwem zostały zjednoczone grupy POW praktycznie we wszystkich miastach syberyjskich, wymienił nazwiska szefów tych grup, wymienił nazwiska ludzi z liczby dawnych oficerów armii rosyjskiej, których osobiście zwerbował do POW w charakterze komendantów powstańczych oddziałów szturmowych.

Przyznał się także do tego, że osobiście w 1936 roku przygotował plan powstania zbrojnego POW na Syberii, a potem opracował go w szczegółach dla całego regionu. Do czego to się nie przyznał Sosenko swoim śledczym na przesłuchaniach? Protokoły zeznań liczyły nie mniej niż dwadzieścia stronice drukowanego tekstu! I tylko brakuje na nich podpisu oskarżonego, a przecież bez niego protokół nie jest dokumentem, a mimo to, nie patrząc na takie „przeoczenie śledztwa”, kopie protokołów przesłuchań Aleksandra Sosenko były wprowadzone w kategorii dowodów winy w sprawach wielu represjonowanych syberyjskich Polaków, w tej liczbie także mieszkańców Białegostoku, choć nie ma w nich wspomnienia o tej miejscowości lub o kimkolwiek z jego mieszkańców. Postanowieniem OSO NKWD ZSRR z 20 października 1937 roku Aleksander Sosenko został skazany na rozstrzelanie, a 5 listopada tego roku nie było go już wśród żywych.

Szczególnie znaczącą rolę w planach masowych aresztowań przeprowadzonych w zachodniej Syberii przez kierownictwo NKWD wobec Polaków, Litwinów, Łotyszy, Niemców wyznaczono katolickiemu duchowieństwu. Dostrzegając ich ogromny autorytet i wpływ na społeczność katolicką, co zresztą odpowiadało rzeczywistości, miejscowi czekiści wyciągali z tego wniosek, że księża od początku są nie tyle szeregowymi kontrrewolucjonistami, ile szefami i organizatorami licznych szpiegowsko-dywersyjnych oraz terrorystycznych grup. Naturalnie, że jeśli kierownictwo syberyjskich „specorganów”

potrzebowało istnienia Polskiego Syberyjskiego Komitetu, to księża zajęli w nim pozycje liderów. W jego składzie znajdowali się trzej katolicy duchowni – księża Julian Groński, Antoni Żukowski i Hieronim Cerpento.

O tym ostatnim wiadomo, że do rewolucji był proboszczem parafii białostockiej, potem pracował jako duszpasterz w Barabińsku, Aczyńsku i Krasnojarsku. W 1935 roku w Krasnojarsku ksiądz Cerpento został aresztowany i skazany jako polski szpieg na dziesięć lat łagrów. W łagrze został ponownie aresztowany i rozstrzelany.

Ksiądz Julian Groński był człowiekiem dobrze znanym i uznanym w latach dwudziestych wśród syberyjskich katolików. Był proboszczem parafii w Tomsku od sierpnia 1920 roku, a od 1926 roku dodatkowo administratorem Kościoła na całej Syberii. Dlatego też ksiądz Julian, nie patrząc na pogrożki ateistów – bolszewików, pomimo swoich obowiązków w tomskim kościele, regularnie odwiedzał liczne wsie i sioła guberni tomskiej, gdzie na stałe żyli katolicy.

Przewodniczył nabożeństwom, chrzczył nowo narodzonych, udzielał ślubu młodym, żegnał umarłych. Wszystko to kwalifikowało się według władz do antysowieckiej agitacji, szpiegostwa, działalności kontrrewolucyjnej. 25 kwietnia 1931 roku Groński został aresztowany przez tomskie OGPU z bezpodstawnego oskarżenia, że podtrzymuje więzi z zagranicą, przekazuje „w sposób oczywisty fałszywe świadectwa o nastrojach ludności i prześladowaniach religii w ZSRR”. Obwiniono go i za to, że wykorzystując swój wpływ na wiernych, prowadził działalność kontrrewolucyjną, tworząc ugrupowania o takim charakterze na terytorium Syberii.

Żeby udowodnić Grońskiemu wyżej postawione obwinienia, oprócz niego, aresztowano wiele dziesiątków parafian i z nich utworzono tzw. kontrrewolucyjne grupy, zmuszając aresztowanych do złożenia zeznań, tak przeciw sobie nawzajem, jak i przeciw księdzu Grońskiemu. Postanowieniem kolegium sędziowskiego OGPU z 7 marca 1932 roku Julian Groński, urodzony w 1877 roku w kowieńskiej guberni, Litwin z narodowości, administrator Kościoła rzymskokatolickiego na Syberii został skazany z artykułu 58-6-11 na dziesięć lat łagrów.

W styczniu 1934 roku zmieniono postanowienie tego samego kolegium OGPU odnośnie Grońskiego, zgodzono się na jego wymianę i wyjazd z ZSRR. Bardzo możliwe, że znajdował się on w zestawie księży, których po porozumieniu się z rządem Litwy wymieniono w 1934 roku na aresztowanych komunistów, przebywających dotąd w więzieniach litewskich. O jego dalszych losach w dokumentach śledczych nie ma wzmianki. Nie wspomina się o ja-

kimkolwiek uczestnictwie Grońskiego w działalności tzw. POW i jego „syberyjskiego centrum”².

Gorzej powiodło się w dialogu z syberyjskimi czekistami proboszczowi parafii irkuckiej księdzu Antoniemu Żukowskiemu. Praktycznie od początku ustanowienia władzy sowieckiej na Syberii podlegał on represjom z ich strony. I tak, w 1920 roku osiem miesięcy spędził w areszcie barnaulskiej CzKa, po czym został skazany na trzy lata łagrów. Odbywwszy karę w łagrze na Uralu, został skierowany na zesłanie na kolejne trzy lata. Po zakończeniu wyroku wrócił do Irkucka, gdzie prowadził dalej pracę duszpasterską. Na początku lat trzydziestych spośród księży syberyjskich został sam na wolności, przejął więc schedę po księdzu Grońskim i rozpoczął dojeżdżanie z nabożeństwami do Nowosybirsk, Omsk, Tomsk i innych miejscowości.

Jego ostatni przyjazd do Tomsk przypadł w czerwcu 1937 roku, w okresie największych represji. Po miesiącu, dokładnie 14 czerwca, został aresztowany przez funkcjonariusza tomskiego NKWD Szczerbinina. Postanowienie o jego areszcie (już po aresztowaniu) wystawił NKWD-zista Romanow, ten sam, który w 1931 roku prowadził sprawę księdza Grońskiego.

W tomskim oddziale NKWD przesłuchano księdza Żukowskiego z powodu jego znajomości z katolikami miasta i okolic (wszyscy wymienieni mężczyźni w protokole zostali wkrótce aresztowani i rozstrzelani), a potem skierowano do krajowego NKWD do dyspozycji specjalisty od „Polskiego Syberyjskiego Komitetu”, porucznika Konnowa. Oczywiście, czekista Konnow był zorientowany nie tylko w sprawie wspomnianego komitetu, ale w ogóle był „znawcą ludzkich dusz”. Na jego przesłuchaniach ksiądz nie tylko „przyznał się” do wszystkich postawionych mu zarzutów, ale i własnoręcznie napisał tekst pod hasłem: „pragnę w pełni ujawnić się przed władzą sowiecką w celu zmniejszenia swojej winy”.

W protokole przesłuchania Żukowskiego z 19 sierpnia 1937 roku w szczegółach przedstawiona jest historia powstania na Syberii organizacji POW w latach 1918–1937, przekazany jest opis jej działania w poszczególnych okresach, wyłożona strategia i taktyka. Jednym słowem, nie jest to protokół zeznania, ale wyczerpujący wykład. Czytając te „obciążające zeznania” księdza,

² Ks. Roman Dzwonkowski SAC w swoim opracowaniu „Losy duchowieństwa katolickiego w ZSSR 1917–1939. Martyrologium”, Lublin 1998, tak pisze o księdzu J. Grońskim: „Uwolniony został dzięki staraniom władz litewskich i 22.01.1933 powrócił na Litwę, w latach 1936–1939 pracował w diecezji kowieńskiej jako duszpasterz z prawami proboszcza w miejscowości Panoterai w dekanacie Żejmany, gdzie istniała filia parafii Siesiszki. Był wicedziekanem w Krakes”.

nie mogłem uciec od myśli, że pisał ten tekst (lub dyktował) człowiek posiadający wojskową edukację, a nie duchowny. Końcowe oskarżenie było także, po wojskowemu, lakoniczne:

„Ustalono w śledztwie, że syberyjska filia POW powstała w 1918 roku założona przez, posiadającego pełnomocnictwo Józefa Piłsudskiego, Kazimierza Gintowta i innych oficerów polskiego sztabu głównego, wchodzących w polski komitet wojenny, działający przy armii admirała Kołczaka. Jako członek POW i polski wywiadowca A. Żukowski w latach 1918–1919 był osobiście związany z wyżej wymienionym polskim wojennym komitetem i według jego instrukcji prowadził kontrrewolucyjną agitację w kościołach katolickich w kwestii wstępowania w szeregi polskich białogwardyjskich legionów. W latach 1921–1924 Żukowski związany był z polskimi oficerami Świdorskim i Gintowtem, członkami polskiej delegacji w komisji ds. repatriacji i pod ich kierownictwem tworzył filie i komitety POW w Barnaule i Nowosybirsku. W okresie 1924–1934 założył filię POW w Irkucku, w kopalni węgla kamiennego w Czeremsze, jak i w stanicach: Sliudanka, Ołowianina, Czeremchowo. Jako członek syberyjskiego komitetu POW osobiście kierował działalnością komitetów POW w Irkucku, Tomsku, Barnaule i Barabińsku. Jego zadaniem w wyżej wymienionym syberyjskim Komitecie w 1936 roku były spotkania z wojskowym attache ambasady polskiej w Moskwie – polskim oficerem Łagodą, któremu przekazał materiały szpiegowskie o sytuacji politycznej polskich kolonii na Syberii i o przygotowaniu filii POW do powstania zbrojnego”.

Komentarz do powyższego, zbyteczny. Śledczy Konnow w końcowym podsumowaniu oskarżycielskim nie miał wątpliwości, że protokół będzie przyjęty bez poprawek, a on sam zajmie się innymi członkami syberyjskiego komitetu. Tak się stało. Postanowieniem sądu NKWD z 4 października 1937 roku ksiądz Żukowski został skazany na rozstrzelanie. Wyrok został wykonany osiem dni później – 12 października 1937 roku. Był to ostatni przedwojenny katolicki kapłan na Syberii. Odrodzenie wspólnot katolickich na tych terenach rozpocznie się dopiero za pięćdziesiąt lat.

„Inżynierowie dusz”

Poznając ciągle nowe dane o przestępstwach stalinowskiej kliky z lat trzydziestych, po raz kolejny zostajemy porażeni rozmachem represji, liczbą ofiar,

która idzie w miliony. Jak w niewielkim stopniu zamyślamy się nad tym, że owe represje wykonywane były nie same z siebie. Przecież za milionami ofiar terroru stała niemała liczba „współpracowników”, odpowiedzialnych bezpośrednio lub pośrednio za likwidację drugiej połowy narodu.

Oczywiste, że w organach OGPU – NKWD pracowali nie tylko Henryk Jagoda, Nikołaj Jeżow i Ławrentij Beria. Wielomilionowy Gulag był obsługiwany przez nie mniejszą armię jego strażników. Wiadome i to, że tysiące dobrowolnych pomocników „organów” pisało donosy na swoich współpracowników, sąsiadów, bliskich.

Miliony partyjnych i zwyczajnie „uświadomionych” na zebraniach i mitingach z zachwytem przyjmowały politykę „Wielkiego sterowniczego” i jego partii. O wszystkich nie da się powiedzieć. Tu przedstawimy historię niektórych spośród tych przedstawicieli maszyny represji, od których w latach trzydziestych realnie zależał los wielu tysięcy mieszkańców syberyjskich wiosek i miast, a w szczególności syberyjskich Polaków.

Kim więc oni byli, władcy losów moich dziadów i pradziadów, jak i losów tysięcy ich współrodaków? Co myśleli, jakie wartości wyznawali, kiedy tworzyli swoje czarne dzieła? Jak potoczyły się ich osobiste losy?

Trudno odpowiedzieć na te pytania. I choć długi, bardzo długi spis jest tych, którzy znaleźli się w liczbie „władców losów”, którzy w ten czy inny sposób tworzyli samowolę lub jej sprzyjali, bez słowa sprzeciwu wypełniając rozkazy i polecenia wyższych instancji NKWD lub partyjnych sekretariatów, nam praktycznie ci ludzie nie byli znani, nie usłyszeliśmy ich słów przeproszenia, nie czytaliśmy wspomnień i do niedawna nie znaliśmy ich nazwisk, ukrytych na licznych stronicach aktów śledczych. Nie należy się bodać, że z pomocą archiwów KGB będzie można odtworzyć literalnie z nazwiska wszystkich tych, którzy byli śrubkami lub trybikami w tej ogromnej i złożonej maszynierii terroru.

Nie należy na to liczyć, z tej przyczyny, że znaczna część materiałów archiwalnych NKWD została zniszczona, a pozostała przez długie lata, niekiedy do dziś, przechowywana była w archiwach FSB (dawne KGB), MWD, będąc niedostępną dla historyków.

Nie należy i dlatego jeszcze, że obecne kierownictwo organów bezpieczeństwa nie chce do dzisiaj ujawnić tych nazwisk funkcjonariuszy organów karania, którzy pracowali w NKWD w czasie masowych represji, ponieważ w ten sposób chce zachować cześć dla munduru swojego resortu. Ci ludzie do chwili obecnej nie chcą, żeby nazwiska byłych pracowników NKWD, uczestniczących w fabrykacji spraw śledczych z lat trzydziestych, były przywoływane w publikacjach. To może, według ich przekonania, powodować

traumę u ich bliskich. Zdumiewająca troska o duchowy spokój krewnych oprawców i ich popleczników! Według mnie ich nazwiska powinny być ogłoszone, możliwie jak najszerzej!

Ujawnieni nie z powodu zemsty, ale z powodu pamięci i sprawiedliwości. Obecnie możemy poznać i poznajemy nazwiska ofiar represji, ale dlaczego, podobnie jak w przeszłości, nie chcą ujawnić nazwisk i imion tych, przy których udziale ludzie podlegali bezpodstawnym represjom. Wychodzi na to, że są ofiary, ale nie ma oprawców. Winny, należy się domyslać, jest tylko system.

Przywołane poniżej materiały zostały zebrane dosłownie po ździebelku z tych archiwalnych akt śledczych, z którymi mogłem się zapoznać, poznając losy swoich krajan – Polaków, niektóre materiały zostały zebrane w byłym archiwum partyjnym obwodu tomskiego, niektóre interesujące dane otrzymałem od historyka Igora Kuzniecowa.

Ktoś może wyrazić sprzeciw: po co przetrząsać starocie? Po co wydobywać nazwiska funkcjonariuszy NKWD? Przecież i wśród ich byli różni ludzie... Oczywiście, ludzie służący także w organach NKWD byli różni, wypełniali różne funkcje w działającym systemie terroru i, oczywiście, ponoszą różną odpowiedzialność za popełnione przestępstwa. Jednak nazwiska wszystkich ich powinny, według możliwości, zostać ujawnione. Naród powinien znać nie tylko swoich bohaterów, męczenników, ale i oprawców.

Obecnie, jeszcze nieznanie są nazwiska i imiona tych, którzy prowadzili przesłuchania moich dziadów i pradziadów oraz ich krajan, nieznaną jest ten, kto ich jeszcze ciepłe ciała spuszczał w głębokie jamy na wysokim brzegu Obu w Kołpaszewie, jak również, nie ujawnione i samo miejsce ich potajemnego pochówku.

Natomiast dokumentalnie stwierdzone zostało, z czyjego polecenia zaczęły się masowe represje przeciwko Polakom w ZSRR, czyli tym samym, także przeciwko moim krajanom. Całkiem niedawno w trakcie przekazywania archiwów partyjnych i archiwów KGB pod opiekę państwa ujawnione zostały tajne postanowienia Biura Politycznego KPZR. Oto jedno z nich:

Kreml

Wypis z protokołu nr. 51 posiedzenia Biura Politycznego WKP (b) z 9 sierpnia 1937 r.

POSTANOWIONO: Zatwierdzić rozkaz Komitetu Spraw Wewnętrznych ZSRR o likwidacji polskich dywersyjno-szpiegowskich grup i organizacji POW.

Podpis: Sekretarz KC Stalin

W następstwie znalazł się w takich tajnych teczkach tekst samego rozkazu NKWD ZSRR, zawierającego szczegółową instrukcję o przeprowadzeniu

operacji masowych aresztowań Polaków na całym terytorium ZSRR. Ten rozkaz jasno pokazuje, na jak wielką skalę i jak monstrualnie była przewidziana ta operacja.

Zgodnie z tym rozkazem praktycznie wszyscy żyjący w Związku Sowieckim Polacy okazali się szpiegami, dywersantami, społecznie niebezpiecznymi dla państwa sowieckiego i podlegali niezwłocznemu aresztowaniu i w ogromnej większości przypadków rozstrzelaniu.

Z Operacyjnego Rozkazu NKWD ZSRR nr 00485, 11 sierpnia 1937 r., Moskwa, ściśle tajne.

Rozsyłane razem z obecnym rozkazem tajne pismo o faszystowsko-powstańczej, szpiegowskiej, dywersyjnej, defetystycznej i terrorystycznej działalności polskiego wywiadu w ZSRR, a także materiały śledztwa w sprawie POW odkrywają obraz długoletniej i względnie bezkarnej dywersyjno-szpiegowskiej pracy polskiego wywiadu na terytorium ZSRR.

Widać z tych materiałów, że wywrotowa działalność polskiego wywiadu prowadzona była i nadal jest prowadzona, o tyle jawnie, że bezkarność tej działalności można wyjaśnić tylko złą pracą organów Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Państwowego i beztroską czekistów.

Nawet i dzisiaj praca likwidacji polskich dywersyjno-szpiegowskich grup i organizacji POW w pełni nie jest przeprowadzona. Tempo i skala śledztwa skrajnie niskie. Podstawowe struktury polskiego wywiadu wymknęły się od operacyjnego rozpoznania. Z całkowitej liczby uciekinierów z Polski, liczącej około piętnaście tysięcy ludzi, odnaleziono w Sowietach tylko dziewięć tysięcy osób.

W zachodniej Syberii, spośród znajdujących się na jej terytorium około pięciu tysięcy zbiegów, schwytano nie więcej niż tysiąc ludzi. Tak wygląda sytuacja z rozpracowaniem politycznych emigrantów z Polski.

(...)

Niedostatecznie stanowcza likwidacja kadr polskiego wywiadu, tym bardziej jest niebezpieczna teraz, kiedy zostało rozgromione centrum POW w Moskwie i aresztowani zostali liczni jego aktywni członkowie. Polski wywiad, przewidując brak wiadomości oraz możliwość wpadki, pragnie wprowadzić, a w niektórych przypadkach już wprowadza w życie swoją dywersyjną sieć w gospodarce narodowej ZSRR, w pierwszej kolejności, w obiektach obronnych.

W nawiązaniu do tego głównym zadaniem organów GUGB w obecnym czasie wydaje się być zniszczenie antysowieckiej pracy polskiego wywiadu i pełna likwidacja nieujawnionych do chwili obecnej szerokich dywersyjno-powstańczych nizin POW i podstawowych ludzkich struktur polskiego wywiadu w ZSRR.

NAKAZUJE SIĘ:

1. Od 20 sierpnia 1937 r. rozpocząć szeroko zakrojoną operację, skierowaną na pełną likwidację lokalnych organizacji POW i przede wszystkim, jej dywersyjno-

-szpiegowskich, powstańczych kadr w przemyśle, transporcie, sowchozach i kolchozach. Cała operacja powinna być zakończona w terminie 3 miesięcy, tj. do 20 listopada 1937 r.

2. Aresztowaniu podlegają:

- a. Ujawnieni w trakcie śledztwa i do jego czasu nie ujawnieni aktywni członkowie POW według załączonych spisów.
- b. Wszyscy pozostali w ZSRR jeńcy wojenni polskiej armii.
- c. Zbiegowie z Polski, niezależnie od czasu przejścia ich na stronę ZSRR.
- d. Emigranci polityczni i więźniowie pochodzący z wymiany politycznej z Polski.
- e. Byli członkowie PPS i innych polskich antysowieckich partii politycznych.
- f. Najbardziej aktywna część lokalnych antysowieckich i nacjonalistycznych elementów z polskich regionów.

3. Operację aresztowań należy przeprowadzić w dwóch etapach:

- a. W pierwszym etapie przeprowadzić areszty osób według wyżej wymienionych punktów oraz pracujących w organach NKWD, w Armii Czerwonej, w zakładach wojskowych, w obronnych wydziałach wszystkich innych zakładów pracy, na kolei, transporcie wodnym i lotniczym, w gospodarce energetycznej, w zakładach gazowych i paliwowych.
- b. W drugim etapie przeprowadzić aresztowania wszystkich pozostałych, pracujących w zakładach przemysłowych i o znaczeniu obronnym, w sowchozach, kolchozach i urzędach.

4. Jednocześnie z rozwijaniem operacji aresztowań zacząć pracę śledczą. Podstawowy nacisk śledztwa skierować na pełne ujawnienie organizatorów i zwierzchników grup dywersyjnych, z celem wyczerpującego odtworzenia sieci dywersyjnej.

Wszystkich wskazanych w czasie zeznań aresztowanych szpiegów, szkodników i dywersantów – **NIEZWŁOCZNIE ARESZTOWAĆ**.

Dla prowadzenia śledztw wydzielić specjalną grupę funkcjonariuszy operacyjnych.

5. Wszyscy aresztowani z powodu ujawnienia ich winy w trakcie śledztwa podlegają podziałowi na dwie kategorie:

- a. Pierwsza kategoria, kara rozstrzelania, do której odnoszą się wszystkie szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry polskiego wywiadu.
- b. Druga kategoria, mniej aktywni z nich, podlegają zamknięciu w więzieniach i łagrach na pięć – do dziesięciu lat.

6. Na zaliczonych w procesie śledztwa do pierwszej i drugiej kategorii, przez dziesięć dni zestawia się kopie z krótkim wyjaśnieniem materiałów śledczych

i agenturalnych, charakteryzujących stopień winy aresztowanego, które wysyła się dla końcowego zatwierdzenia do NKWD.

Zaliczenie do pierwszej lub drugiej kategorii na podstawie agenturalnych i śledczych materiałów dokonuje się przez Narodowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Republiki, naczelnika NKWD obwodu lub kraju, wspólnie z odpowiedzialnym prokuratorem republiki, obwodu, kraju. Spisy kieruje się do NKWD ZSRR z podpisem Narodowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Republiki, naczelników NKWD i Prokuratora odpowiednich republik, kraju lub obwodu.

Po potwierdzeniu spisów w NKWD ZSRR i Prokuratora ZSRR wyrok niezwłocznie kieruje się do wykonania, tj. osądzeni z pierwszej kategorii – są rozstrzeliwani, a z drugiej, kierowani do więzień i łagrów, zgodnie ze zleceniem NKWD ZSRR.

7. Przerwać zwalnianie z więzień i łagrów kończących wyroki uwięzienia osądzonych pod zarzutem polskiego szpiegostwa. O każdym z nich przedstawić materiał dla OSO NKWD ZSRR.

8. Całą pracę w rozbiciu POW i wszystkich pozostałych struktur polskiego wywiadu umiejętnie i w sposób przemyślany wykorzystać dla zdobycia nowej agentury w polskim temacie. Przy tworzeniu agentury szczególną uwagę należy zwrócić na środki zabezpieczające organy NKWD od przeniknięcia do sieci wywiadowczej podwójnych agentów polskiego wywiadu. Spisy wszystkich wytypowanych do werbunku agentów, z wyczerpującą charakterystyką o nich, należy skierować do zatwierdzenia naczelnika miejskiego urzędu bezpieczeństwa państwowego tow. Frinowskiego.

9. O przebiegu operacji informować telegraficznie co pięć dni, tj. 1,5,10,15,20,25 i 30 każdego miesiąca.

Narodowy Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSRR
Generalny Komisarz Bezpieczeństwa Państwowego
Jeżow

Te dokumenty mówią o tym, że aresztowania w dalekim, syberyjskim, mało komu znanym, posiołku Białystok, były planowane na Łubiance i potwierdzone na Kremlu. Los moich krajan i ich odpowiedników postanowiony był w Moskwie, a pozostałe było jedynie sprawą techniki miejscowych oprawców. Mechanizm represji był uruchomiony.

Maszyna zniszczenia z dnia na dzień nabierała obrotów, wciągając w swoje żarna tysiące nowych ofiar. Jednak „ojcu narodu” tego było mało, jeśli 31 stycznia 1938 roku na posiedzeniu Biura Politycznego KPZR przyjęto jeszcze jedno tajne postanowienie, odnoszące się do losów ludzi, także losów Polaków:

Rozpatrzyć przez Narodowy Komitet Spraw Wewnętrznych przedłużenie do 15 kwietnia 1938 r. operacji likwidacji szpiegowsko-dywersyjnych struktur Polaków, Łotyszy, Niemców, Estończyków, Finów, Greków, Irańczyków, Chińczyków i Rumunów, tak obywateli zagranicznych, jak i obywateli sowieckich tych narodowości.

Zgodnie z funkcjonującym rozkazem NKWD ZSRR pozostawić do 15 kwietnia 1938 r. obowiązujący porządek rozpatrywania spraw aresztowanych w tych operacjach, niezależnie od ich obywatelstwa. Polecieć NKWD ZSRR przeprowadzenie do 15 kwietnia analogicznej operacji zniszczenia kadr Bułgarów i Macedończyków, tak obywateli zagranicznych, jak i obywateli ZSRR.

Oczywiste, że nie Stalin osobiście i jemu posłuszne Biuro Polityczne, realizowali w kraju represje w niewyobrażalnej skali. W tym celu działała cała armia gotowych na wszystko pracowników NKWD – od szeregowego konwojenta do „żelaznego komisarza narodowego” Mikołaja Jeżowa.

Jednak pod osobistym przywództwem M. Jeżowa przygotowywane były plany i operacje w sprawie likwidacji Polaków i wielu innych mniejszości narodowych, mieszkających w tym czasie „w kraju zwycięskiego socjalizmu”. Tzw. „Specjalne posiedzenia” (OSO) NKWD ZSRR, które zatwierdzało wyroki w sprawie większości aresztowanych Polaków, przyjmując, jak nakazano, tylko wyroki śmierci, kierowane było także przez M. Jeżowa i prokuratora ZSRR A. Wyszyńskiego i ich zastępców.

Los komisarza Mikołaja Jeżowa jest typowy dla wielu funkcjonariuszy jego pokroju, „sługusów wykonujących swoją pracę”. Kiedy masowe represje przyjęły niebywały rozmach, kierownictwo kraju złożyło całą odpowiedzialność za dokonaną samowolę na Jeżowa i jego „drużynę”. W końcu 1938 roku po osobistym rozporządzeniu Stalina szefostwo NKWD oraz szereg naczelników tej instytucji w poszczególnych krajach i obwodach zostali obwinieni za przeprowadzenie masowych aresztowań i naruszenie prawa sowieckiego. Pod bezpośrednim kierownictwem nowego komisarza NKWD Ł. Berii w centrum, jak i w regionach, dla pokazania, jak działa prawo, przeprowadzone były aresztowania „wrogów ludu”, jacy się przedostali w szeregi NKWD.

W liczbie represjonowanego kierownictwa NKWD, wchodzącego do drużyny Henryka Jagody i Mikołaja Jeżowa, było wielu czekistów – sybiraków, zajmujących wysokie pozycje w systemie tej struktury. Daleko nie ostatnie miejsce w tej stalinowskiej administracyjno – karzącej spółce zajmował Maciej Berman, zaczynający swoją czekistowską karierę w Tomsku w 1920 roku od

funkcji naczelnika CzK, dochodząc z czasem aż do stopnia komisarza Gułagu. Przed aresztowaniem w lutym 1939 roku i w konsekwencji rozstrzelaniem, był komisarzem ludowym łączności w całym kraju.

Tradycyjną „nagrodę” stalinowską – dziewięć gramów ołowiu, tyle ważył jeden pocisk – otrzymali za swoją wierną służbę tacy ważni czekiści, jak Zakowski (Sztubic) i B. Bak, podobnie jak Berman, zaczynający w Tomsku swoją drogę na szczyt sławy osobistej i ku uzasadnionemu końcu. Zakowski i Bak w końcu lat dwudziestych, zanim zostali wyznaczeni na wysokie stanowiska w Moskwie i Leningradzie, reprezentowali pełnomocne przedstawicielstwo GPU w zachodniej Syberii. To z ich polecenia zniszczono i połamano wiele życiorysów Sybiraków, w tym także księdza Mikołaja Michasionka, proboszcza parafii katolickiej mojej rodzinnej wsi.

Nie uniknęli aresztowań wówczas także liczni funkcjonariusze NKWD zachodniej Syberii, w tej liczbie także naczelnik tego urzędu Malcew, byli naczelnicy Gorbacz i Mironow, naczelnik miejskiego oddziału NKWD Owczynnikow i wielu innych z liczby gorliwych wypełniaczy poleceń i rozkazów poprzedniego szefostwa NKWD. Według dobrze już znanego schematu, spośród aresztowanych funkcjonariuszy NKWD, ich byli towarzysze z pracy szybko sfabrykowali sprawę o tzw. „antysowieckiej konspiracyjnej organizacji”, jakoby działającej w strukturach NKWD.

Do kierowniczego centrum tej organizacji został zaliczony były komisarz spraw wewnętrznych Ukrainy Aleksander Uspieński, w latach 1935–1938 pracujący na kierowniczych stanowiskach w NKWD zachodniej Syberii. W oskarżycielskim wniosku w stosunku do niego wykazywano, że jeszcze w 1935 roku jakoby w „celach kontrrewolucyjnych” został przez H. Jagodę mianowany pomocnikiem komendanta moskiewskiego Kremla i wypełniał zadania ustawienia tzw. konspiratorów na kierowniczych stanowiskach. Zatem to jakoby Uspieński tworzył sieć organizacyjną z jednym z konspiratorów organizacji Mikołajem Jeżowem i szeregiem innych szefów NKWD.

„Pełniąc odpowiedzialne stanowiska – odnotowywano w przesłuchaniu Uspieńskiego, wypełniał zadania organizacji prowadząc werbunek osób, ukrywał od dekonspiracji i likwidacji trockistowskie i inne kadry antysowieckie”.

Oprócz wymyślonych faktów „pracy konspiracyjnej” Uspieński przyznał się, co akurat odpowiadało rzeczywistości, do prowadzenia masowych aresztowań niewinnych ludzi i falsyfikacji w ich sprawach materiałów śledczych.

Do wielu rzeczywiście dokonanych przestępstw, jak i w uczestnictwie w „tworzeniu” mitycznych kontrrewolucyjnych organizacji, przyznało się większość aresztowanych funkcjonariuszy NKWD. 27 stycznia 1940 roku A. Uspieński został osądzony przez wojskowe kolegium Sądu Najwyższego

ZSRR i skazany na najwyższą karę, a następnie rozstrzelany. Podobne koleje losu spotkały szefów NKWD zachodniej Syberii Gorbacza, Mironowa i innych. W marcu 1941 roku Wojenny Trybunał zachodniej Syberii za naruszenie „rewolucyjnego prawa” skazał na rozstrzelanie naczelnika tomskiego oddziału NKWD Iwana Owczynnikowa, w którego dorobku służbowym w czasie jego pracy w organach OGPU – NKWD od 1923 roku było niemało dokonanych przestępstw.

W tym czasie, kiedy aresztowano Owczynnikowa z Tomska, w Nowosybirsku los ten spotkał naczelnika IV oddziału NKWD zachodniej Syberii K. Pastanogowa. W jego materiałach śledczych odnotowano, że będąc naczelnikiem oddziału operacyjnego, w końcu 1937 roku wyjeżdżał do Kołpaszewa a także do Kuzbasu, Anżerki, Lenińska i Prokoliewska dla prowadzenia operacyjnych kontroli z hasłem aktywizacji operacji zniszczenia, jakoby tam działających kontrrewolucyjnych szpiegowsko – dywersyjnych organizacji.

Specjalizował się głównie w aresztowaniu byłych członków WKP(b). Jak wykazano na przesłuchaniu, Pastanogow w 1938 roku według bezpodstawnych danych aresztował grupę pracowników branży kinowej z Nowosybirska, grupę pracowników nowosybirskiej obwodowej prokuratury w liczbie czternastu osób, a także osoby partyjnego aktywu w liczbie trzydziestu pięciu osób. Następnie on i jego podkomendni „drogą zastosowania metod przymusu fizycznego wpisali w protokoły przesłuchań aresztowanych wymyślone fakty działalności kontrrewolucyjnej, a tym samym sfabrykowali na nich sprawy sądowe”. W kwietniu 1938 roku Pastanogow z polecenia byłego naczelnika NKWD Gorbacza dał polecenie aresztowania w mieście Lenińsku sześćdziesięciu dzieci w wieku do dwunastu lat i przygotowania na nie dowodów, jako uczestników kontrrewolucyjnej faszystowskiej organizacji, w rezultacie czego aresztowane dzieci znajdowały się pod strażą prawie osiem miesięcy.

Za przytoczone powyżej te i inne „wypaczenia” Pastanogow 12 listopada 1940 roku został przez Trybunał Wojenny osądzony na osiem lat łagrów, jednak już po roku został przedterminowo zwolniony. W czasie zmiany „zespołu” Jeżowa na „zespół” Berii liczni funkcjonariusze NKWD nieoczekiwanie dla siebie zmienili swoje gabinety na cele więzienne, w okamgnieniu zmieniając się z oprawców w ofiary, choć z całą pewnością nie będące bez winy.

Dla niektórych funkcjonariuszy NKWD, wydaje się, nie była to całkiem nieoczekiwana zmiana roli i dekoracji w postępującym „spektaklu” terroru, tak jak aresztowania współpracowników CzK-MGB były typowym ruchem w systemie organów bezpieczeństwa kraju na przestrzeni wielu lat w ramach tzw. „czystek” aparatu władzy.

Poniżej tylko kilka przykładów z mojego rodzinnego okręgu narymskiego: 15 kwietnia 1932 roku został wykluczony z szeregów partii i wygnany z organów OPU „za związki z trockistami Narymia” współpracownik oddziału operacyjnego OGPU M. Tołstykin. 23 stycznia 1937 roku kriwoszeiński komitet partii wykluczył ze swoich szeregów współpracownika NKWD A. Letunowa – „w związku z jego aresztowaniem”. W marcu tego roku w Kriwoszeinie został aresztowany były pracownik NKWD W. Pietrowski za to, że w 1919 roku przy władzy Kołczaka służył jako sekretarz Nowo – Aleksandrowskiego komitetu wykonawczego, „a w roku 1920 aktywnie uczestniczył w kulaćkim powstaniu przeciwko władzy sowieckiej”. Takich przykładów można wiele przytoczyć.

W pierwszym szeregu system się „samooczyszczał” od tego, kto pozostał jeszcze człowiekiem, kto nie stracił do końca sumienia i przyzwoitości, kto uświadamiał sobie wytworzoną samowolę i chciał w czymkolwiek pomóc niewinnym.

Do takich ludzi można zaliczyć pracownika kriwoszeińskiego NKWD Nikołaja Czernycha, niestety, biorącego udział w aresztowaniach i przesłuchaniach moich krajan. Jak pokazują materiały sprawy śledczej Czernycha, pracując w latach trzydziestych w NKWD, zaczął stopniowo uzmysławiać sobie, co dzieje się w kraju naprawdę. Jak pokazują jego listy do żony Raisy, załączone do sprawy, jeszcze w początku lat trzydziestych, w szczyście kolektywizacji, zaczął powątpiewać w prawidłowość niektórych rozporządzeń władz.

Biorąc udział w dostawach zboża, sam przekonał się, jak zaganiano chłopów do kołchozów, rozkułaczano prawdziwych rolników, pozbawiając ich zdobytego przez wiele lat wielkim wysiłkiem majątku, domu... Te odczucia nasiliły się, kiedy zaczęto aresztować prostych chłopów – ludzi pracy z powodu „kontrewolucyjnego” paragrafu 58. Rozpatrując poruczone mu sprawy aresztowanych chłopów, utwierdzał się w przekonaniu, że obwinienia skierowane przeciw nim są gołosłowne. W takim przypadku w protokołach przesłuchań pisał całkiem nie to, czego oczekiwało jego kierownictwo. O swoich przemyśleniach otwarcie mówił swoim współpracownikom, ośmielał się bronić swojego zdania przed naczelnikiem rejonowego NKWD Kiperwasem, czym sprowadził na siebie gniew.

Od tej chwili Mikołaj Czernych był skazany. Byli towarzysze z pracy gotowi byli dać przeciw niemu niezbędne świadectwa, przypominając wszystkie fakty obrony aresztowanych w przeszłości, w szczególności, w obronie jednego Polaka, niejakiego Anatola Liber, obwinionego o szpiegostwo. Przypominano i to, że Czernych odmówił przyjmowania w swojej praktyce tzw.

„aktywnych” przesłuchań, czym obniżał wskaźniki pracy całego oddziału. Na dodatek jeszcze żona Czernycha, jak się okazało, miało swoich krewnych za granicą, w Polsce.

Aresztowano oboje. Z Raisy Czernych szybko zrobiono polskiego szpiega i rozstrzelano, jej męża oskarżono o ukrywanie szpiegów i skazano na piętnaście lat uwięzienia i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Dalszy jego los niknie w syberyjskich łagrach.

Ludzi podobnych do Czernycha pracowało w NKWD jednak niewielu, bo przecież do tych organów był szczególny nabór. Tych, którzy byli choć niewiele bardziej humanitarni od innych, „odsiewano”, a tych najgorszych, prymitywnych, dyspozycyjnych i nie znających mąk sumienia, zostawiano, zmieniając ich w prawdziwych sadystów.

Co zmieniało absolutną większość pracowników NKWD w wyrodków rodu ludzkiego? Co pozwalało im przekraczać wszystkie prawa i normy człowieczeństwa?

Każdy, pewnie tak było, miał swoje przyczyny, ale jasne jest, że główna przyczyna takiego zachowania u wszystkich była jedna – strach, żeby samemu nie znaleźć się w sytuacji uwięzionego. Ten strach paraliżował wszystkie inne zachowania. Ze strachu szli na falsyfikowanie spraw sądowych, na bicie i dręczenie uwięzionych. Ze strachu przejawiali aktywność do pracy, wysługiwali się, donosili na swoich współpracowników, a potem ich tłukli na przesłuchaniach albo sami stawali się obiektami dręczenia ze strony byłych towarzyszy z pracy, to już komu jak wypadło.

Nie mniejszym czynnikiem pielęgnowania całej armii sadystycznych młodzianów w mundurze NKWD była istniejąca w kraju pełna dla nich swoboda działania. Ta niczym nie ograniczona władza nad ludźmi pozwoliła tworzyć bezprawie, dokonywać przestępstw.

Nie uciekł od roli bycia podsądnym u swoich kolegów także naczelnik narymskiego oddziału okręgowego NKWD Istvan Marton lub, jak go z rosyjska nazywano wśród podwładnych, Stepan Stepanowicz. Wiadomo, że urodził się na Węgrzech w 1897 roku w rodzinie urzędniczej, skończył osiem klas gimnazjum. W 1915 roku został zmobilizowany do austro-węgierskiej armii, a w rok później trafił do rosyjskiej niewoli. Przebywając w niej, poznał bolszewików, z którymi związał się w przyszłości. W 1918 roku wstąpił do oddziału partyzanckiego Ławrowa, który walczył przeciw oddziałom białych Czechów pod Irkuckiem na Syberii. W październiku tego roku znalazł się u nich w niewoli, ale dwa miesiące później uciekł z niej i do roku 1920 ukrywał się u jednego z chłopów. Wraz z ustanowieniem na Syberii władzy sowieckiej zaczął służyć w oddziałach CzK – OGPU – NKWD. Służbę pełnił

na Zabajkału, w Omsku, Barnaule, Tomsku. Od 1934 roku reprezentował narymski oddział NKWD. Jako naczelnik okręgowego organu kary przewodził wszystkim operacjami aresztowania „wrogów ludu” na swoim terytorium, potwierdzał wnioski o areszcie i wypisywał nakazy.

W styczniu 1938 roku S. Marton sam został aresztowany i wysłany etapem do więzienia w Nowosybirsku (według innych informacji został wezwany na naradę i aresztowany bezpośrednio w Nowosybirsku). Tam mu postawiono oskarżenie o przynależność do kontrrewolucyjnej prawicowo-trockistowskiej organizacji i prowadzenie aktywnej walki z partią i władzą sowiecką. W postanowieniu o jego aresztowaniu zaznaczono, że jest naczelnikiem narymskiego okręgowego oddziału NKWD i, jakoby „systematycznie nie wypełniał rozkazów Narodowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych i dyrektyw NKWD w walce z kontrrewolucją, celowo ukrywał przed aresztowaniem członków trockistowskiej organizacji oraz polsko-łotewskich oraz japońskich szpiegów.”. Przez następne osiemnaście miesięcy, dopóki było prowadzone przeciwko niemu śledztwo, usilnie chciano uzyskać od niego przyznanie się do winy, ale Marton uporczywie odrzucał obwinienia, najpewniej, dobrze rozumiejąc następstwa takiego przyznania się.

Nie wiadomo, jak długo jeszcze przedłużałyby się nieprzerwane „taśmy” przesłuchań byłego naczelnika narymskich czekistów, gdyby nie nastąpiły aresztowania stronników Jeżowa i przyjęte do rozpatrzenia skargi osadzonych wcześniej współpracowników tego urzędu. W czerwcu 1939 roku Marton został zwolniony, przywrócono mu wszystkie stanowiska i tytuły, pieniędźmi skompensowano mu naderwane w czasie przesłuchań zdrowie. Jak wiadomo, później pracował na stanowiskach kierowniczych w systemie łagrów Tomasin NKWD.

Słabiej powiodło się następcy S. Martona na stanowisku naczelnika narymskiego okręgowego oddziału NKWD A. Surowowi. Z nim nie cackano się jak z Martonem: szybko po aresztowaniu został 21 czerwca skazany na najwyższy wymiar kary i rozstrzelany.

W 1937 roku rozstrzelano jako agenta japońskiego polityczno-wojskowego wywiadu zastępcę naczelnika tomskiego oddziału NKWD K. Welederskiego. Taki los spotkał szereg partyjnych i sowieckich funkcjonariuszy z zachodniej Syberii, włącznie z byłym przywódcą syberyjskich partyjniaków Eiche. Rozstrzelano byłego sekretarza narymskiego okręgowego komitetu partii Levica, aresztowani zostali i osądzeni jako „wrogowie ludu” sekretarze tomskiego komitetu miejskiego S. Kurowski, W. Kuzelew, M. Małyszew i wielu innych spośród towarzyszy partyjnych, którzy organizowali i prowadzili ideologiczną przykrywkę stworzonego w kraju terroru.

Mówiąc o represjach pośród funkcjonariuszy NKWD, partyjnych i sowieckich działaczy, nie należy przeceniać ich skali. Według rezultatów badań członka rady tomskiego „Memoriału”, dr I. Kuzniecowa, liczba represjonowanych członków partii wśród całej liczby wszystkich represjonowanych w obwodzie tomskim w latach trzydziestych do pięćdziesiątych, nie wynosiła więcej niż 1%. Główny nacisk terroru skierowany został na prosty rosyjski naród, na takich ludzi, jak moi krajanie z Białegostoku.

Przytłaczająca większość „władców losów”, szczęśliwie unikając okresowych czystek i wstrząsów swojego aparatu, z roku na rok otrzymywała nowe orde-ry, medale, tytuły, emerytury i nagrody.

Dla przykładu, wiadomo, że tacy byli miejscowi działacze jak śledczy kriwoszeińskiego NKWD A. Docenko, dochrapał się nawet tytułu naczelnika przemysłu paliwowego w tomskim Komitecie Wykonawczym, współpracownik tomskiego NKWD G. Gorbienko został dyrektorem technikum budowlanego. Byli współpracownicy narymskiego NKWD I. Bolszakow, S. Karpow, S. Filipowicz w latach pięćdziesiątych zajmowali liczne kierownicze stanowiska w urzędzie MWD w obwodzie tomskim.

W KGB obwodu tomskiego nadal służyli dawni funkcjonariusze NKWD: I. Pieczenkin, P. Kazancew, D. Sałtymakow, A. Lew, S. Priszczepa i inni. Były współpracownik tomskiego oddziału miejskiego NKWD N. Wielikanow doszedł do stanowiska zastępcy przewodniczącego KGB Republiki Łotewskiej i w 1958 roku odszedł na emeryturę. A. Kartaszow ze śledczego NKWD przekwalifikował się w adwokata i pracował w tomskim kolegium adwokackim. Naczelnik kriwoszeińskiego NKWD N. Kiperwas szczęśliwie przepracował w organach KGB do 1954 roku i przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika.

W pierwszym okresie procesu rehabilitacji ofiar represji została podjęta próba pociągnięcia do odpowiedzialności w karnym i partyjnym układzie byłych funkcjonariuszy NKWD za ich przestępstwa. Jednak przeciwko temu aktywnie przeciwstawili się na wszystkich szczeblach ci, którzy w latach trzydziestych sami byli „władcami dusz” i te funkcje nadal pełnili dwadzieścia lat później.

Według ustaleń I. Kuzniecowa, w okresie 1956–1959 na posiedzeniach nowosybirskiego, kemerowskiego i tomskiego komitetów partii były rozpatrzone personalne sprawy dwudziestu siedmiu byłych funkcjonariuszy NKWD, spośród których jedynie dziesięciu ludzi zostało wykluczonych z szeregów partii, mieli ograniczoną wypłatę emerytury do 50%, zmianę formuły rozkazu o zwolnieniu z organów MWD lub KGB, bądź pozbawienie niektórych wcześniej przyznanych nagród. Jednak i w tym przypadku niektórzy z wyku-

czonych z partii, byli falsyfikatorzy, bardzo szybko doczekali się ponownego rozpatrzenia swoich spraw i w pełni odzyskiwali swoje tytuły i przywileje.

Dla ilustracji, były współpracownik tomskiego oddziału NKWD G. Gorbienko postanowieniem komitetu partii w Tomsku z dnia 27 grudnia 1957 roku został wykluczony z jej szeregów za to, że będąc śledczym NKWD, jedynie według niepełnych danych sfabrykował sprawy karne na stu osiemdziesięciu pięciu ludzi, spośród których stu pięćdziesięciu zostało następnie rozstrzelanych. Jednak swoje wykluczenie z partii Gorbienko uznał za nazbyt surowe i równo w miesiąc od decyzji zwrócił się do obwodowego komitetu partii ze skargą. Napisał w niej, że „przychodząc w 1935 roku do miejskiego oddziału NKWD w Tomsku, nie miał profesjonalnego doświadczenia, pracował według zwykłych wskazówek starszych przełożonych i stąd, nie mógł wpływać na zmianę naruszanego prawodawstwa”.

Rozpatrując jego skargę, biuro komitetu w tym wypadku postanowiło „uwzględniając przedawnienie popełnionych przestępstw” zmienić swoje poprzednie postanowienie o wykluczeniu go ze swoich szeregów i ograniczyć się jedynie do srogiej reprimendy z wpisaniem jej do akt partyjnych. Ale Gorbienko nie zadowolili się i takim postanowieniem i w 1960 roku staraniem komitetu miejskiego partii i „w związku z pozytywną charakterystyką” w pracy w charakterze dyrektora miejskiego technikum budowlanego, wspomniane wcześniej biuro zdjęło z niego wszystkie wcześniejsze zarzuty.

Tym sposobem, fakty to potwierdzają, byli funkcjonariusze NKWD nie tylko nie ponieśli karnej odpowiedzialności za swoją „heroiczną przeszłość”, ale, pozostając na stanowiskach kierowniczych oraz w sądowych i partyjnych strukturach, we wszystkim przeciwstawiali się *normalnemu przebiegowi rehabilitacji ofiar represji i skazaniu winnych*.

Jak stwierdził w swoich wspomnieniach były śledczy KGB, w tomskim obwodzie A. Spragowski, zajmujący się w końcu lat pięćdziesiątych rehabilitacją w odniesieniu do funkcjonariuszy śledczych oddziałów KGB okazało się sporo kompromitującego materiału w odniesieniu do byłych pracowników NKWD S. Karpowa, I. Bolszakowa, A. Lwa i innych. A. Spragowski wystąpił na jednym z zebrań partyjnych KGB i chciał zwolnić byłych falsyfikatorów z organów KGB, a także wykluczyć ich z partii. Reakcja nastąpiła błyskawicznie, jednak nie ta, na którą liczyli wnioskujący i jego poplecznicy. Na kolejnym partyjnym zebraniu A. Spragowskiemu „za pomawianie kierowniczych organów KGB oraz ganień starych kadr czekistowskich” udzielono ostrej reprimendy wraz z wpisem do akt, a potem szybko został zwolniony ze struktur KGB.

Aktywnie bronił byłych pracowników NKWD, kontynuujących swą pracę w organach bezpieczeństwa, naczelnik KGB w obwodzie tomskim pułkownik

S. Priszczepa, zajmujący to stanowisko w latach 1954–1960. Jak się potem okazało, on sam, będąc w latach 1937–1938 pełnomocnikiem operacyjnym NKWD w obwodzie moskiewskim, brał udział w pozaprawnych praktykach prowadzenia śledztwa i niszczenia niewinnych ludzi. Kiedy w 1959 roku przysłano na niego materiały z Moskwy, zawierające jego ciemne sprawy czekistowskie, tomskie biuro komitetu obwodowego KPZR ograniczyło się do jedynie towarzyskiego osądzenia swojego członka biura, kwalifikując jego przestępstwa jedynie jako „powierzchowne prowadzenie śledztwa”. Dopiero po wielokrotnych interwencjach do komitetu partii niektórych śledczych KGB z koniecznością osądzenia Priszczepy, biuro 14 lipca 1959 roku przyjęło postanowienie o udzieleniu mu ostrej nagany „za głębokie naruszenie sowieckiego prawodawstwa i niepartyjne zachowanie się”.

Podobne praktyki zachodziły nie tylko w obwodzie tomskim, ale w całym kraju w czasie chruszczowskiej „odwilży”.

A jednak, nie patrząc na hamowanie procesu rehabilitacji w latach pięćdziesiątych ze strony „inżynierów dusz” i ich jawną niechęć do zajmowania się tą sprawą wszechstronnie, zostali przesłuchani zarówno byli śledczy NKWD, jak i ofiary ich przestępstw. Tym sposobem, wówczas zostały wyjaśnione niektóre szczegóły działania mechanizmu represyjnej maszyny NKWD w okresie lat trzydziestych i czterdziestych. Jednak rezultaty tych poszukiwań nie stały się jawne dla narodu. Ta rehabilitacja zachodziła „przy zamkniętych drzwiach”, nosiła resortowy charakter, a niebawem została całkowicie zerwana.

Obecnie, zapoznając się z archiwalnymi materiałami śledczymi represjonowanych w latach trzydziestych, udało się dowiedzieć, jak wyglądał proces rehabilitacji w dwadzieścia lat później, jakie wyjaśnienia z przeszłości dawali dawni śledczy NKWD.

Udało mi się zaznajomić z protokołami przesłuchań śledczych Filipowicza, Smirnowa, Karpowa, Merinowa, Krysowa i innych. Wszyscy oni, w tej czy innej formie, przyznali się do fałszowania spraw karnych przeciwko aresztowanym i zdobywania potrzebnych zeznań przyznających się do winy.

I tak B. Merinow, w latach 1937–1949 pracujący jako pełnomocnik operacyjny narymskiego oddziału NKWD, na przesłuchaniu w dniu 27 czerwca 1957 roku powiedział, że w latach 1937–1938 pracował w grupie śledczej, kierowanej przez S. Karłowa i prowadził sprawy członków tzw. organizacji ROWS, o działaniu której dowiedział się dopiero z rozkazów NKWD i całego szeregu wyciągów. Na przesłuchaniu wspominał on, że w odniesieniu do poszczególnych obywateli były prowadzone sprawy ewidencji operacyjnej,

z których wynikało, że w przeszłości oni jakoby prowadzili walkę przeciwko władzy sowieckiej lub służyli w białej lub innych armiach. Pokazał, że do eserowsko-monarchistycznej organizacji zostali zaliczeni byli oficerowie, kufacy i kategoria osób wcześniej represjonowanych przez władzę sowiecką.

Do POW zaliczono w szczególności obywatele narodowości polskiej. Śledztwo prowadzone było tzw. uproszczonym sposobem. Był przygotowany schemat, według którego śledczy prowadzili przesłuchania. Przesłuchania poprzedzała „kameralna obróbka” aresztowanych, organizowana przez kierownictwo oddziału. Śledczą pracą oddziału w okresie operacji bezpośrednio kierowali przedstawiciele NKWD zachodniej Syberii, w szczególności K. Pastanogow i A. Wołkow, a także naczelnik oddziału okręgowego N. Kalinin.

Na przesłuchaniu 27 marca 1956 roku S. Filipowicz, pracujący w narymskim oddziale NKWD w okresie 1938–1940, stwierdził, że od niego i innych funkcjonariuszy kierownictwo oczekiwało w czasie śledztwa odzwierciedlenia w protokołach przesłuchań praktycznej kontrrewolucyjnej działalności oskarżonych. Żeby wypełnić to zadanie, śledczy w trakcie przesłuchań ustalali miejsce pracy aresztowanych, rodzaj zajęć, interesowali się tym, czy w ich pracy lub w ich miejscowości były jakieś fakty pożarów, padnięcia bydła itd. Potem dopisywali w zeznaniach oskarżonych zawartość tych lub innych aktów jako szkodniczych lub o dywersyjnym charakterze.

Mniej otwartym na przesłuchaniu u śledczego A. Spragowskiego okazał się S. Karpow, pracujący w narymskim oddziale NKWD w latach 1937–1940, w chwili przesłuchania w 1956 roku piastujący funkcję naczelnika specjalnej inspekcji MWD w obwodzie tomskim. To on w czasie przesłuchania przekazał wyjaśnienia, że otrzymanie od aresztowanych zeznania przyznające się do udziału w jakiejś kontrrewolucyjnej organizacji nie przedstawiało żadnych trudności.

Dalej stwierdził, że oskarżeni denuncjowali w związku z postawionymi im zarzutami innych obwinionych, demaskowali przesłuchiowanych w ich przynależności do tej lub innej organizacji. I jakoby na tej podstawie aresztowani dawali obciążające siebie zeznania. Powiedział, że przesłuchiwanie aresztowanych w liczbie siedmiu–ośmiu osób w ciągu doby uważane było za normalne osiągnięcie. Zauważył, że fizycznej presji osobiście na przesłuchaniach nigdy nie stosował, a czy tak robili inni, tego nie wie.

Pomniejszali swoją rolę w dokonanych przestępstwach praktycznie wszyscy byli współpracownicy NKWD, uważając siebie jedynie za wykonawców obcej woli. Liczni nie mieli poczucia dokonywania jakiś przestępczych dzieł, a fizycznego nacisku wobec aresztowanych sami nie stosowali, tak przynajmniej wynikało z ich słów.

Jednak dochodzenie do faktów – to sprawa wymagająca uporów. Dokumenty archiwalne i wspomnienia ocalałych ofiar mówią o tym, że wykorzystywane na przesłuchaniach tortury były postanowione na samej „górze” i były szeroko wykorzystywanym sposobem oddziaływania na uwięzionych. Jedni wykorzystywali je, by tak powiedzieć, „pod przymusem”, inni sami przejawiali w tym względzie inicjatywę i pomysłowość.

Tak na przykład były współpracownik tomskiego oddziału miejskiego NKWD S. Wielikanow, który potem został wielkim naczelnikiem w systemie KGB, oprócz takich normalnych „środków oddziaływania”, jak uderzenia ręką pistoletu po głowie i kręgosłupie lub zatrząskanie palców przesłuchiwanego drzwiami gabinetu, posiadał w swoim arsenale i inne chwytły. Przykładowo, taki efektywny sposób do pozyskiwania obciążających zeznań – najbardziej opornych sadzał na odwróconej nóżce krzesła, przystosowując średniowieczny sposób stosowania tortur z czekistowskim udoskonaleniem.

Za to jego kolega K. Pastanogow był człowiekiem przodującym naukowego spojrzenia i w swojej pracy wykorzystywał bardziej współczesne metody tortur. W szczególności, przywiązywał aresztowanych do krzesła, przywiązywał do ich rąk i nóg przewód polowego telefonu i kręcił korbką generatora. Zresztą, nie opuszczał okazji poznękania się nad ludźmi i bez jakichkolwiek współczesnych patentów, następując obcasem buta na gardło lub mosznę przesłuchiowanych.

Naczelnik drogowo-transportowego oddziału miejskiego urzędu bezpieczeństwa państwowego ZSRR w kolejach tomskich A. Niewski swoje ofiary męczył w ten sposób, że kłuił ich w pośladek sztydłem, nakręcał na wielki gwóźdź włos i tym sposobem rwał je z głowy lub innych części ciała. Szeroko stosowane były i inne „środki nacisku”, w zależności od intelektualnego poziomu w sadystycznych skłonnościach „inżynierów dusz”. I tutaj ich wyobraźnia była nieograniczona. Nie na próżno w swoim czasie podobne doświadczenie sowieckich organów skrupulatnie było nauczane i wykorzystywane przez nazistowskie organy przymusu.

Przejawiali pomysłowość pracownicy NKWD nie tylko w torturach, ale i w sposobach doprowadzenia do realizacji wyroków śmierci: w krótkim czasie bez szczególnego szumu rozstrzelać ogromną masę narodu to też trzeba było umieć. W Tomsku członkowie „Memoriału” drogą wywiadów ze starszymi mieszkańcami oraz metodami wykopów stwierdzili dwa miejsca masowych rozstrzeliwań: w głębokim i głuchym jarze niedaleko od więzienia miejskiego i w podziemiach oddziału NKWD, który znajdował się w latach trzydziestych w budynku na prospekcie Lenina 44.

W jarze rozstrzeliwano i zakopywano ofiary, jak widać, bez szczególnych środków ostrożności, tak jakby „zapadła dziura” na skraju miasta wykluczała,

według opinii oprawców, przeniknięcie tutaj „postronnych oczu”. A jednak liczni mieszkańcy miasta wiedzieli, że na Kasztaku w jarze rozstrzelują „wrogów ludu”. Żyjący w pobliżu mieszkańcy słyszeli wieczorami i nocą ze strony wąwozu głuchoe dźwięki wystrzałów i krzyki ludzi. Najbardziej odważni podchodzili za dnia do jaru i znajdowali nieduże górkę świeżo skopanej ziemi, a także jeszcze puste transeje. Wykopaliska z 1989 roku przeprowadzone przez członków „Memoriału” w spodziewanych miejscach rozstrzeliwań potwierdziły wspomnienia starszych osób.

W miejskim oddziale NKWD przesłuchania jakoby prowadzone były w jednej z podziemnych cel. Współpracownik tomskiej gazety miejskiej Giennadij Burmatow podzielił się swoimi wspomnieniami o tym, jak jeszcze w latach czterdziestych stał się posiadaczem tej czekistowskiej tajemnicy. Nie kwestionując, ale i nie potwierdzając jego opowieści, przytoczmy ją w dosłownym brzmieniu:

„Moja ciocia ze strony matki w latach trzydziestych pracowała jako zarządzająca stołówką NKWD w korpusie budynku naprzeciw obecnej rady miejskiej. Tu poznała oficera NKWD Michaiła Nieganowa i wyszła za niego za mąż. Od „ciężkiej” pracy, na początku lat czterdziestych, funkcjonariusz dosłownie się zapili, ale nadal służył jeszcze w organach władzy. W końcu wojny, ostatecznie wyrzucono go z NKWD i grożono, zabrawszy mu broń, że zostanie wysłany na front. Ale wojna już się kończyła i o nim zapomniano. Michaił Nieganow, sądził, jak sam o tym opowiadał, że wraz z końcem wojny nastąpi amnestia i historia egzekucji NKWD i tak stanie się znana, zaczął więc w rozmowach z bliskimi krewnymi otwarcie wspominać o swoich „zajęciach” w NKWD w latach trzydziestych.

Pewnego razu usłyszałem jego rozmowę z moimi rodzicami. Opowiadał o tym, że w 1937 roku, w samym szczycie represji, technologia masowych zabójstw w ścianach NKWD była specyficzna. Stolarzom dawano szczególne polecenie: naostrzyć kilka skrzynek drewnianych korków. Skrzynie z czopami przynoszono do jednego z pomieszczeń w podziemiach NKWD, gdzie rozstrzeliwano „wrogów ludu”. Tutaj wprowadzano pojedynczych skazańców, kładziono na podłogę i strzelano w głowę. Następnie z wprawą zatykano utworzoną dziurę w głowie drewnianym czopem. Ciało zabitego przenoszono do drugiego pomieszczenia, a do pierwszego, jak w zakładzie fryzjerskim, „zapraszali kolejnego klienta”.

Po takiej „operacji” trzech-pięciu ludzi i tak przychodziło wycierać z podłogi kałuże krwi. A zatem toczenie drewnianych czopów – była to praca zbyt ciężka. Wówczas kierownictwo postanowiło zmienić technologię zabijania. Skazanych na rozstrzelanie zaczęto ze związanymi rękoma umieszczać

na ciężarówkach i wywozić w Kasztak, a tam zrzucano do rowu, gdzie uderzano ich łomami po głowach. Przy tym procederze zabijani okropnie rycieli. Ich dziki ryk roznosił się po okolicy, ażeby go zagłuszyć funkcjonariusze NKWD zaczęli przywozić ze sobą do Kasztaku dwa kowadła. Dwóch czekistów bez pożytku waliło młotkami po kowadłach, a pozostali walili gorliwie łomami „wrogów ludu”. Z oddalenia mogło to wyglądać na zwykłą pracę z okrzykami „Hej – hop!”.

O sposobach eliminowania „wrogów ludu” w kołpaszewskim oddziale okręgowym NKWD opowiedział mi przy spotkaniu w 1989 roku mieszkaniec Tomska Iwan Starikow, w latach 1937–1938 służący w plutonie konwojowym narymskiego NKWD. On osobiście, jak mi powiedział, nie rozstrzeliwał osądzonych, ale wiedział, kto i jak to robił. Według jego wspomnień w liczbie oprawców był jego kompan, komunista Grigorij Trifonow, w przyszłości zmobilizowany, wysłany na front, gdzie zginął. Byli wśród nich także współtowarzysze z plutonu konwojowego Piotr Wołkow, Mietła, Sewostianow, Biełosiudcew i inni. Wszystko to byli komuniści.

Przy rozstrzeliwaniu oprawcy odgrywali następujący spektakl: ogłaszali o formowaniu etapu do Tomska i przeprowadzeniu przed tym medycznego badania. Niczego nie podejrzewających więźniów, ubranych jedynie w spodnią bieliznę, pojedynczo zaprowadzano do specjalnego pomieszczenia, gdzie za stołem w białych kitlach siedziała „komisja medyczna” i „sanitariusze”. Ludzie w kitlach najpierw pytali o dane personalne, pytali o samopoczucie, potem następowały „ogłędziny lekarskie”. Biełosiudcew, grający rolę lekarza, nakazywał skazanemu stawać na specjalnie przygotowany przyrząd dla zmierzenia wzrostu, ustawiony tuż obok niedużego szmacyanego parawanu. Za parawanem, za plecami aktualnie mierzonego, stał jeden ze specjalistów z naganem w rękę. Minutę później podchodzili „sanitariusze” i odciągali trupa do drugiego pomieszczenia i zapraszali na „ogłędziny lekarskie” następnego skazańca.

Potem rozstrzelanych zrzucano w głębokie jamy, wryte na terenie NKWD. Przy czym jamy te nie były od razu zakopywane, ale dopiero po wypełnieniu ich ciałami. Dla uniknięcia trupiego zapachu jedna partia trupów była oddzielana od drugiej warstwą wapna.

Te właśnie jamy zostały odsłonięte przez wiosenne potoki Obu w maju 1979 roku. „Inżynierowie dusz” barbarzyńsko zniszczyli te tajne pochówki już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wspominał I. Starikow także o tym, że odzież rozstrzelanych wywożono nie jedną furmanką, ale dwiema, trzema, wywożono ją na łąki i palono. Taką odpowiedzialną pracę wypełniali żołnierze plutonu konwojowego, odbywała się ona w nocy.

Politrak tego plutonu Szałdo pewnego razu w trakcie pracy uległ czarowi pewnej czarnej pelisy, która także miała być zniszczona. Jakimś sposobem o tym „nie partyjnym postępku” Szałdy dowiedziało się kierownictwo i został on zwolniony z pracy.

Opowiadał Starikow także o tym, że egzekucje w Kołpaszewie prowadzone były nie tylko na terytorium oddziału NKWD, ale jeszcze gdzieś poza miastem. Wniosek ten wyciągnął na tej podstawie, że zimą uwięzionych często sadzano do specjalnie wykonanej budki w saniach ciągnikowych i wywożono, jakoby do Tomska, traktor dość szybko wracał, jednak już bez aresztowanych.

Chodziły słuchy wśród miejscowej ludności o tym, że narymscy czekaści likwidowali „wrogów ludu” także przez topienie ich na barkach, jednak żadnych osobistych świadków takich zdarzeń tomski „Memoriał” nie odnalazł.

Konfrontując wspomnienia jedyne go ocalałego białostoczanina Jana Jocz z tymi pogłoskami, a także brakiem wielu nazwisk naszej wsi w odkopanych kołpaszewskich spisach rozstrzelanych, skłonny jestem przyjąć zdanie, że słuchy te mają realną podstawę. Wiadomo, że taki sposób rozprawy z „wrogami ludu” wykorzystywany był jeszcze w czasie wojny domowej, kiedy ludzi topiono na barkach w Morzu Białym. A przecież „postępowi i efektywni” w swojej pracy czekaści nie zwykli rezygnować z każdej okazji do zabijania.

Zapoznając się z wyżej przytoczonymi danymi o niektórych syberyjskich „inżynierach dusz”, ich właściwych losach i wykonanych pracach, mogliśmy się po raz kolejny przekonać, że w czasach chruszczowowskiej „odwilży” przegniatająca większość oprawców z NKWD nie została odsunięta od pracy, a raczej kontynuowała swą aktywność w systemie wymiaru sprawiedliwości. I nie dlatego też, że o ich „sławnej przeszłości” władza nie wiedziała: po prostu byli jeszcze potrzebni nadal funkcjonującemu systemowi sowieckiego totalitaryzmu.

Jan Szczygiła

Część 3.

Z RODOWODÓW

Jan Szczęściarz

*Sybirak,
Wychowywałem się w leśnej krainie,
Gdzie płynie Irtysz i Ob, i Lena...
Znam swój rodowód
Jedynie do czwartego pokolenia...*

Wasył Fiodorow

Jana Kisiela, mieszkającego we wsi Białystok przez całe swoje życie, bez żadnej przesady można nazwać człowiekiem, któremu bardzo często powodziło się w życiu. Urodził się w Rosji w roku, w którym rozpoczął się socjalistyczny eksperyment, czyli był rówieśnikiem „Wielkiego Października”. Innego życia, oprócz sowieckiego, nie znał. Dlatego jego pomyślność i szczęście były czysto nasze, sowieckie.

O jego dzieciństwie można niewiele powiedzieć. Wiadomo jedynie, że szybko został sierotą, wobec czego wiele przeżył w swoim ubogim dzieciństwie, ale przede wszystkim przeżył, nie umarł. To jego pierwsze szczęście.

Udało się Janowi także w 1938 r., kiedy w lutową noc praktycznie wszystkich mężczyzn ze wsi spośród Polaków aresztowano i pognano etapem do Kołpaszewa. Mało kto stamtąd wrócił, a Janowi Kisielowi się udało, udało po wielokroć. On nie tylko nie dostał wyroku, ale w ogóle nie był sądzony. Po kilku dniach pobytu w celi konwojent wyciągnął go wieczorem za miasto, nakazał, żeby jak najszybciej uciekał, a sam wystrzelił z karabinu. Dokładnie nie wiedział Kisiel, czy konwojent wówczas nie trafił do niego, czy strzelał celowo w niebo. W następstwie tego zdarzenia, już nikt nie chciał go aresztować, a on sam o tej historii milczał przez wiele lat.

Kolejny raz udało się Janowi przed samą wojną. Dosłownie w przeddzień wojny zabrano go razem z grupą innych mężczyzn ze wsi, ale tym razem do oddziałów armii pracowniczej, tzw. trudarmii. O zgodę, rzecz jasna, nie pytano. Janowi wraz z bratem Kosmą, przyszło wydobywać węgiel w kopalniach Kuzbasu. Doświadczeni ludzie mówili, że status trudarmiejca w tych latach niczym praktycznie się nie różnił od praw i obowiązków sowieckiego więźnia. Obowiązków u tych ludzi, podobnie jak u uwięzionych, było mnóstwo, a prawo tylko jedno – oddać swoje bezwartościowe życie państwu i bezpłatną

siłą roboczą dla wielkich i małych budów socjalizmu. Z jego bratem Kosmą tak się właśnie stało – został żywcem pogrzebany w jednej z podziemnych sztolni w czasie kolejnego tąpnięcia. Jan Kisiel nie chciał doświadczać swego życia na pracowniczym froncie i samowolnie uciekł z kopalni do rodzinnej wsi. Za dezercję według wojennego prawa podlegało się pod trybunał wojenny, jednak Jan uciekł także od niego: wyszedł z podziemia i zapisał się jako ochotnik na front.

Rozmowa o znaczeniu szczęśliwego przypadku i powodzeniu na froncie jest szczegółna. Przecenić ich nie można. Jak wiadomo, od ślepej kuli nikt nie był ubezpieczony, tym bardziej na pierwszej linii. Jan jednak nie rwał się do zostania bohaterem, ale wojował, nie chowając się za plecy innych. Początkowo służył jako szeregowiec w 15 pułku strzeleckim, potem w szeregach 110 pułku strzeleckiego 1 Frontu Białoruskiego. W marcu 1944 r. został ranny i około pół roku spędził w szpitalach. Trochę go podleczyli i ponownie odprawili na front wyzwalać Polskę, rodzinną ziemię jego przodków. Ponowna rana i jako podsumowanie szlaku bojowego – w kwietniu 1945 r. zwolnienie z armii z diagnozą, „lekkie zranienie w lewą część pleców z podrażnieniem nerwu”.

Naturalnie Jan uważał się wówczas za szczęściarza, bo czyż to nie fart, że został żywy, doszedł do domu na własnych nogach. Daleko nie wszystkim walczącym na froncie trafiło się takie szczęście. Dla przykładu, kolejny jego brat Józef, zginął na jednym z frontów w 1942 r.

Nie mniej szczęściło się Janowi Kisielowi w powojennym, pokojowym życiu. Od razu po powrocie do domu mianowano go w kolchozie brygadzystą upraw polowych, przez pewien czas był przewodniczącym kolchozu, a w 1968 r. przy przekształceniu kolchozu w sowchoz został wyznaczony zawiadującym białostockiego oddziału sowchozu.

Jednym słowem, większą część swojego pracowniczego życia spędził na kierowniczej pracy, oczywiście w miejscowej skali. Charakterystyczną częścią kierowniczej pracy na tym poziomie było to, że za wysokie produkcyjne sukcesy gospodarstwa, jeśli takie się pojawiały, honory i nagrody dostawały się powyższemu kierownictwu, ale za to wszystkie guzy za jakiegokolwiek pomyłki i niedostatki zwały się na głowy kierowników niższego szczebla.

Także i Jan Kisiel za wszystkie lata swojego kierownictwa, oprócz dyplomów i podziękowań, posiadał niemało nagan i kar wymierzonych po linii administracyjnej i partyjnej. Udało się, że nie trafił pod sąd za jakieś niezrealizowane zadania i nieposłuszeństwo. Przecież niemało osób z jego stanu zapłaciło swoimi stanowiskami, legitymacjami partyjnymi czy nawet wolnością za prawdziwe czy rzekome nadużycia.

Wiadomo, że smakowanie władzy nad ludźmi, niech nawet bardzo skromnej, nie następowało bez następstw. Jak powiadają, były u Jana Kisiela objawy „zbiorowej choroby”. A jednak otrzymana władza nad ludźmi nie zepsuła go ostatecznie. W pamięci większości mieszkańców wsi pozostał brygadzystą i kierującym oddziałem sowchozu, różniąc się od innych miejscowych naczelników przede wszystkim wielkim człowieczeństwem i sprawiedliwością w stosunku do ludzi, osobistą bezinteresownością i wesołym charakterem. A to niemało dla dobrej pamięci po sobie. Udało się i w tym.

Oczywiście były w życiu Jana takie okresy, kiedy o fardzie nie można mówić. Dla przykładu, tak zdarzyło się w 1945 r., kiedy wrócił ranny do wsi i okazał się obcym i zbytecznym dla własnej żony. Nielatwo było to przeżyć, zostawić dwie córeczki (kolejnych dwoje jego dzieci zmarło w czasie wojny, kiedy walczył na froncie). Ale i to przeżył Jan Kisiel.

Potem ożenił się ze Stefanią Pilewicz, pozostawioną z woli NKWD bez męża, z dwójką małoletnich dzieci. To była moja babcia, a jej córka Walentyna – to moja mama. W ten sposób stał się Jan dla niej, jak i jej młodszego brata Aleksandra, choć nie rodzonym, ale naprawdę troskliwym ojcem. Potem urodziła się córka Halina. Dla mnie i moich braci wujek Jan pozostał w pamięci bardzo dobrym i ukochanym wujem, ale myślę, że i jemu niemniej udało się z naszą babcią, która była mu wierną towarzyszką życia przez ponad czterdzieści lat.

Wujek Jan, tak na starość nazywali go nie tylko bliscy, ale niemal wszyscy dorośli i starsi ludzie, był człowiekiem godnym uwagi z wielu względów. Kiedy odszedł na emeryturę, nadal za swój obowiązek uważał trzymać rękę na pulsie we wszystkich istotnych sprawach w sowchozie, a przy wykazywaniu różnych niedostatków nie okazywał nie radzącemu sobie, kim on to nie jest. Z ochotą wypełniał wiele różnorodnych społecznych funkcji i obowiązków: od członka ludowego kontrolera po deputowanego rady wiejskiej.

Prawdziwą jego pasją, której mógł się oddać w pełni dopiero po przejściu na emeryturę, było myślistwo. Odnosił tu wiele sukcesów, przynosząc do domu wiele trofeów, nie tylko dziczyznę, ale i skórki lisie, rogi łosjów, a pewnego razu nawet ogromną skórę samicy niedźwiedzia.

Pod jego postacią, sugestywną także w starości, odnaleźć można jego charakter, nie cierpiący pozoru i gwałtownych zmian własnych poglądów. Wychowany w młodości w duchu kodeksu stalinowskiego „budowniczego socjalizmu”, bynajmniej nie od razu przyjął nowe prądy okresu chruszczowskiej „odwilży”.

Jego córka Halina opowiadała, jak w dzieciństwie była świadkiem rodzinnego konfliktu na kanwie ideowych różnic rodziców w kwestii osoby „ojca

narodów". Było to od razu po XX zjeździe partii komunistycznej, kiedy po raz pierwszy otwarcie powiedziano o kulcie jednostki. W ich domu na półce stał portret Stalina (stanowisko brygadzysty kolchozu zobowiązywało). A tu pewnego razu moja babcia Stefania chwyciła ten portret i chciała wrzucić go do pieca, odkrywając brutalną prawdę, że bohater z portretu na półce jest potworem, który mnóstwo narodu wytracił. Na to wuj Jan poderwał się, żeby ten portret ratować, wyzywając ją i w odpowiedzi wykrzykując: „My na froncie szliśmy do boju, krzycząc – za ojczyznę, za Stalina!”

Nie, stuprocentowym stalinowcem nie pozostał, wiele w swoich poglądach zmienił, ale nadal dość wysoko oceniał rolę Stalina w wojnie. Był człowiekiem swojego pokolenia i pozostał nim do końca życia.

Można powiedzieć, że wujowi Janowi udało się, jakby to bluźnierczo nie brzmiało, odejść w inny świat. Zmarł w 1982 r. po długiej chorobie, przeżywając męczące, fizyczne bóle. Ale kto wie, czy nie cierpiałby bardziej, gdyby dożył do naszych czasów, widząc pełny rozpad Sowietów, kolchozu i wszystkiego tego, co stanowiło podstawę jego życia. Przez całe życie modlił się do innego Boga, miał inne ideały i w nich był szczęśliwy. Naprawdę błogostawiony, kto wierzy, a już w co wierzy – sprawa czysto osobista.

Uniwersytety Antoniego

Są ludzie, uważający, że to sam człowiek wytycza własny los. Może i tak bywa, ale życie człowieka to sprawa złożona, utkana z wielu okoliczności i drobiazgów, może zdarzyć się konkretny moment, który stanie się przyczyną przełomu w życiu. Zastanawiamy się, jak te zmienności losu wyjaśnić lub z czym powiązać.

Antoni Haniewicz, jeden z mieszkańców Białegostoku, nad perypetiami swojego losu nigdy się nie zastanawiał, a tym bardziej w swojej młodości. Żył jak wszyscy: nie gorzej i nie lepiej od innych rówieśników. We wczesnym dzieciństwie – zwykle życie wiejskiej diatwy początku lat trzydziestych, ze swoimi małymi radościami i problemami. Rodzice nie rozpieszczali, ale i mocno nie karali – w rodzinie był jedynakiem. Urodzona rok przed nim siostrzyczka umarła, przeżywszy wszystkiego kilka miesięcy. To samo zdarzyło się z młodszą siostrą. Dlatego Antoszkę, jako jedyne dziecko w rodzinie, oszczędzano. Najwięcej serdeczności okazywali, jak to zwykle, babcia z dziadkiem.

Jednym słowem, wczesne dzieciństwo pozostało w jego pamięci jednym z nielicznych momentów, o których wspominał z sentymentem i tęsknotą. Okres szczęśliwego dzieciństwa był dla niego jednak zbyt krótkotrwały. Najpierw kolektywizacja we wsi, wnosząca rozdźwięk w poukładany chłopski rytm życia, potem aresztowanie jako „wrogów ludu” ojca Wasyła, dziadka Aleksandra i innych krewnych, o których dziecięca pamięć zachowała tylko pojedyncze obrazy. Pozostawszy w rodzinie jedynym mężczyzną, nie od razu rozpoznał swoje nowe położenie. Matka musiała zająć się innymi sprawami, babci nie słuchał. Krótko mówiąc, swojej życie prowadził samodzielnie. Uczył się w szkole nieźle, choć były narzekania ze strony nauczycieli na jego zachowanie. W szóstej klasie skończyło się to tym, że po kolejnej psocie dy-

rektor szkoły Iljasow chwycił go za ucho, wyprowadził na szkolny ganek, kopnął w tyłek i ostatecznie wyrzucił ze szkoły. Na tym szkolne „uniwersyte-ty” Antoniego się zakończyły.

Prawda, była w jego dziecięcym wieku jeszcze jedna próba zdobycia wykształcenia w mieście, jednak zakończona po kilku miesiącach powrotem do wsi. Sam o tym epizodzie dokładnie wspomina:

Pewnego dnia wraz z przyjaciółmi Walerym Haniewiczem i Kazikiem Joczem postanowiliśmy uciec ze wsi do miasta, ponieważ w kolchozie sytuacja była nie do zniesienia. Do wsi przyjeżdżał werbownik i zachęcał do wstępowania w FZO, twierdził, że żadnego dokumentu z kolchozu nie potrzeba. Dla nas było to najważniejsze, bo z kolchozu nikt nie zamierzał nas zwalniać. Uprzedziliśmy nasze matki i nocą ruszyliśmy do miasta, do którego trzeba było pokonać ponad dwieście kilometrów.

W Tomsku skierowano nas do morskiego FZO, żebyśmy się kształcili na stolarzy morskich. Po pół roku odwiedziła nas moja matka, razem z wujkiem Stanisławem, która przywiozła sporo zgromadzonych w domu rzeczy. Po domowych sucharkach tak nam się zackniło za domem rodzinnym, że stwierdziliśmy nie będziemy się męczyć – wracamy.

Doczekawszy jako – tako do niedzieli, odmeldowaliśmy się, jakoby, że chcemy iść do lasu po szyszki, a naprawdę zwialiśmy do domu. Szliśmy nocami, za dnia chowając się w krzakach, obawiając się pogoni. Oczywiście, poszukiwano nas. Po pierwsze, sądzono, że zabłądziliśmy w tajdze, po drugie, za samowolną ucieczkę groziła nam odpowiedzialność karna i przymusowy powrót. Przyjeżdżał po nas do wsi milicjant, ale w tym czasie leżałem w domu chory z wysoką gorączką. Funkcjonariusz popatrzył na mnie, machnął ręką i dał spokój. Już nie pamiętam, z jakiego powodu i moi przyjaciele uniknęli przymusowego powrotu do klasy zawodowej”.

W ten sposób Antoni pozostał we wsi, pracował przy różnych pracach kolchozowych, po czym został skierowany na kurs traktorzystów. Skończywszy je, otrzymał stary kołowy traktor „HTZ”. Samodzielnie zapuścić motor tego „dziecka industrializacji” było trudno, nawet dla zdrowego mężczyzny, a coś dopiero dla szesnastolatka. Zapuszczali więc traktor we dwoje, razem z obsługującym przyczepę, takim samym młodym chłopakiem jak on, Antonim Piłatowem. Na koniec drugiego roku pracy Antoni Haniewicz został wykwalifikowanym specjalistą.

Pracowałby na tym traktorze może przez całe życie, gdyby nie przypadek z butelką nafty. Jak do tego doszło i jaką rolę ten wypadek odegrał w jego życiu, opowiedział Antoni następującą rzecz:

„Brygadzystą brygady traktorzystów był u nas Alempij Lappa. Pewnego razu jadę na swoim pojeździe niedaleko od naszej wsi. Przyszedł do mnie

kolega Włodek Michnia i poprosił, żeby mu nalać butelkę nafty dla domowej kopciłki. Wyłączyłem traktor, odkręciłem zawór i nalałem mu butelkę. Na nieszczęście zobaczył tę akcję nasz brygadzysta.

Następnego dnia zaczęto brygadzystę wypytwać o coś w radzie wiejskiej, ten chcąc się usprawiedliwić, powiedział, że zwiększony rozchód paliwa następuje w wyniku wykorzystywania go do prywatnych potrzeb. Jako przykład podał mnie i to, co sam na własne oczy zobaczył. Jak na złość, obecny był przy tej rozmowie prokurator rejonowy, który pojawił się tam z powodu jakiejś zupełnie innej sprawy. Usłyszawszy słowa brygadzysty, poprosił go, żeby napisał szczegółowy donos na mnie, a już oni mnie odpowiednio „postraszą”, żeby i innych odstraszyć od takiego postępowania.

Napisał donos. Sądono mnie na otwartym, pokazowym procesie w rodzinnej wsi z paragrafu 47 – jako grabieżcę mienia państwowego. Sędzia rejonowy Soboliewa „dała” mi siedem lat łagru. Ludowi ławnicy spośród miejscowych ludzi potem mnie usprawiedliwiali, ale mówili, że mniej z tego paragrafu nie można było otrzymać, ponieważ byłem już pełnoletni i nie podlegałem amnestii jako zbyt młody człowiek.

Otrzymawszy swoje siedem lat łagrów Antoni Haniewicz przebywał pod strażą, gdzie odbywał się sąd, ale potem został puszczony do domu z powodu jesiennych roztopów. Dopiero 23 listopada 1949 r., dwadzieścia jeden dni od dnia sądu, wezwano go do rejonu i przydzielili do dużego etapu uwięzionych, który miał pójść na piechotę z Kołpaszewa do Tomska.

Od tego momentu zaczęły się dla niego łagierne „uniwersytety”, wspomnieniami o których bardzo nie lubił się dzielić. I tylko z rzadka, w rodzinnym kręgu, ustępując prośbom synów, opowiadał ten lub inny epizod ze swojego życia sowieckiego więźnia. Oczywiście, te pourywane wspomnienia w żadnej mierze nie mogą pretendować do pełnego wyrażenia wszystkich perypetii łagiernego okresu jego życia. Były to opowieści przytaczane mimochodem i od wypadku do wypadku. Mimo to, złożone razem, choć w małym stopniu dają wyobrażenie o tych latach. Można by te wspomnienia Antoniego przytoczyć w skrócie, jednak dajmy możliwość jemu samemu opowiedzieć o tych latach, tak jak on opowiadał to swoim synom:

„Etap uwięzionych, z którym szedłem do Tomska, był ogromny, konwojenci jechali na koniach, posiadali psy. Spotkałem tu swego byłego krajanina Kuźmę Gawrilenko, osądzonego w Kołpaszewie na dziesięć lat za kradzież barek na Obie. Był to człowiek oblatany, który przeszedł już „ogień i wodę”. To on nauczył mnie jak żyć w łagrze i, rzecz można, uratował od śmierci. Do bra rada wówczas wiele znaczyła.

Z miejskiego więzienia, które wtedy znajdowało się na ulicy Puszkina, skierowano nas do łagru w rejonie Czeremoszników. Zajmowaliśmy się nasy-

caniem smołą podkładów kolejowych. Praca piekielna, mało kto długo przy niej wytrzymał. Czulem, że i ja zaczynam słabnąć, kawałek po kawałku „załamywać się”. Wtedy to Kuźma Gawrilenko dał mi tę bezcenną poradę. Przy spotkaniu powiedział, że niedługo przyjdą do łagru werbunkowi, którzy będą tworzyć brygady specjalistów na obiekty budowlane. Poradził mi, żebym się podał za jakiegokolwiek specjalistę, byleby tylko uciec od smołowania podkładów, pewnego miejsca mojego końca. Dodał, że jak ułoży się w przyszłości, nie wiadomo, ale gorzej na pewno nie będzie.

Stało się dokładnie tak jak mi powiedział: za kilka dni przyjechali werbownicy i zaczęli zapisywać do brygad specjalistów. Podąłem się za hydraulika. W końcu 1950 roku zabrano nas, „specjalistów”, do Nowosybirsk. Tam zrobiono przegląd naszych umiejętności. W jej trakcie brygadzysta natychmiast mnie rozszyfrował: ja przecież na oczy nie widziałem kaloryfera, nie mówiąc już o innych bardziej skomplikowanych urządzeniach technicznych. Za kłamstwo zaliczono mnie do brygady karnej, gdzie byłem przez pół roku. Nasza brygada zajmowała się karczowaniem pni w miejscu przyszłej budowy.

Każdy otrzymywał od dyspozytora odpowiednią normę do wykonania, ale jej wykonanie było praktycznie niemożliwe. Nie wykonasz normy – nie otrzymasz racji żywnościowej. Jak mówiono wówczas, stare socjalistyczne hasło znane od dzieciństwa – „kto nie pracuje – ten nie je!”. Ale kryminaliści jedzenie zawsze dostawali i dzielili się ze mną. Zaczynasz pracę, a oni:

- Tobie co, „wieśniaku”, żyć się nie chce, kładź się do rowu i zdychaj!

Nic nie robię, kładę się. Prawda, zdarzało się, że jadłem dzielili się ze swojego kotła. Około pół roku trwała ta mitręga na granicy życia i śmierci, a potem pracowałem w innej strefie, w granicach miasta, w zakładzie produkcji żużlu. Ta praca była o wiele lżejsza. Pracowałem przy agregacie żużlowym. Drobniejsze prace wykonywało pięć, sześć kobiet więźniarek. Kiedy przerzucono nasz zakład na rozrachunek gospodarczy, wówczas było o wiele lżej.

Przy zwolnieniu kupiłem sobie, pierwsze w życiu, dobre buty, przyzwoite ubranie. Jednym słowem, nareszcie byłem jakoś ubrany. Kiedy jechałem pociągiem do domu, nikt nie brał mnie za byłego więźnia.

We wcześniejszym uwolnieniu pomogła mi śmierć Stalina w 1953 r. Dobrze pamiętam, jak wszystkich więźniów wywleczono z baraków na dwór, ustawiono na placu i kazano słuchać w radiu transmisji z pogrzebu Józefa Stalina. Kierownictwo łagru płakało, a jeden stary weteran stał jak kamienny słup cały czas na baczność, dał „na spocznij” dopiero wtedy, kiedy zakończyła się transmisja.

My staliśmy na placu, nie okazując swoich uczuć. Może ktoś z nas cieszył się z tego wydarzenia, przewidując nadchodzące zmiany, ale otwarcie tego nie okazywano. A potem nam, więźniom ogłoszono amnestię z powodu śmierci „Wodza narodów”. Duża liczba uwięzionych została zwolniona z łagrów.

Po zwolnieniu przyjechałem do Tomska i zatrzymałem się u wujka. Po zameldowaniu u niego, postanowiłem zostać w mieście, wkrótce otrzymałem paszport. Podjąłem pracę na budowie. Powstała kwestia zamieszkania w hotelu robotniczym, ale nie mogłem go uzyskać z powodu braku jakichś dokumentów. Musiałem w ich sprawie pojechać do swojej wsi. W tym czasie zmarła babcia Stefania, mama pozostała sama w domu. Postanowiłem zabrać ją do siebie, do miasta. Pojechałem na wieś. Spotkałem tam przyjaciela Szurkę Nazaruka, który podobnie jak ja, przyjechał na chwilę z miasta do wsi, uczył się w tym okresie w szkole rzemieślniczej.

Postanowiliśmy razem wracać do miasta. Mama na drogę włożyła mi do bagażu butelkę samogonki, żeby weselej było jechać. Butelka ponownie odegrała w moim życiu istotną rolę.

Od tego czasu myślę, a gdyby matka nie włożyła mi tej flaszki do bagażu, jak potoczyłoby się moje życie i gdzie bym żył obecnie? Ale wszystko po kolei. Jednym słowem zebraliśmy się z Nazarukiem iść do miasta, a przed tym zaszliśmy do rady wiejskiej wziąć dokumenty. Przewodniczącym rady był wówczas Piotr Kozyrski. Zaszliśmy z Szurką do niego, a tam siedzą milicjanci Winogradow i Mironow, analizują fakty kradzieży kawałka słoniny u jednego mieszkańca z sąsiedniej wsi Wierchbrowki. Opowiadają, kto z miejscowych mógł ukraść tę słoninę, a tu nagle na progu własnymi personami pojawiło się dwóch „miastowych” chłopaków. Oto i są pierwsi podejrzani.

Kazano otworzyć nasze sklejkowe walizeczki. Słoniny, komuś tam ukradzonej, oczywiście nie było, ale była za to butelka samogonu. W tym czasie ogłoszona była kolejna wojna przeciwko pędzeniu samogonu. Zostały opublikowane nowe ustawy, przeprowadzano pokazowe procesy, jednak naród chciał pędzić i pić, nie odżegnywali się od kieliszka i sami naczelnicy, którzy w poszczególnych miejscach oficjalnie walczyli z pędzeniem samogonu.

Kiedy znaleziono tę nieszczęsną butelkę, zaczęto dopytywać mnie, skąd ją wziąłem i kto warzył samogonkę. Choć przecież jasne było skąd ta butelka u mnie się znalazła. Ja, rzecz jasna, nie mogłem powiedzieć, że to moja mama mi ją do walizki włożyła. To byłby pewny wyrok dla niej. Wziąłem wszystko na siebie. Wtedy oni do mnie tak mówią:

„Jeśli zostaniesz w kołchozie, to sprawę zamkniemy, jeśli nie – będziemy sądzić”.

Nie, nie chciałem tam iść nawet dla pozoru, zacząłem opowiadać, że w mieście dogadałem się co do pracy, chcę swoją matkę ze sobą zabrać.

Znów mnie sądzono. Dali mi rok więzienia za pędzenie nielegalnego alkoholu. Odsiedziałem w tomskim więzieniu cały ten rok, „od dzwonka do dzwonka”. Dopraszałem się, żeby wzięli mnie na etap, jednak nie zabrali: komu byłem potrzebny z takim małym wyrokiem – nie wiem, więcej harmidru niż to warte. I do innych prac w więzieniu mnie nie zabierano, znajdowałem się bowiem pod obostrzonym reżimem z powodu poprzedniego wyroku, byłem recydywistą. Ten rok był dla mnie dłuższy niż wszystkie wcześniejsze lata łagierne”.

Na tym zakończyły się łagierne „uniwersytety” Antoniego i zaczęło długie życie na wolności, gdzie porządki i obyczaje niewiele różniły się od łagiernych. Ale serce jego nie zatwardziało. Nikogo, oprócz siebie, za swoją zmarłową młodość nie winił, nie uważał i nadal nie uważa się za ofiarę represji. Prób, żeby wyjechać do miasta, więcej nie czynił.

Pozostawszy w rodzinnej wsi, ponad trzydzieści lat przepracował jako kierowca, przejechawszy po wiejskich błotach nie jedną setkę tysięcy kilometrów. Własnymi rękami zbudował przestronny, jasny dom, w ogrodzie którego rosną posadzone przez niego i dzieci liczne drzewa. Razem z żoną Walentyną wychowali i wyuczyli trzech synów. Teraz oni mają swoje rodziny, swoje życie. Co jeszcze potrzeba człowiekowi do szczęścia?

Jednak czy jest on zadowolony z przeżytych lat, o to nie pytałem. Bo to nieprzyjęte, żeby o coś takiego pytać własnego ojca, ponadto chyba za wcześnie, żeby podsumowywać życie. Życie przecież trwa nadal.

Niańka

Mieszkała w starej rozwalającej się chatce, tuż obok naszych wiejskich pól. Bywało, że rodzice, wychodząc na wiejskie wieczorynki, prosili ją, żeby ponianczyła ich pierworodnego, czyli mnie. Przy czym, zajmowała się nie tylko mną, ale jeszcze połową innych raczkujących dzieci z naszej okolicy.

Ona – czyli wiejska głupiutka Maria, którą wszyscy we wsi, bez względu na wiek, z jakiegoś powodu nazywali Manika. Kto i kiedy dał jej to przezwiśko – nie wiadomo.

Była miejscowa, urodziła się jako ostatnia dziewczynka w licznej chłopskiej rodzinie Macieja Markisza. Jakimiś specjalnymi walorami intelektualnymi nie odznaczała się, ale też nie miała jakiś odstępstw od normy. Pierwsi przed innymi zaczęli ją nazywać durną w jej własnej rodzinie, a potem dopiero we wsi. Spowodowane to było, paradoksalnie, jej sumiennością w pracy, nieumiejętnością kombinowania i prostym spojrzeniem na sprawy wokół.

Żenić się z nią nikt z miejscowych mężczyzn nie chciał. Tak też żyła Manika, wypełniając najcięższe obowiązki tak w domu, jak i w kołchozie. W czasie wojny pracowała jako ładowacz przy suszarni ziarna, taskając stukilogramowe worki z ziarnem. Wykonywała wszystko to, co jej nakazywano. O innym życiu nie marzyła.

Jednak i do niej uśmiechnęło się szczęście w osobie przyszłego adoratora o imieniu Kuźma. Przy czym, on sam przedstawiał się przy zawieraniu znajomości imieniem i lubił, kiedy tak się do niego zwracano. W odróżnieniu od swojej wybranki, durakiem w pierwszej kolejności nazywał samego siebie. Opowiadając o tym, stwierdzał, że jeszcze w dzieciństwie koń uderzył go kopytem w głowę i niezmiennie w takich przypadkach rwał się, żeby pokazać na głowie jakąś bliznę.

Możliwe, że tak było i jakieś odchylenia od normy u niego rzeczywiście pojawiały się. W każdym razie, jakiś dokument w tej kwestii posiadał, pozwalający mu uważać go za głupca „według prawa”. Wszystko to można, prawie bez wahania, odnieść do takich głupców, o których mówi się, że oni w pewnych przypadkach są bardziej rozumni od profesorów. Jak mi się wydaje, Kuźma jeszcze w swojej młodości swoim rozumkiem doszedł do przekonania, że u nas głupcowi żyje się łatwiej i że stawia się mu mniejsze wymagania.

Od pracy w kolchozie Kuźma przy każdej okazji uchylał się, no bo przecież, jaki głupiec będzie pracować za darmo? Jednak i w swojej chatce wykonywał tylko to, co niezbędne, przerzucając większą część obowiązków rodzinnych na żonę. Jedyną rzeczą, którą Kuźma zajmował się z zadowoleniem, to były spacery z psami, których zawsze posiadał kilka sztuk. Kiedy jakiś pies mu się spodobał, gotów był wymienić cokolwiek za niego lub nawet go ukraść. Ze względu na psy gotów był nawet głodować i głodował, karmiąc je swoimi skąpymi zapasami jedzenia. Hodował przede wszystkim psy drapieżne, choć w jego domu praktycznie nie było czego pilnować.

Według oceny dorosłych Kuźma był najbiedniejszym człowiekiem we wsi, ale dla nas, młodych chłopaków, wydawał się być niemal Rotschildem: bo przecież jego domostwo było dosłownie zavalone skarbami – różnymi puszkami, przewodami, popsutymi i wybrakowanymi odbiornikami radiowymi, zębatkami i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Jednym słowem tym wszystkim, co cokolwiek błyszczało lub dzwoniło.

Wszystko zabierał Kuźma do swojego domu, licząc, że jak u dobrego gospodarza, to się przyda. Siebie też uważał za dobrego gospodarza. Bijąc się w piersi, nie raz w dzieciństwie potajemnie wyprawialiśmy się do jego królestwa i wynosiliśmy stamtąd potrzebne nam żelazne blaszki.

Żyli Kuźma i Manika z tego, co, póki mieli siły, zarobili przy dorywczych pracach: na prośbę wiejskich bab pomagali kosić i zbierać siano, kopać kartofle. Manika niańczyła dzieci, kierownictwo zmuszało ją wykonywać także prace kolchozowe. Oni sami hodowali prosiaka, przez pewien czas mieli też krowę. Sadzili kartofle i kapustę. Jednym słowem, nie byli dla nikogo ciężarem.

Na starość nie mieli już nic w swoim domowym gospodarstwie, żyli z małej emerytury, zbierali puste butelki. Pomagali im mieszkańcy wsi, oddając niepotrzebne rzeczy zmarłych krewnych lub zdemobilizowanych z armii synów. Dla Kuźmy ulubionym strojem zawsze był żołnierski mundur, którego nie zdejmował przez cały rok. Na wszystkich wiejskich weselach i stypach Kuźma wraz z Maniką byli jakby „etatowymi” gośćmi i przychodzili na nie bez żadnego zaproszenia.

Byli we wsi czymś w rodzaju miejscowej osobliwości. Śmiano się z nich i żartowano, zwracając uwagę na zbieracze skłonności Kuźmy i jego psią słabość, z ich powodu chodziły po wsi anegdoty i powiedzonka. Inaczej mówiąc, byli takim podstawowym i wiecznym atrybutem wiejskiego życia, jak wschód słońca z głośnym pianiem kogutów lub rzeczka Browka z jej zarośniętym korytem.

Przyjeżdżając do wsi z wizytą u rodziców, często spotykałem tę nierozłączną parę. Oczywiście, nie wyglądali już tak jak trzydzieści lat wcześniej. Czas robił swoje: u Maniki, już wcześniej niezbyt zgrabne nogi zmieniły się w grube kłody, zaczęła źle słyszeć i mówić. Za to jej mąż, wydawało się, niewiele się zmienił. Jeszcze bardziej wyszczupłał i z daleka wyglądał bardziej na podrostka niż staruszka.

Przeznaczeniem człowieka jest umrzeć. Manika i Kuźma w przewidziany przez Boga czas także zajęliby miejsca na wiejskim cmentarzu. Jednak nie sądzone im było umrzeć we własnej chatce.

W czasie któregoś kolejnego przyjazdu do wsi dowiedziałem się, że jedna ich krewniaczka, oczywiście bez ich zgody, przekazała parę naszych oryginałów do domu starców. Czy to skusiła się na ich na wpół rozwaloną chatkę, czy też, rzeczywiście pożałowawszy ich i uznawszy za lepsze oddanie ich obojga na państwową strawę.

Mówili ludzie, że przyjechała milicja, zapakowała zapłakanych i sprzeciwiających się starych ludzi do samochodu i wywiozła umierać w obcych miejscach. Całkiem niedawno usłyszałem, że zeszłej zimy znaleziono martwego Kuźmę na drodze prowadzącej do naszej wsi – usiłował, w czterdziestostopniowy mróz w gumowych butach nałożonych na gołe nogi, uciec z domu starców do swojej wsi. Manika nadal żyje, jeśli można to nazwać życiem.

Postscriptum

Jej życie dobiegło końca kilka lat po śmierci męża w sąsiedniej wsi Kryłowsce, gdzie mieszkała u krewniaczki. Tam ją pochowano. Tak zgasta jeszcze jedna ludzka świeca.

Część 4.

Z RECENZJI
I KOMENTARZY
DO KSIĄŻKI
„TRAGEDIA
SYBERYJSKIEGO
BIAŁEGOSTOKU”

Jeżeli zapomnę o nich, to Bóg na niebie zapomni o mnie.

Adam Mickiewicz

Nikt nie będzie się spierał, czy otrzymywanie podarunków to przyjemność. A podarunki „z sensem” – to podwójna przyjemność. Dla mnie takim podarkiem stała się książka, którą z wpisaną dedykacją ofiarował mi autor, Wasyl Haniewicz, aktywnie współpracujący z naszą gazetą już od dwóch lat. Tytuł tej książki „Tragedia syberyjskiego Białegostoku”. Z historii ludobójstwa Polaków na Syberii”. Wydana w Tomsku w nakładzie zaledwie pięciuset egzemplarzy (już choćby ten fakt czyni szczęśliwcami jej posiadaczy!).

Na podstawie wcześniej nieznanych materiałów archiwalnych NKWD i MSW, a także wspomnień starszych osób z syberyjskiej wsi Białystok, w książce mówi się o historii powstania tego polskiego siola w końcu XIX wieku, założonego przez katolików – przesiedleńców. Dalej toczy się opowieść o losie wiejskiego kościoła i wiejskiej szkoły, jest opowieść o tragedii chłopów w czasie kolektywizacji, o losach poszczególnych mieszkańców, szczególnie w czasie represji stalinowskich, przy czym mowa jest nie tylko o represjonowanych Polakach, ale i o losach ich oprawców – śledczych i pracowników NKWD.

„Los moich krajan – to los niemal wszystkich Polaków byłego ZSRR, którzy w czasie prześladowań stalinowskich stali się jednym z prześladowanych narodów”, pisze we wstępie autor. To książka o losach wielu dziesiątków tysięcy Polaków, którzy zbiegiem okoliczności znaleźli się na terytorium Syberii w początku XX wieku i pozostali tu po roku 1920 – kiedy na Syberii ustanowiona została władza sowiecka. Duże fragmenty przyszłej książki były w 1993 r. drukowane w „Trybunie Narodowej”, zyskując duży odzew czytelników. Dla przykładu, po opublikowaniu materiału o wiejskim organistrze kościelnym o nazwisku Bach, przyszły listy z obwodu kemerowskiego, w których kobiety opowiadały o obecnie żyjących potomkach tego człowieka, podawano ich adresy.

Proroczo brzmią słowa Adama Mickiewicza, umieszczone jako motto tej krótkiej notatki i służące jako przesłanie w końcowej części książki. A my swoją drogą pozdrawiamy naszego autora z okazji głównego wydarzenia w jego życiu w minionym roku – ukazania się pierwszej książki, wieńczącej tytaniczną i szlachetną pracę w odbudowaniu zerwanych ogniów w historii pokoleń narodu polskiego.

Irina Rajm

„Trybuna Narodowa”, 6 stycznia 1994 r.

Historia – uzdrawiające lekarstwo

C hłodem wieje od skarbicy sowieckiej historii, kiedy do niej trafiają nowe opracowania. Jak to, o strasznej z ludzkiego punktu widzenia, epoce powszechnej kolektywizacji, stalinowskich pięciolatek i zaostrezenia walki klasowej. Obecnie ten wiek zbeszczeszczonych świątyń i rozstrzelanych dusz jest już w pełni rozliczony przez „ludzi czynu”, przywykłych do nieoglądania się w tył. Możliwe jednak, że on do końca nie przeminął. Jeśli zamienić stare hasła na nowe, nadal jak dawniej pisze się agenturalne doniesienia i szybciej, niż co innego, czytają je uważne oczy.

Wszyscy obecnie żyjemy w innej Rosji. Wielki kraj w mękach przychodzi do siebie po siedemdziesięcioletnim eksperymencie. Ale dla przeprowadzenia reform potrzebne są nie tylko makroekonomiczne przeobrażenia, ale i społeczna edukacja, która, wygląda na to, nie spieszy się z nadejściem. Ale dla tego ozdrowieńczy łyk gorzkiego lekarstwa – pamięć o antyświecie, odkąd my z takim wysiłkiem dźwigamy się do góry. O tym właśnie opowiada książka historyka Wasyla Haniewicza, wydana przez obwodowe historyczno-oświatowe stowarzyszenie „Memorial” i „Tomski wiestnik”. „Tragedia syberyjskiego Białegostoku” – tak nazywa się to dokumentalno-publicystyczne przedsięwzięcie, napisane w niestandardowej formie, która dla swoich potrzeb przybiera nazwę historyczno-kryminalną.

Otwierając na chybił trafił książkę o objętości stu dziewięćdziesięciu stron, zanurzymy się dalej niż na pół wieku w głąb czasu i odnajdziemy się w Białymstoku, ale nie w Polsce, a w syberyjskiej wsi na terytorium naszego kriwośzeińskiego rejonu o ludności liczącej wszystkiego osiemset osób. Tutaj żyli dotąd i nadal żyją Polacy, potomkowie przesiedleńców z zachodnich guberni przedrewolucyjnej Rosji.

13 sierpnia 1937 r. Wtedy potoczyły się pierwsze głowy tutejszych mieszkańców. Zaczął się wielki terror. Wzięto najpierw sześciu ludzi, w tym roku zostali jeszcze rozstrzelani. 20 i 21 października NKWD zabiło kolejnych czterech mieszkańców siola. Potem wzięli jeszcze jednego. Kolejna czwórka „wrogów ludu” była „unieszkodliwiona” 14 stycznia 1938 roku. W końcu zamordowano wszystkich aresztowanych, oprócz siedemdziesięciopięcioletniego pradziadka autora książki Aleksandra Jocz, który zmarł z głodu i od wszy w więziennym baraku łagru koło Kołpaszewa.

Ale to była zaledwie przygrywka. W nocy z 11 na 12 lutego 1938 roku czekałsi zaprezentowali się jako prawdziwi stachanowcy, aresztując od razu sześćdziesięciu jeden mieszkańców Białegostoku. Oprócz pracowników NKWD w operacji byli wykorzystani także miejscowi aktywiści, którzy po jej zakończeniu również zostali aresztowani i podzielili los tych, których sami ledwo przekazywali organom władzy. Męczennicy razem z grupą aresztantów z innych wsi przeszli etapem do Kołpaszewa, gdzie doprowadzono do wykonania wyroków śmierci. Niedługo potem piętnastu białostoczan z tej grupy wróciło do domu, żeby do końca swych dni nie uronić ani słowa o tym, co przeżyli. Wszyscy pozostali zostali zlikwidowani, z wyjątkiem dwudziestoletniego Jana Jocz, którego na dziesięć lat skierowano do „słonecznego” Magadanu. Po 1941 roku zwłoki rozstrzelanych białostoczan zostały zmyte przez rzekę Ob. Tak stalinowscy pogrobowcy ostatni raz usiłowali zataić to, o czym pisze W. Haniewicz.

Końcową kropkę „śludzy narodu” postawili 16 lutego, kiedy przybyli do wsi wczesnym rankiem funkcjonariusze rejonowego NKWD Czernych i Eranakow, razem z aktywistami – Tatkinem i Własowem, dołączyli do aresztantów piętnastu ostatnich pozostałych we wsi dorosłych mężczyzn. Wszyscy, bez wyjątku, zostali rozstrzelani. Do tego należy dodać ponad dwadzieścia rodzin białostockich, które zmieniły miejsce zamieszkania, ale zostały odnalezione przez NKWD w innych miejscowościach, a także pierwszych siedem osób, które były represjonowane w 1935 r. przy zakładaniu we wsi kołchozu.

Otrzymaliśmy straszną arytmetykę: prawie wszyscy mężczyźni w wieku ponad osiemnastu lat, mieszkający we wsi, zostali ofiarami terroru. Skąd taka sroga zaciętość skierowana przeciwko mieszkańcom Białegostoku, ludziom częstokroć niewykształconym, dalekim od jakiejkolwiek działalności politycznej? I na to pytanie pada odpowiedź w książce. Od początku lat dwudziestych w ZSRR rozpoczęło się ludobójstwo Polaków, które swój szczyt osiągnęło w latach 1937-38. Tłumaczy się go wrogimi stosunkami pomiędzy Związkiem Sowieckim a „pańską” Polską. Co się tyczy zakresu represji w Białymstoku, to

jest tego także osobna przyczyna. Tutejszy kolchoz udało się stworzyć dopiero w 1935 r. Pięć lat sprzeciwiania się kolektywizacji nie przeszło bez skutków dla mieszkańców wsi. Do tego czekał się rozprawiali się z białostoczanami także i z innych przyczyn, choćby po to, żeby wypełnić narzucony im z góry plan w ujawnianiu wrogów ludu.

Książka Wasyla Haniewicza – to nie tylko kronika, której każda litera spływa kropelką krwi. To także sąd pamięci, od którego, w ostatecznym rachunku, nie uchronią żadne pieczętki i zakres bardzo szeroko rozumianej tolerancji.

W rozdziale „Inżynierowie dusz” z imienia zostali wymienieni oprawcy, niszczący niewygodnych współobywateli, w detalach został opisany cały arsenał ich chwytów i metod, przytoczone zostały biografie niektórych katów. Tutaj autor wymienia także nazwiska aktywistów – donosicieli, którzy zgubili dziesiątki swoich krajan. Oto co napisał na swego pomocnika przewodniczący władzy sowieckiej we wsi Iwan Tatkin: „28 kwietnia w czasie Wielkanocy spili sekretarza komitetu, a potem poszedł z nim do kościoła, tym samym go dyskredytując. Politycznie niebezpieczny. W uprawie zboża w kolchozie przejawiał pełny sabotaż.”

W książce najpierw zostały prześledzone tragiczne losy bardzo różnych ludzi: Polaków i Rosjan, białostoczan i mieszkańców innych wsi, zwykłych i nietuzinkowych, złych i dobrych. Literacki talent autora pozwolił mu przekazać barwną mozaikę ludzkich charakterów i „ducha” krwawej epoki.

W „Tragedii syberyjskiego Białegostoku” opowiada się nie tylko o przeszłości. Na jej stronach pojawia się historia tomskiego stowarzyszenia „Memorial”, wiernie przekazana jest polityczna dynamika ostatnich lat, na którą współcześni zbyt często nie zwracają uwagi.

Jest w dokumentalistyce W. Haniewicza jedna dość nieoczekiwana cecha. To specyficzny „pozagrobowy” humor, charakterystyczny dla opracowań z historii represji. Nie przechodząc w bluźnierstwo, pomaga czytelnikowi rozładować napięcie. Tylko jeden przykład. Śledczy NKWD Merinow przedstawił pradziadowi naszego autora Romanowi Michnie oskarżenie w pięciu punktach. Oto jak W. Haniewicz komentuje dwa spośród nich: „Sprawa w tym, że Roman Michnia nie mógł zajmować się podpaleniami i z bronią w rękach walczyć przeciw władzy sowieckiej. I nie dlatego, że tę władzę uwielbiał, i także nie dlatego, że nie było u niego w domu broni. Nie mógł wziąć do ręki broni z przyczyny bardzo prozaicznej – braku samych rąk... Nie, ręce właściwie to miał, ale wszystkie palce u nich miał odmrożone jeszcze w początku lat dwudziestych”.

Praca tomskiego historyka, członka „Memoriału” – to wynik jego długiej i pełnej uporu pracy w rozlicznych archiwach, wliczając w to również były

„biegun niedostępności” – archiwum KGB obwodu tomskiego. Wielki wysiłek kosztowało Haniewicza zebranie relacji ustnych, świadków opisanych wydarzeń. Akuratność, wytrwałość i niewątpliwy dar słowa pomogły mu napisać książkę, o której, miejmy nadzieję, jeszcze będą mówić w różnych językach.

Możliwe, w niedalekiej przyszłości „Tragedia syberyjskiego Białegostoku” ukaże się w Warszawie. Choć większość jej personaliów – to Polacy, książka jest wolna od jakiegokolwiek nacjonalizmu, więcej – jest przeniknięta ponadnarodowym duchem dobra i humanizmu. Byłoby błędem myśleć, że powiodło się z wykonaną pracą W. Haniewiczowi jedynie z powodu pełnego profesjonalizmu. Oprócz tego potrzebna mu była obywatelska odwaga, poczucie długu wobec pamięci niewinnie straconych, osobista prawda i pomoc myślących podobnie jak on.

Wsparcie okazali mu koledzy Borys Trenin, Igor Kuzniecowa i inni. Pomógł były śledczy KGB Anatol Spragowski, zmarły w 1992 r. Ten śmiały człowiek, zwolniony z „organów” za zbyt dużą wyrozumiałość przy przeprowadzaniu chruszczowowskiej rehabilitacji, dał twórczy impuls niejednemu badaczowi epoki stalinowskiej, w tej liczbie także Wasylowi Haniewiczowi.

Nikołaj Kaszczew

„Tomski Wiestnik”, 14 stycznia 1994 r.

Nie dowiedzie się im...

W życiu każdego pokolenia objawia się historia kraju, ona ukazuje się także w historii miast, siół, wsi, niestety, częściej są to smutne strony niż szczęśliwe zapisy ich osobistego losu.

Opublikowana niedawno książka „Tragedia syberyjskiego Białegostoku”, według określenia jej autora Wasyla Haniewicza – to opowieść o jego krajach, mieszkańcach wsi Białystok, na których barki spadły ciężkie doświadczenia, z których najbardziej tragiczne zdarzyły się w latach trzydziestych. W jakiejś mierze to książka o wspólnych losach Polaków, którzy przesiedlili się na Syberię w początku XX wieku i zostali tu, żeby żyć na stałe.

Główny temat książki, zaznaczony już w tytule – tragedia lat 1937–1938, kiedy poddana represjom została niemal cała męska część Białegostoku. Wszystkim im postawiono zarzut o działalność kontrrewolucyjną, a także szpiegowsko-dywersyjną poprzez uczestnictwo w POW. I chociaż, co po wielu latach wiadomo, że naprawdę taka organizacja nie funkcjonowała, a białostoccy mężczyźni nie byli „szpiegami” i „dywersantami”, cała ich działalność to było myślenie o rodzinach i chlebie codziennym, mimo to prawie wszyscy zostali rozstrzelani.

Wasyl Haniewicz przeszedł cały łańcuch represji, poczynając od podpisanego przez Stalina w sierpniu 1937 r. protokołu posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR, na którym został zatwierdzony rozkaz Komitetu Spraw Wewnętrznych ZSRR „O likwidacji polskich dywersyjno-szpiegowskich grup oraz organizacji POW”, aż po kule kierowane w tył głowy niewinnie uwięzionych. Dla śledczego NKWD wystarczającym argumentem dla takiego wyroku był fakt, że stawał przed nim Polak. Przedstawiano sfabrykowane oskarżenia na temat szkodnictwa, związków z Polską, przygotowaniu akcji dywersyjnych. Wydobyć przyznanie się do winy wraz z podpisem było „spra-

wą techniki". Wykształceni mężczyźni podpisywali się, niewykształceni stawiali w protokole przesłuchania odcisk swojego palca.

W książce przytoczony jest fragment wspomnień starszego człowieka, wtedy zaledwie ośmioletniego chłopca, widzącego jak w lutym 1938 r. gnano w etapie do Kołpaszewa zgubionych ludzi: „Szkoła nasza stała przy drodze, która prowadziła z Białegostoku. Partia aresztowanych liczyła, około siedemdziesięciu – osiemdziesięciu ludzi. Wokół nich szli konwojenci. Kiedy aresztowanych prowadzono przy szkole, my uczniowie, powyskakiwaliśmy zza ławek i patrzyliśmy przez okno. Wówczas nasza nauczycielka Milica Izotowna powiedziała nam, że to wrogowie narodu z Białegostoku i nie należy ich żałować. A ja pomyślałem sobie: jacy oni wrogowie, kiedy na nogach mieli łapcie powiązane sznurkami”.

Ponad cztery lata zbierał Wasyl Haniewicz dane na temat białostockiej tragedii. Niełatwo było po ponad pół wieku odtworzyć te wydarzenia. Za karą, która spadła na część ofiar, według niepisanego prawa podążała kara milczenia. Nawet wspomnienie o „wrogach ludu” powinno być puszczone w niepamięć, a sfalszowana historia nie powinna być kwestionowana. Tylko dzięki zmianom, jakie nastąpiły w kraju i odtajnionym archiwom, udało się wlać światło na wykreślaną z historii straszną przeszłość. Białe plamy historii zrobiły się czerwone od krwi.

„Tragedia syberyjskiego Białegostoku” – to krajoznawstwo, publicystyka i przekazanie pamięci. Dzisiaj, wydaje się, że znamy wszystko o przestępczych działaniach tego systemu, ale jednak otwierają się coraz to nowe stronicie strasnej kroniki Gulagu i ponownie wzdryga się serce.

W książce przytoczony jest spis mieszkańców Białegostoku, represjonowanych z powodu 58 paragrafu KK – to są sto dwa nazwiska. Osiemdziesięciu siedmiu ludzi spośród nich zostało rozstrzelanych, czterech zmarło w łagrach lub więzieniach, pięciu przeżyło, odsiedziawszy swoje wyroki, los pozostałych jest nieznany. Oklepane jest stwierdzenie, że nie można zapominać lekcji historii, ale w tym wypadku nie będę szukał nowych słów.

Swoją książką wniósł Wasyl Haniewicz własny udział do kroniki tragicznego okresu naszego kraju, przypominał, wydawałoby się, już zapomniane i nieistniejące losy oraz nazwiska swoich współmieszkańców. To osoby bliskie dla nas wszystkich, mieszkających na tej pełnej cierpienia ziemi. „Córkom Natalii i Oldze poświęcam tę książkę z nadzieją, że nie dane im będzie przeżywać w swoim życiu tego, co przeżyli ich przodkowie” – napisał Wasyl Haniewicz.

Mamy na to nadzieję również i my, chcemy wierzyć, że nie wróci tamto zło i nie powtórzy się w żadnym innym wydaniu.

*Wadim Makszejew, członek Związku Pisarzy Rosji
„Krasnoje Znamja”, 1 lutego 1994 r.*

Przypomnieć wszystkich

Bolesław Artisz przyjechał tego dnia z prac leśnych, za dnia jeszcze sam zachodził do rady wiejskiej, żeby się zameldować, że przyjechał. Siłą go z tej rady wypchnięto, a wieczorem już pod konwojem z powrotem przyprowadzili. Mężczyzn przywożono i przywożono. Prowadzą do rady wiejskiej, coś tam zapiszą, naczelnicy porozmawiają między sobą o czymś tam. Odprowadzają aresztowanych mężczyzn do klubu i zamykają na zamek, a sami wyprawiają się po kolejne ofiary.

Tak prosto, w biały dzień, działo się w rosyjskich i syberyjskich wsiach. W miastach z napięciem przysłuchiwano się silnikom nocnych samochodów, donośnym krokom na schodach i stukaniu do sąsiednich drzwi. Tak w strachu mijały tygodnie i miesiące. Wsie czyszczono w jeden – dwa dni „łapanek”.

Tym, którzy pozostali, zostawiano zmartwienie, kiedy wracali do domów, we wsi panowała niesłychana cmentarna cisza. „Kiedy wróciłam do siebie, usłyszałam rżenie i muczenie nienakarmionych, nienapojonych krów i koni, krowy były nie wydojone. Tak było w każdym domu, wszędzie łzy, ból, cierpienie i niewiedza: co się mogło zdarzyć. Za co taka kara na ludzi? Długo trwała taka nieludzka cisza we wsi, gdzie słyszeć było tylko muczenie krów. Ale potem kobiety nie miały wyjścia, musiały pójść i nakarmić żywioł. Ona przecież nie była niczemu winna”.

Opowieści ludzkie zostały zanotowane przez historyka Wasyla Haniewicz. To świadectwa mieszkańców Białegostoku – niedużej wsi, powstałej na przełomie wieków w północno-zachodniej części guberni tomskiej. Założyli ją Polacy – przesiedleńcy, stąd nazwa wsi, która niejako wiązała ich z daleką ojczyzną. Żyli, budowali domostwa, uprawiali ziemię. Chcieli zbudować kościół – zbudowali go. W tym czasie Rosja weszła w fatalny okres swych czasów – rewolucja, wojna domowa, budownictwo socjalizmu, rozkułaczanie.

Na koniec – wielki terror, który nie odpuszczał nawet najmniejszych ludzkich osiedli. „Tragedia syberyjskiego Białegostoku” – nazwał swoją książkę „o czarnych stronicach w historii rodzinnego Białegostoku” Wasyl Haniewicz. W autorskim wstępie czytamy: „W pierwszej kolejności to książka o moich krajanach, ale także praca o losach dziesiątków tysięcy Polaków, którzy kolejną losów znaleźli się na terytorium Syberii”.

- Tak, ludobójstwo Polaków – to działanie masowe, zaplanowane. Ale siła książki tkwi w konkretnych życiorysach, w żywych opowieściach mieszkańców, które działają na czytelnika silniej niż wściekłe zaklęcia nowo objawionych bojowników. Sześć, siedem lat temu zaczęło się w środowisku oświeconej publiki to, co Jurij Własow dobrze określił jako „zbiorowa przenikliwość”. Jak czarci z tabakierki powyskakiwali skądś płomienni trybunowie. Gazety z pełną gotowością udostępniały im swoje łamy. Mnie jako prowadzącego strony czytelnicze, pamiętam, zawałono tzw. antysowieckimi wierszami. Ile patosu, zjadliwości, ironii, śmiałości! Każdy pragnął krzyczeć głośnie, pchać się w pierwsze rzędy, o mały włos nie rozpychając innych łokciami.

Nasz autor także wykorzystał zmieniającą się sytuację społeczną. Ale po swojemu. Istotnie, zaczęły otwierać się państwowe archiwa służb specjalnych. Haniewicz wiosną 1989 r. skierował się do tomskiego KGB, żeby otrzymać odpowiedź na pytanie o los swoich bliskich. Szedł tam, jak sam przyznaje, z niemałą dawką strachu. Pracownik, który go przyjął, „uprzejmy młody człowiek”, tylko kazał czytać wcześniej zrobione wypisy ze spraw karnych i nie pozwolił niczego notować. Haniewicz uparcie dążył do pełnego dostępu do archiwum. I to, koniec końców, mu się udało, bo czas pracował na jego korzyść. Ze wspomnień świadków i dokumentów archiwalnych składa się główna część książki – straszną kronikę terroru skierowaną przeciwko setkom mieszkańców okręgu narymskiego, przeciwko białostoczanom.

Jednym z mitów, który był korzystny dla, jak się mówi, naszych i waszych, był zrodzony w latach sześćdziesiątych mit o skierowaniu maszyny represji głównie przeciw inteligencji. Powiada się, że główni satrapowie bali się jej zeznań i demaskacji. Tak naprawdę niczego się nie bali. Ale głośno zrehabilitować w czasach chruszczowowskich kilka setek znanych w Rosji nazwisk było już możliwe. A stwierdzić, że państwo sowieckie prowadziło wojnę przeciwko swemu narodowi, było prostym samobójstwem dla samego Nikity Chruszczowa (ponieważ pozwolił na tę demaskację, tego mu już nie przebaczą).

Tak więc książka Haniewicza to jeszcze jeden kamień, naruszający ten mit. Wiecej nauczyciele, kolchozowi chłopci, stróż kościoła, niewykształceni starszacy – wszyscy zostali oddani, jak pisze autor, „na ofiary funkcjonującego systemu niszczenia człowieka”.

Niektóre życiorysy udało się Haniewiczowi przesledzić szczegółowo. Oto ksiądz Mikołaj Michasionek, któremu po przesłuchaniach, prawdopodobnie, zaproponowano przyznanie się do winy, a który napisał na kawałku papieru: „Mam życzenie, żeby ludzie na całym świecie wierzyli w Boga. Niczego więcej napisać nie mogę”. Oto Stanisław Bach, który był organistą w kościele nowosybirskim, ale w przeciwieństwie do swojego znamienitego familianta zniknął bez rozgłosu, został rozstrzelany.

1938 rok – straszny rok w historii Białegostoku, ale to nie cała jego historia, dlatego w książce znajdziecie rozdziały o założeniu wsi, o budowie świątyni, o tym, jak powstawał kołchoz. Oddzielny rozdział zatytułowany „Inżynierowie dusz” opowiada o oprawcach – i o gorliwych wynalazczych sadystach, jak i o milczących wykonawcach. Należy, niestety, wspólnie z autorem skonstatować, że po chruszczowowskich rozliczeniach „zdecydowana większość oprawców z NKWD nie została ukarana, a nadal aktywnie pracowała w systemie organów sprawiedliwości. Oni byli potrzebni kontynuującemu funkcjonowanie systemowi sowieckiego totalitaryzmu”.

Chciałbym podkreślić niewątpliwe talenty literackie autora, które szczęśliwie łączą się tutaj z talentem badacza. Przeczytałem wiele listów z obszernej poczty Haniewicza. To listy różnych ludzi – Rosjan, Polaków, z różnych miejsc, w różnym stylu napisanych. Łączy je jedno – wdzięczność autorowi za wykonaną pracę, potwierdzenie potrzeby powstania takiego dzieła.

*Władimir Kriukow, członek Związku Pisarzy Rosji
Almanach „Sybirskaja Starina” nr 12, 1997, s. 38-39.*

Ożywiła wspomnienia z lat dziecińczych

Książka ta, którą przeczytałam z niesłabnącą uwagą i olbrzymim zainteresowaniem od kropki do kropki, wywarła na mnie ogromny wpływ. Istota w tym, że moi rodzice pochodzą z Wozniesienki i Iwanowki – wsi należących do białostockiej rady wiejskiej.

W latach trzydziestych, po zakończeniu służby w armii, mój ojciec skończył kursy szoferów i zaczął pracę w Tomsku, gdzie zabrał do siebie całą rodzinę – swoich rodziców, siostry i żonę. My dzieci, rodziliśmy się już w Tomsku (ja w 1935 r., brat w 1937 r.), ale na ile dobrze sobie przypominam, każde lato spędzaliśmy u babci w Wozniesience. I dlatego związek z tą wsią był bliski – wszyscy krewni i sąsiedzi, kiedy przyjeżdżali do miasta – do szpitala czy na bazar – zawsze zatrzymywali się u nas. Dorośli toczyli niekończące się rozmowy na tematy wiejskie, a także w „wiejskim” języku (jak nam się wydawało), a tak naprawdę był to język białoruski.

Książka ta ożywiła wspomnienia o latach dziecięcych, o cudownym czasie – lecie u babci, ze wszystkimi jego urokami. Przecież my, dzieci, bied i trudności tych lat nie rozumieliśmy jeszcze. Dla pięknych wspomnień o tych czasach potrzeba by było wiele czasu i miejsca. Pamiętam, że droga z Tomsku do Wozniesienki była długa i trudna: początkowo płynęliśmy statkiem „Ob” do Kriwoszeina, a potem kolejne czterdzieści kilometrów do Wozniesienki na okazyjnej podwodzie, choć zdarzało się i iść na piechotę ten odcinek przez wsie Aleksandrowkę, Pudówkę, Kryłówkę. A potem – Białystok, z którego do Wozniesienki już blisko – dwanaście kilometrów. Tak więc w Białymstoku byłam, niestety, tylko „przejazdem”.

Ta zagadkowa dla mnie nazwa „Białystok” nie schodziła z ust moich licznych cioć i wujków – dzieci babci Marii Szarucho – Anatola, Olgi, Nadieždy, Giennadija, Jekateriny. Miałam wówczas wrażenie, że Białystok dla miesz-

kańców Wozniesienki był swoistą stolicą. Wydawało się, że wszystko, co ważne dla nich, wydarzało się tam, w Białymstoku.

W Wozniesience była wówczas tylko początkowa szkoła, w Białymstoku – siedmiolatka. Dlatego po zakończeniu nauki w szkole początkowej wszyscy kontynuowali swoją naukę już w Białymstoku. Tam też mieszkali – u krewnych, na kwaterach, jedynie w niedziele lub święta przychodzili do domu na piechotę. Potem o nauce w Białymstoku przez całe życie wspominali. Przeczytawszy tę książkę, zrozumiałam, dlaczego oni z takim zachwytem, szacunkiem i poważaniem mówili o Białymstoku: bo to bardzo piękne i duże sioło, z dużą szkołą, z kościołem – jednym słowem centrum kulturalne i miejscowa stolica.

Bardzo pragnie się odwiedzić drogie sercu krainy. Ale teraz to bardziej skomplikowane, choć tam już od dawna po Tomie i Obie snują się wodoloty, a od Kriwoszeina do Białegostoku i dalej do Wozniesienki jeżdżą autobusy przez wszystkie wsie. Pamiętam, że w czasach naszego dzieciństwa to były piękniejsze miejsca, tajga, bogata jagodami, grzybami, cedrowymi orzeszkami. A teraz krewni piszą, że już nie ma tej obfitości w lasach, nie ma tych urodzajów w ogrodach. Wcześniej u babci w ogrodzie było tak dużo kartofli, ogórków, marchwi, kapusty i innych warzyw, że my dzieci, nie dostrzegaliśmy braku chleba. Babcina wioska w tym dalekim kraju wydawała mi się wysepką jakiegoś innego świata, gdzie była bardzo dobra osoba, budząca nas rankiem słowami: „wstańcie leniuchy, choć coś pojecie!”. Spokojne i czułe ciotki, które godziły nas, kiedy się pokłóciliśmy. Nalewały wtedy po dużym kubku mleka, wszystkim po równo – tak dla obrażonych, jak i dla sprawców krzywdy. To również wujkowie, niestrudzeni w znoszeniu naszych licznych żartów i dowcipów.

Zawsze mnie interesowało, skąd przyjechali do Wozniesienki, Białegostoku pierwsi mieszkańcy i kiedy te miejscowości zostały założone. Od babci i mamy wiedziałam, że w latach 1909–1910 nasi krewni przyjechali z Białorusi. Podobno dlatego, że tam było mało ziemi, a rodziny były liczne. Na Syberii ziemi było dużo, ale ją trzeba było najpierw karczować, a potem uprawiać. Wiedziałam, że Wozniesienka – to białoruska wieś, a Białystok to polskie sioło. Ale szczegółów nie znałam.

Możecie sobie wyobrazić, z jakim zainteresowaniem czytałam książkę, w której znalazłam odpowiedzi na pytania, które mnie nachodziły w dzieciństwie, wiele dziesiątków lat temu! Jak wiele interesujących i ważnych szczegółów o rodzinnych miejscach dowiedziałam się z niej. Okazuje się, że przez naszą Wozniesienkę przeszła cała sowiecka historia, a wcześniej – przesiedlenia w wyniku reformy stołypinowskiej.

O tragicznych wydarzeniach końca lat trzydziestych w Białymstoku, którym poświęcona jest większa część książki, moi bliscy nigdy nie wspominali. I dopiero wówczas, kiedy na ten temat pojawiły się publikacje, kiedy zaczęto otwarcie mówić o represjach, moja ciocia Nadieżda Szarucho opowiedziała o tym, wspominając Białystok. Ona w tym czasie uczyła się w Białymstoku, tu skończyła szkołę i na własne oczy widziała, kiedy mężczyźni ze wsi pod okiem konwoju prowadzono nie wiadomo gdzie i nie wiadomo za co. Dodała jeszcze wówczas, że chłopcy – Polacy, wszyscy byli tacy piękni, wysocy, woźniesieńskie dziewczęta chętnie na nich spoglądały. Z opowieści cioci najbardziej zapadło mi w duszę właśnie to, z jaką goryczą powiedziała o tym, że tacy piękni byli ci młodzi Polacy, których zabrano nie wiadomo dokąd. Teraz wiemy dokąd, co jeszcze bardziej boli, jeszcze bardziej jest przykro.

Wiele nazwisk, wspomnianych w książce, jest mi znanych z opowieści starszych – Bielawski, Daszczuk, Krzywda, Maziuk, Siergun i inni. Oczywiście, nie mogę dodać niczego konkretnego do tej historii, bo przecież byłam tylko gościem w tej krainie.

Albina Patruszewa
Irkuck, 1999 r.

Piszę do Was, a sama płaczę...

Przeczytałam Waszą książkę „Tragedia Syberyjskiego Białegostoku” o rodzinnym Białymstoku, gdzie urodziła się moja mama w 1905 roku i jakby zmartwychwstała.

Czytając książkę, nie mogłam doczekać się odnalezienia nazwiska pierwszego księdza, Cerpento, o którym bardzo często opowiadała nam mamusia. Kiedy wreszcie je znalazłam, sześćdziesiąt lat od tego czasu minęło, zapłakałam na cały dom, wydawało mi się, że moja mama przyszła do mnie i opowiada mi wszystko jeszcze raz. Och, jak żal, że mama już nie żyje, a jej brat, najmłodszy w tym pokoleniu, zmarł w 1998 r.

Szkoda, że nie ma kogo więcej o tamten czas zapytać. Z opowieści mamy wiem, że ten ksiądz Cerpento przyjaźnił się z dziadkiem, Alfonsem Grzybowskiem, który mu poradził, żeby wyjechał z Syberii i wrócił do Polski.

Zebrało się w Białymstoku jakichś dwadzieścia, trzydzieści rodzin i gdzieś około 1920–1922 roku postanowiły wrócić do ojczyzny. Zbudowali duże wozy, zaprzęgli konie, wzięli te najlepsze, parę krów i wyruszyli w drogę. Droga ciągnęła się trzy, cztery miesiące, po drodze ich napadano, sporo rodzin zamordowano, u mojego dziadka po drodze zmarł maleńki chłopczyk, ale chcąc ratować życie innych, wszystko trzeba było przetrzymać. Na rosyjsko-polskiej granicy zabrano im wszystkie lepsze rzeczy, przeszli przez kordon sanitarny i już w Polsce wsadzono ich do pociągu, w ten sposób dotarli do rodzinnych stron w Mikielowszczyźnie. Potem dziadek z rodziną osiedlił się w Mostach, tam zbudowali dom, mama zatrudniła się w Szczuczynie, gdzie pracowała w karczmie.

Jeśli uda się Wam przyjechać do nas, na Białoruś, to zanim wybieriecie się w tę podróż, proszę Was, żebyście pojechali do Białegostoku, porozmawiali i dowiedzieli się od mieszkańców, gdzie stał dom mojej mamusi, a jeśli on do

tej pory stoi, pokłońcie się mu, weźcie stamtąd grudkę ziemi i przywieźcie mi. To początek mojego życia. Pokłońcie się kościołowi, w nim moja mama sypała kwiaty, kiedy szła procesja. Piszecie w swojej książce, że kościół był zniszczony, co z nim teraz?

Kiedy przeczytam całą książkę o Białymstoku, pójde do księdza i zamówię Mszę za wszystkich zamordowanych w Białymstoku Polaków. Tymczasem piszę do Was, a sama cały czas płaczę...

Janina Jocz

Szczuczyn, Białoruś, 15 kwietnia 1999 r.

Indeks osobowy

A			
Adamowicz E.	143	Bek Aleksy	79, 111
Anaszuk	105	Bembel Anatol	71
Areszczenko Maria (Jocz)	53, 74	Bembel Wasyl	109, 118
Arik	52	Beria Ławrentij	107, 154, 161
Artemow Nikołaj	46	Berman Maciej	159, 160
Artisz Antoni	85, 111	Bielawska Józefa	68
Artisz Bolesław	66, 106, 111, 199	Bielawski Adolf	47
Artisz Jan	71, 74, 76, 111	Bielawski Antoni	68, 85, 111
Artisz Józef	85, 111	Bielawski Józef	76
Artisz Stanisław	71	Bielawski Wacław	66, 67
Artisz Wiktoria	74	Bielawski Wasyl	111, 204
Artymowicz Adam	102, 107, 111	Bielecki	121
Asticz Maria (Maziuk)	84	Bielski Michał	45, 46, 48, 101, 111
Atepkó Maksym	108	Biełosiudcew	171
B		Bogorodickij	121
Babikowa Elizawieta	134	Bolszakow I.	165, 166
Bach Paweł	80, 111	Borysow	52
Bach Stanisław	25, 111, 123, 124, 125, 126, 200	Borysowiec Paweł	61, 64, 98, 99, 111
Bak B.	122, 160	Bugienis, ks.	121
Baranow	99	Bujewicz Wincenty	111
Baszkiriow	69	Bulando Kazimierz	27, 51, 52
Bazan Czesław	119	Burmatow Giennadij	170
Bebrekarle	121, 122	Burzemowski Włodzimierz	111, 118, 127-131
		Butin Mikołaj	71

Butin Piotr	71	Duliniec Anna	74
Bykow	109	Duliniec Hipolit	112
C		Duliniec Piotr	74
Cerpento Hieronim, ks.	26, 111, 151, 205	Duszylin	27
Chruszczow Nikita	88, 200	Dutczenko Maria	65
Chudiakow	129	Dymba	129
Chwalko Konstanty	45, 46-47, 79, 80, 100, 112, 127	E	
Cichański	138	Eiche	164
Czerkaszyna Zoja (Artisz)	26, 51, 72	Ekzmijewski	146
Czernobaj L.	97	Eranakow	194
Czernych Nikołaj	108, 162, 163, 194	Eskin	97
Czernych Raisa	162, 163	F	
Czerwona Maria (Mazur)	55, 62	Fast W.	90
Czerwony Piotr	47, 54, 55, 61, 62, 98, 99, 101, 112, 127	Filimonienko	125
Czerwony Włodzimierz	61-63, 79, 84,	Filipowicz S.	165, 167, 168
Czyblis Agata	66	Filipowicz Władysław (Kęszczynski Bogumił)	146-148
Czyblis Franciszek	25	G	
D		Gajnulin Abram	108
Daszczuk Aleksander	25, 28	Gawicka Helena	133
Daszczuk Maria	63	Gawiłowski Jan	137
Daszczuk Piotr	54, 80, 81	Gawiłowski Piotr	137-140
Daszczuk Wasyl	47, 61, 85, 100, 204	Gawrilenko Kuźma	106, 181, 182
Daszczuk Wiktoria	62, 84	Gielbutowska Albina	74
Dąbał Tomasz	148	Gielbutowski Marian	66-68, 112
Denikin, gen.	142	Gintowt Kazimierz	153
Dobrzański Józef	141, 142, 144	Gnutikow Timofiej	128
Docenko A.	105, 165	Gołubczik	147
Dołgorukow	97	Gorbacz	150, 160, 161
Drozdow	44	Gorbienko G.	132, 133, 166
Dudczenko Jan	78, 112	Gorbunow	105
		Gorkin	96
		Gospodaryk Efrem	108, 118
		Grabowski Franciszek, ks.	27
		Groński Julian, ks.	27, 101, 124
		Gruzdewa Paulina (Onckul)	67, 68

- | | | | |
|-------------------------|--|-----------------------|---------------------------------|
| Gruzdiew S. | 143 | Jocz Antoni | 69, 113 |
| Gryk Błażej | 64, 65, 100, 102, 112 | Jocz Edward | 47, 113 |
| Gryk Florian | 75, 76 | Jocz Feliks | 61, 62, 98, 99, 101, 113 |
| Gryk Józef, ojciec | 112 | Jocz Franciszka | 46, 63 |
| Gryk Józef, syn | 80, 112, 131, 132, 134 | Jocz Jan | 19, 86, 87, 113 |
| Grzybowski Alfons | 205 | Jocz Jan | 104, 107, 108, 113 |
| Gsell Antoni, ks. | 30, 31, 33 | Jocz Józef | 113 |
| Guriew K. | 143 | Jocz Kazimierz | 18 |
| H | | Jocz Konstanty | 104, 106, 107 |
| Haniewicz Antoni | 179-181 | Jocz Kosma | 113 |
| Haniewicz Gabriela | 27 | Jocz Marcin | 68 |
| Haniewicz Helena | 67, 75 | Jocz Nadieżda | 69 |
| Haniewicz Hipolit | 67-69, 112 | Jocz Stanisław | 25 |
| Haniewicz Jan | 18, 70, 75, 76 | Jocz Włodzimierz | 68 |
| Haniewicz Józef | 18, 19, 67, 75, 76 | Jonow | 140 |
| Haniewicz Katarzyna | 67, 68 | Jóźwik Kazimierz, ks. | 32, 33 |
| Haniewicz Kosma | 112 | Juklajewski | 69 |
| Haniewicz Walery | 180 | K | |
| Haniewicz Wasyl, senior | 27, 35, 36, 70, 85, 90, 106, 113 | Kaczan Agata | 46 |
| Haniewicz Wasyl, junior | 193-198, 200, 201 | Kaczan Józef | 46, 48 |
| I | | Kalczew | 105 |
| Ignatow Afanazy | 47 | Kalentjew | 138 |
| Iljasow | 180 | Kalinin N. | 104, 168 |
| Iwanow | 132 | Karelin Mikołaj | 61, 64, 96-98, 102, 113 |
| Izotowna Milica | 74, 198 | Karłow S. | 167 |
| J | | Karpisz Ludwik | 45, 46, 48, 101, 113 |
| Jagoda Henryk | 154, 159, 160 | Karpow S. | 102, 105, 109, 165-168 |
| Jakowlew | 109 | Kartaszow A. | 165 |
| Janajew Giennadij | 93, 216 | Kaszczejew N. | 90 |
| Januszewski | 144 | Kazancew P. | 165 |
| Januszko Mojżesz | 113 | Kiperwas N. | 62, 99, 105, 109, 128, 129, 165 |
| Jeżow Nikołaj | 154, 158-160, 164 | Kisiel Aleksander | 75, 76 |
| Jocz Aleksander | 18, 19, 23, 24, 65, 103, 104, 113, 194 | Kisiel Antoni | 47 |
| | | Kisiel Hipolit | 46 |
| | | Kisiel I. | 100, 102 |
| | | Kisiel Jan | 63, 75, 76, 91, 118, 128, 175 |

Kisiel Józef	91	Letunow A.	162
Kisiel Paweł	114	Levic	164
Kniaziuk Tymoteusz	63, 103, 118, 128	Lew A.	165, 166
Koch	128	Lewko Gabriel	72, 118
Kolbek Iwan	128	Lewko Józef	72, 109, 128
Kołczak Aleksander	103, 146, 147	Liber Anatol	162
Kondracki Stanisław	46, 48, 114	Lipiczun	105
Konnow	147, 150, 152	Luty Franciszek	114
Kopiejkina	83	Luty Jan	46, 48, 64, 100, 101, 102, 114
Korietow	105	Luty Piotr	46, 48, 114
Korobkin Michał	118	Luty Stanisław	47, 76
Korszow	105		
Korszunow Michał	47	Ł	
Kowaliow	105	Łagoda	153
Kozyński Piotr	183	Łarionow	105
Kranakow	108	Łukaszuk Paweł	141, 143, 144, 146
Krapiwiec Wasył	73	Łukiczew	109
Kriuczuk Fiedot	128		
Kropoczkin Aleksiej	134	M	
Krysow Aleksander	137, 139, 167	Majsak Marcin	44, 53
Krzywda Franciszek	85, 106, 114	Makarow	125
Krzywda Michał	78, 114, 204	Maksimoczkin	105
Kurowski S.	164	Malcew	132, 160
Kuzniecowa Igor	65, 155, 165, 196	Małyszew M.	96, 164
Kużelew W.	164	Mamajew	129
L		Marchel Ignacy	71, 118
Labik Michał	108, 118	Markisz Akulina	138
Laczenko	100	Markisz Józef	19, 76
Lajko Adam	72, 82, 118	Markisz Maciej	114, 185
Lajko Ludwik	72, 118	Markisz Maria	185-187
Lajko Maria (Kisiel)	72, 74	Markisz Nikodem	66, 67, 114
Lappa Alempij	180	Markisz Piotr	114
Latyp Safin	108	Markisz Piotr	114, 135-137, 139
Lebiediew	142	Markisz Wincenty	114, 135-138
Lenin Włodzimierz	48, 144	Marton Stefan (Istvan)	45, 98
Leonienko	105	Masiuk Dominik	118
Lekarewicz Klemens	80, 81	Matesza Antoni	76, 77
Lekarewicz Malwina (Pilewicz)	81, 133	Maziuk Adam	39, 43, 45, 46, 48, 101, 114

Maziuk Anna	66	Nazaruk Józef	47, 64, 85, 100, 101, 102, 103, 115
Maziuk Antoni	115	Nazaruk Wiktor	78
Maziuk Antoni	115	Niechoroszew	138
Maziuk Franciszek	66, 68, 103, 115	Nieganow Michail	170
Maziuk Hieronim	19	Niewski A.	169
Maziuk Hipolit	67, 115	Nikołajenko	44
Maziuk Jan	75, 76	Nilow W.	90
Maziuk Józef	67, 73	O	
Maziuk Malwina	68	Odinokow Mikołaj	108
Maziuk Michał	67, 115	Ogniew Grigorij	73, 74
Maziuk Paweł	47, 84, 85, 115	Okorokow	103
Maziuk Stanisław	115, 204	Osincew A.	96
Maziuk Stanisław	65, 115	Oskarbski Julian	52
Maziuk Szymon	80, 115, 141, 144, 145	Owczynnikow	160, 161
Maziuk Walery	27, 51, 54, 80, 91	P	
Merinow B.	105, 109, 167, 195	Palij	107
Michajłow	20, 21	Pańtiuchin	141
Michajłow	97	Parfionow Wasyl	138, 139
Michasionek Mikołaj, ks.	26, 27, 53, 120-124, 160, 201	Pasiakin	85, 90
Michnia Benedykt	26	Pastanogow K.	161, 168, 169
Michnia Antoni	47, 78, 115	Pietruchin J.	90, 91
Michnia Feliks	47, 48, 61, 98, 99, 100, 101, 115	Piczurin L.	90, 92
Michnia Józef	67, 73, 106, 115	Pieczenkin I.	165
Michnia Roman	106, 107, 115, 195	Pietchenko	80
Michnia Stanisław	116	Pietrowski W.	162
Michnia Wiera	66	Pilewicz Bernard	69, 85, 116
Michnia Wincenty	47, 55, 78, 116	Pilewicz Biernat	105
Michnia Włodzimierz	181	Pilewicz Bolesław	116
Mietła	171	Pilewicz Maciej	47
Mironow	160, 161, 183	Pilewicz Stefania	69, 177
Mitin	47	Pilatow Antoni	47, 116, 180
Morozow Pawlik		Piłsudski Józef	153
Mozrzeryn Wasyl	64, 65, 97, 98, 102	Piotrowski, bp	121
N		Pirocki	97
Nazaruk Aleksander	183	Plebanek	146
Nazaruk Jan	78, 116	Podwysocki Mikołaj	76
		Polakow	109

Pomieszczikowa Katarzyna (Dasz- czuk)	80	Sergun Iwan	47
Popow Trofim	47, 69, 116	Sewostianow	171
Portnow	105	Sielawski	105
Potrebo Daniel	141, 142, 143, 144	Sielezniow	143
Poturemski I.	103	Sieńko Wincenty	39, 45, 67, 117
Poturemski Srefan	46	Sierko Piotr	26, 28, 40
Primaka Nikodem	108	Sierko Rafał	28, 39, 40, 41, 117
Priszczepta S.	165, 167	Sitnow	138
Proński Bronisław	47	Skawińska	51
Proński Stanisław	65, 97, 103, 104, 116	Skolianny	44
Proński W.	43	Skrabin	102
Proński Zygmunt	27, 80, 98, 116	Smirnow	100, 105, 167
Prymak Mikołaj	108, 116	Smokotin	105
Przybyszewski Bolesław	148	Smolicz Maria	65, 78, 82, 85
R		Smolicz Wincenty	64, 65, 85, 100, 101, 102, 117
Raczkowski W.	143	Smolicz Witold	65, 101, 117
Radziej Franciszek	76	Sobolew	105
Radziej Tadeusz	76	Soboliewa	181
Radziuk Jan	116	Sokolik Piotr	108
Rebecki	53	Sokołowska Helena	80
Reichbaum	122	Sołżenicyn Aleksander	42, 43, 88
Reutt	54	Sosenko Aleksander	146, 148, 149
Rodziewicz Elias	116	Spragowski Anatol	144, 145, 165, 166, 168, 196
Roman Anna (Maziuk)	82	Stalin Józef	45, 48, 82, 84, 89, 93, 118, 155, 159, 178, 182, 197
Romaniuk Adam, ks.	33, 37, 57	Stanikow	48
Romanow	132, 152	Starikow Iwan	104, 171, 172
Rudko W.	143	Stec Stanisław	18
Rudkowski Michał	73	Stępień J.	26
Rudkowski Antoni	74, 116	Stryde	143
Rybinow	126	Surgieło Napoleon	46, 48, 117
Rymsza Grigorij	71	Surow A.	164
S		Surow N.	104
Sacharow	54	Symanowicz Piotr	52, 53, 54
Sajewicz Michał	40	Szachtarin Georgij	32, 90
Sałytnakow	165	Szałdo	172
Sawicz A.	144	Szarangowicz Wasyl	127

Szarucho	102, 105		
Szarucho Nadieżda	105, 202, 204	U	
Szczerbinin	152	Ucin Igor	78
Szczerbinow		Uljanow	104
Szparkowicz Alfons	46, 66, 117	Uspieński Aleksander	160
Szparkowicz Bolesław	66		
Szparkowicz Stanisław	117	W	
Szuć Antoni	79, 117	Welederski K.	164
Szuć Filip	75, 76	Wereszczagin Paweł	47
Szumski Adam	76, 106	Werth Joseph, bp	34
Szumski Agnieszka	70	Wielikanow N.	169
Szumski Augustyn	73, 75	Wiesiełow	109
Szumski Elias	117	Wiesnin	96
Szumski Konstanty	117	Winogradow	183
Szumski L.	91	Własow Jurij	108, 194
Szumski Paweł	76, 77	Wołkow A.	168
Szwedko Paweł	117	Wołkow Piotr	171
Szwedko Stanisław	85, 117	Wołosacz Michaił	105
Szwedko Stefan	75, 76	Worobjew	105
Szymanowski Antoni	76	Wrangel, adm.	142
Szymanowski Tadeusz	50, 65	Wutyn Piotr	118
Szymanowski Wicenty	117	Wyszyński Andriej	107
Szymański T.			
Szymański Wincenty	109	Z	
Ś		Zakowski (Sztubic)	122, 160
Świątkowska Anna Maria	56	Zarzecki E.	144
Świdorski		Zgórski Adam	132, 133, 134
		Zieńczuk Antoni	76, 77
T		Zieńczuk I.	91
Tatkin Iwan	28, 47, 48, 49, 64-68, 70, 73, 72, 96, 99, 100, 101, 103, 105, 108, 194	Zieńczuk Zoja (Jocz)	62
Tichomirow Mikołaj	108		
Timoszenko	97	Ż	
Tjutjunnik	46	Żirnow	105
Tołkaczew	66, 103	Żukowski Antoni, ks.	99, 124, 146,
Tołstykin M.	162		151, 153
Trenin Borys	92, 196	Żurawski Michał	32
Trifonow Grigorij		Żykiewierin Antoni	122, 152
Trocki	217		

Słownik niektórych skrótów i nazw rosyjskich

CzKa – Czeka, CzK, WCzK, Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem – akronim nazwy sowieckiego organu czuwającego nad bezpieczeństwem państwa, odpowiedzialnego za represje w Rosji Sowieckiej w latach 1917–1922. Początkowo nosiła pełną nazwę *Wsierossijskaja Czriezwyczajnaja Komissija po Bor'bie s Kontrriewolucyjej i Sabotażom* (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem), od sierpnia 1918 roku *Wsierossijskaja Czriezwyczajnaja Komissija po Bor'bie s Kontrriewolucyjej, Spiekulacyjej i Priestupleniami po Dołżnosti* (Wszechrosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją, Spekulacją i Nadużyciami Władzy), zwana potocznie Czeka, lub *Czieriezwyczajka*. Potocznie nazywano tak także dalsze sowieckie służby, powstałe po przekształceniu Czeki.

GUGB – Główny Zarząd Bezpieczeństwa Państwowego NKWD (*Gławnoje Uprawlenije Gosudarstwiennoj Bezopastnosti*), jeden z czołowych zarządów Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych NKWD, odpowiedzialny m.in. za bezpieczeństwo wewnętrzne, ochronę rządu, wywiad zagraniczny i kontrwywiad.

Gułag – GUŁag, Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy – system obozów pracy przymusowej w ZSRR, którego więźniami byli zarówno przestępcy kryminalni, jak i osoby uznawane za społecznie niepożądane lub politycznie podejrzane. Słowo jest akronimem nazwy instytucji zarządzającej tym systemem – *Главное Управление Исправительно-Трудовых Лагереј и колоній* – (Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy). Jako synonim stosowane jest określenie łagry od ros. słowa *obóz* (лагерь, *tagier*).

KGB – Komitet Bezpieczeństwa Państwowego przy Radzie Ministrów ZSRR (*Комитет Государственной Безопасности при Совете министров СССР*) – sowiecka struktura administracyjna, łącząca funkcje instytucji czuwającej nad bezpieczeństwem państwa, dokonującej politycznej inwigilacji obywateli, zwalczającej rzeczywistość i potencjalną opozycję oraz niezależny obieg informacji, kontrolująca większą część służb specjalnych ZSRR. KGB istniała w okresie od marca 1954 do października 1991 r. Była następczynią CzKa i NKWD; w porównaniu do poprzedniczek była ściślej kontrolowana przez aparat partyjny. Znaczną część jej działalności przejęła Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB).

KPZS – Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego – istniała pod tą nazwą w latach 1952–1991. Nieudany przewrót dokonany przez Giennadija Janajewa 19 sierpnia 1991 r. przypieczętował utratę władzy przez KPZS w Rosji. Decyzją parlamentu rosyjskiego z 28 sierpnia KPZS została zakazana, a jej majątek – zasekwestrowany.

MGB – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (*Министерство государственной безопасности*) – organ bezpieczeństwa działający w Związku Radzieckim w latach 1946–1953.

MWD – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR – (*Министерство внутренних дел*) – sowiecki organ policji politycznej i służby bezpieczeństwa funkcjonujący w latach 1946–1960.

NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR – (*Народный комиссариат внутренних дел*) – centralny organ państwowy, prowadzący działalność w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego, wywiadu i kontrwywiadu, nadzorujący lokalne instytucje rządowe, istniejący w ZSRR w latach 1934–1946, następnie przemianowany na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR. NKWD było głównym narzędziem w rękach władz sowieckich, którym posłużono się do ogromnych represji wobec własnych obywateli w i poza granicami ZSRR, a także masowych deportacji różnych narodowości, w tym Polaków.

OGPU – Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny – (*Объединенное Государственное Политическое Управлениe*) – policja polityczna, zajmująca się również wywiadem i kontrwywiadem, działająca w ZSRR w latach 1922–1934.

WKP(b) – Wszechwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików).

Partia komunistyczna, która po rewolucji lutowej 1917 r. uzyskała możliwość legalnego działania w Rosji. Była organizatorem i główną siłą sprawczą przewrotu bolszewickiego w październiku 1917 r. Po krótkim okresie koalicji z partią lewicowych socjalistów-rewolucjonistów (eserów), zaprowadziła w Rosji rządy dyktatorskie i terrorystyczne (ustrój ten określano jako *dyktatura proletariatu*). Nazwa obowiązująca od 1925 r. Chociaż od XVII Zjazdu WKP(b) w 1934 r. (zwanego „zjazdem zwycięzców”) niemożliwa była jakkolwiek opozycja, a nawet krytyka, Stalin podejrzewał swoich współpracowników o spiskowanie przeciw niemu. „Wielka Czystka”, którą zainicjowało tajemnicze morderstwo popularnego działacza Siergieja Kirowa pochłonęła tysiące działaczy partyjnych: z początku dawnych zwolenników Trockiego, Zinowjewa i Kamieniewa (ich poglądy określano jako „odchylenie lewicowe”), następnie zwolenników Bucharina, Rykova i Tomskiego (których poglądy określano jako „odchylenie prawicowe”), a w końcu zwolenników Stalina, których podejrzewano o nadmierną niezależność („centrowość”). Przez pewien czas głównym narzędziem władzy było NKWD, a miejsce dawnego aparatu zajęli młodzi karierowicze i oportuniści, w obawie o swoje życie ślepo posłuszni Stalinowi i nie wyznający żadnych przekonań. Momentem zwrotnym w historii partii (w 1952 r. przemianowanej na *Komunistyczną Partię Związku Sowieckiego* – KPZS) była śmierć Stalina 5 marca 1953 roku.

FOTOGRAFIE



Tak wygląda syberyjski Białystok zimą



Współczesny kościół w Białymstoku

Книжки эти можно получить БЕЗПЛАТНО из губер-
нских управлений, у комиссаров и в Губернских
по Крестьянским Делам Присутствиям.

Нижние книжки выдают się БЕЗПЛАТНО в Ура-
дских Губернских, в Комиссару і в Zarządach Guber-
nialnych do Spraw Włościanich.

Бесплатно.

Издание Переселенческого Управления.



Переселение за Уралъ

въ 1914 году.

ВСѢ НУЖНЫЯ СПРАВКИ МОЖНО ПОЛУЧАТЬ ПОЧТОЙ и ТЕЛЕ-
ГРАФОМЪ ИЛИ ИЗЪ ПЕРЕСЕЛЕНЧЕСКАГО УПРАВЛЕНІЯ ВЪ ПЕ-
ТЕРБУРГѢ (адресъ для телеграммъ: *Петербургъ—Переселенецъ*),
ИЛИ ИЗЪ СИБИРСКИХЪ РАЙОНОВЪ ВОДВОРЕНІЯ.

Bezpłatnie.

Wydanie Zarządu Przesiedleńczego.

Przesiedlenie za Ural

w roku 1914.

WSZELKIE OBJAŚNIENIA MOŻNA OTRZYMywać PRZEZ POCZTĘ
LUB TELEGRAM, Z ZARZĄDU PRZESIEDLEŃCZEGO (адресъ для
депешъ: *Петербургъ—Переселенецъ*), ALBO TEŻ Z SYBERYJSKICH
REJONÓW OSIEDLEŃCZYCH.

С.Петербургъ.

Типографія В. О. Киршбаума (отдѣленіе), Новосадовская, 20.
1914.

Przesiedlenie za Ural. Karta tytułowa broszury informacyjnej



Brzeg rzeki Ob, tędy płynęły ciała zamordowanych



Jan Haniewicz, fot. z 1940 r.



Antoni Haniewicz, fot. z 1940 r.



Ksiądz Mikołaj Michasionek z rodziną Michniów, fot. z 1922 r.



Antoni Haniewicz



СВИДЕТЕЛЬСТВО О СМЕРТИ

Гражданин(ин)

Станислав ^{Бак} ^{Мисайлович}
умер(ла) 05.05.38г. ^{Восьмью} ^{мая}
^{тысяча} ^{девятсот} ^{тридцать}
^{восьмью} ^{года}

в возрасте 38 лет, о чем в книге регистрации актов о смерти

19 38 года августа месяца 30 числа

произведена запись за № 11

Причина смерти

Расстрел.

Место смерти: город, селение

Сталин.

район

область, край

Сталинская.

республика

Место регистрации

Минское районное
Советское



Местонахождение органа ЗАГС

Дата выдачи 05 мая 1938г.

Заведующий отделом (биро)
актов гражданского состояния

1-01 № 408301

Świadectwo śmierci Stanisława Bacha

★
ВОЕННЫЙ ТРИБУНАЛ
СЕВЕРО-КАВКАЗСКОГО
ВОЕННОГО ОКРУГА

15. августа 60.
№ 2/602
г. Ростов-на-Дону.

СПРАВКА

Дело по обвинению МИХИЯ Викентия Венедикто-
вича, 1883 года рождения, уроженца Польши, до ареста
26 февраля 1938 года работавшего грузчиком в шахте
им. Кирова гор. Шахты, пересмотрено Военным Трибуналом
Северо-Кавказского военного округа 15 августа 1960
года.

★
ВОЕННЫЙ ТРИБУНАЛ
СЕВЕРО-КАВКАЗСКОГО
ВОЕННОГО ОКРУГА

15. августа 60.
№ 2/602

СПРАВКА

Дело по обвинению МИХИЯ Викентия Венедикто-
вича, 1883 года рождения, уроженца Польши, до ареста
26 февраля 1938 года работавшего грузчиком в шахте

Dokument o rehabilitacji Wincentego Michni

ВЫПИСКА ИЗ ПРОТОКОЛА

Особого Совещания при Коллегии ОГПУ от "25" Ноября 1927 г. 48

СЛУШАЛИ:

ПОСТАНОВИЛИ:

8. Дело № 48226 по обв.
гр. МИХАСЕНКО Николай
Ивановича по 58/6 ст.
У.К.

МИХАСЕНКО Николай Ива-
новича заключить в концла-
герь, сроком на ТРИ года,
без применения амнистии.
Дело сдать в архив.

Postanowienie OSO w sprawie ks. M. Michasionka



Витольд Смолиц с сестрой Вандой.
Фото: 1934 г.

Witold Smolicz z siostrą Wandą,
fot. z 1934 r.



Фото: 1935 г. с. Кабаново

Иван Гобашенко, Павел Мазок, Болеслав Артиш.

Stoją od lewej: Jan Gawrylenko,
Paweł Maziuk, Bolesław Artisz,
fot. z 1935 r.



Петр Серко. Трудлазерь.
г. Новосибирск.
Фото: 1942 г.

Piotr Sierko, zdjęcie z łagru robotniczego
w Nowosybirsku, fot. z 1942 r.



Пронский Сигизмунд с семьей.
Фото: конец 1920-х гг.

Zygmunt Proński z rodziną,
koniec lat 20.



Учитель Алексей Бек.
Фото: Апрель 1934 г.

Nauczyciel Aleksy Bek,
fot. z 1934 r.



Фото: 1936 год.
справа - учитель Хвалко КИ

Z prawej stoi nauczyciel
Konstanty Chwalko, fot. z 1936 r.



Клементий Лекаребиз с женой и сыном.

Klemens Lekarewicz z żoną i synem



Jan Jocz, Kołyma, 10 października 1951 r.



Pieczęć parafii katolickiej z Białogostoku

Helena Haniewicz, fot. z 1955 r.



Paszport Józefa Kisiela

Spis treści

Wstęp do wydania rosyjskiego.....	7
Przedmowa autora do wydania polskiego.....	9
Wstęp od tłumacza i redaktora książki.....	11

Część 1. OSIEDLENIE, KOŚCIÓŁ, SZKOŁA

Dobrowolna Syberia.....	17
Wiejski kościół.....	24
„Pchli wyrok” lub chłopski paragraf.....	39
Jak zakładano nasz kołchoz?.....	42
Chciałbym się uczyć polskiego.....	50

Część 2. TAK BYŁO

Świadkowie i świadectwa.....	61
Ukarani milczeniem, czyli długa droga do prawdy.....	82
Kronika terroru.....	94
Ich tragiczne losy.....	120
Ksiądz Michasionek.....	120
Sybirak Bach.....	123
Polski zbieg Burzemowski.....	127
„Zamożny gospodarz”.....	131
Bracia – „kryminaliści”.....	135
„Wojskowi”.....	141

Polski Komitet Syberyjski.....	145
„Inżynierowie dusz”.....	153

Część 3. Z RODOWODÓW

Jan Szczęściarz.....	175
Uniwersytety Antoniego.....	179
Niańka.....	185

Część 4. Z RECENZJI I KOMENTARZY DO KSIĄŻKI „TRAGEDIA SYBERYJSKIEGO BIAŁEGOSTOKU”

Historia – uzdrawiające lekarstwo.....	193
Nie dowiedzie się im... ..	197
Przypomnieć wszystkich.....	199
Ożywiła wspomnienia z lat dziecinnych.....	202
Piszę do Was, a sama płaczę... ..	205
Indeks osobowy.....	207
Słownik niektórych nazw i skrótów rosyjskich.....	214
Fotografie.....	217



Wasyl Haniewicz

Urodzony w 1956 roku w Białymstoku na Syberii. Z wykształcenia ekonomista, z pasji historyk. Przewodniczący Stowarzyszenia „Orzeł Biały” w Tomsku, członek Stowarzyszenia „Memorial”. Nagrodzony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za działalność w dziedzinie krzewienia historii i kultury polskiej na Syberii. Autor wielu publikacji na temat dziejów Polaków na Syberii. Mieszka w Tomsku.

* * *

Publikacja ta, to zarazem wyznanie miłości do Polski, i opowieść o licznych prześladowaniach, poniesionych właśnie za tę miłość do Ojczyzny, to opisanie Polaków, którzy zrządzeniem losu znaleźli się daleko od swojego kraju, jednak nigdy o nim nie zapomnieli.

Na zawsze zapamiętałem słowa, wydrapane na ścianie celi więziennej przez jednego z Polaków, tuż przed jego rozstrzelaniem: „Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, ale najtrudniej – cierpieć i za nią umierać”.

Książka ta opowiada o tych, którzy się za Polskę modlili, cierpieli i umierali. Czynili to daleko od swojej Ojczyzny, na dalekiej Syberii. Podstawową treścią książki jest los mieszkańców niewielkiej wsi syberyjskiej, założonej przez uchodźców z Polski na przełomie XIX i XX wieku, nazwanej dla upamiętnienia stron rodzinnych nazwą polskiego miasta Białystok. W czasach terroru stalinowskiego praktycznie wszyscy mężczyźni z tej miejscowości zostali rozstrzelani.

Autor

PATRONAT MEDIALNY:



Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7380-630-6



9 788373 806306